GDAŃSKA WALKA Z POLSKOŚCIĄ
„NASI CHŁOPCY", CZYLI MIESZANIE KATÓW Z OFIARAMI

„ŹLE SIĘ WYRZEKAĆ BUNTU PRZECIW ŁOTROM"
CZY SIKORSKI WSADZIŁBY ZA TE SŁOWA WYSZYŃSKIEGO?

WILDSTEIN:
UWAGA NA BRAUNIZM NA PRAWICY!

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

GAZETAPOLSKA.PL

CENA 10.90 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl indeks 320919 #30 (1664) 29/07/2025 OKŁADKA: TOPIK FOT. ADOBE STOCK

GWAŁCONA EUROPA

Gangi gwałcicieli terroryzują Zachód

ISSN 1230-4581

9 771230 458503 30

NUMER W SPRZEDAŻY DO 29.07.2025

Wspieraj Media Strefy Wolnego Słowa

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA · Gazeta Polska codziennie · niezależna.pl · REPUBLIKA · NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO · radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

Numer konta: **62 1240 1053 1111 0010 5517 7864**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Fundacji Niezależne Media**

Konto do wpłat zagranicznych: PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Fundacja Niezależne Media ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**
Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

eprasa.pl 7fc163a04b

FELIETON { WRÓG LUDU }

Tomasz
Sakiewicz

DLACZEGO POLSKA MUSI MIEĆ NIEZALEŻNE MEDIA

Najpierw trzeba wyjaśnić, co to są media niezależne: z samej definicji nie muszą to być ani media prawicowe, ani lewicowe, ani też tzw. symetrystyczne. Niezależność polega na tym, że reprezentują one interes opinii publicznej, czyli przede wszystkim swoich odbiorców, a struktura właścicielska i sposób finansowania im tego nie utrudnia. Czyli redakcja może odwoływać się do lewicowych lub prawicowych poglądów, ale robi to dlatego, że reprezentuje tę grupę widzów, słuchaczy czy czytelników, i osoby nią kierujące świadomie zawierają takie nieformalne porozumienie z odbiorcami. Nie zmienia to faktu, że dziennikarze, bez względu na poglądy, muszą przestrzegać zasad etyki dziennikarskiej, a podstawową zasadą jest wytrwałe, profesjonalne poszukiwanie i przekazywanie prawdy, bez ulegania naciskom politycznym i wszelkich grup interesu. Uwzględnianie poprawności politycznej w budowaniu informacji jest takim samym nadużyciem, jak redagowanie jej pod dyktando jakiegoś polityka. Czym innym jest oczywiście sfera publicystyczna, w której dziennikarz ma prawo wyrażać swoje oceny, a redakcja dobierać publicystów w proporcji charakterystycznej dla jej przekazu, choć i tu należy dla ułatwienia zrozumienia zjawisk uwzględniać szeroką paletę poglądów.

Sama struktura właścicielska oczywiście nie musi wykluczać niezależności redakcji, choć na ogół pieniądze mają ci, którzy słabo to rozumieją. Dlatego ta struktura powinna być możliwie klarowna.

We wszystkich mediach, którymi kierowałem, starałem się mieć zapewnioną kontrolę właścicielską, a jeżeli to było niemożliwe, to bezwzględnie przestrzegałem zasady, że to ja decyduję o linii redakcyjnej. Często jest to wprost wpisane do statutu spółek. Wbrew pojawiającym się w przestrzeni publicznej bzdurom, w Telewizji Republika mam wraz z najbliższymi współpracownikami pełną kontrolę właścicielską i żadna partia czy grupa interesu nie ma tam nic do powiedzenia. Czy to oznacza, że monitoruję każdą informację, program czy komentarz? To kolejne nieporozumienie. Redaktor naczelny, szczególnie w tak dużej firmie, przede wszystkim powinien wyznaczyć linię redakcyjną i dobrać zespół, który tę linię będzie realizował oraz bronił niezależności redakcji. Ma też tego wymagać od swoich współpracowników.

Polska po upadku komuny miała wielki problem z niezależnymi mediami. Środki finansowe kontrolowali ci, którzy wcześniej uczestniczyli w starym systemie albo byli od niego uzależnieni. To doprowadziło do tego, że media były tworzone przez podmioty związane z byłymi komunistami lub ludźmi służb komunistycznych albo, co gorsza, tych, którzy wywodzili się antykomunistycznej opozycji, lecz zaakceptowali interesy ludzi starego układu. Bardzo szybko przerodziło się to w spółkach medialnych w powiązania oligarchiczne, a te patologie powiększały się wraz z ekspansją obcego kapitału na naszym rynku. Redakcje nie działały w interesie swoich odbiorców, lecz ich właścicieli, którzy weszli w układy z postkomunistami.

Jedyną receptą prawicowych polityków było budowanie przeciwwagi przez zależne od nich media albo przejęcie mediów publicznych. Ile to jest warte, przekonaliśmy się 19 grudnia 2023 roku. Nowemu rządowi zajęło mniej niż tydzień, by zakończyć mrzonki o prawicowych mediach publicznych i zrobić z przejętych instytucji ściek rządowej propagandy.

Prawdziwą alternatywę udało się zbudować dopiero wtedy dzięki Telewizji Republika i grupie mediów Strefy Wolnego Słowa. Dlaczego? Bo przez lata przygotowywaliśmy się do takiej sytuacji. Nie miałem złudzeń co do niedemokratycznych i cenzorskich zapędów ekipy Tuska, a także co do „solidnych" zabezpieczeń mediów publicznych.

Warunkiem uratowania wolności słowa w Polsce były Państwa zaufanie i pomoc. To dostaliśmy i dostajemy – za to bardzo dziękuję.

Istnienie niezależnych mediów to dzisiaj nie tylko kwestia swobody debaty. Coraz wyraźniej widać, że to także warunek w ogóle przetrwania demokracji, a być może i niepodległości Polski.

Niezależne media nigdy nie będą pupilem jakiejkolwiek władzy. Uwierają i tych, których ze względów ideowych krytykują, i tych, którym są bliższe. Bez nich jednak demokracja staje się czymś karykaturalnym. To my reprezentujemy Państwa nawet wtedy, kiedy powołane do tego instytucje mają z tym problem.

W kolejnych wyborach ta sprawa musi być jednym z podstawowych kryteriów decyzji, kogo należy popierać. A od wszystkich sił, którym leży na sercu dobro Polski, szczególnie od nowego prezydenta, oczekuję, że tym razem sprawy niezależności i wolności mediów nie zlekceważą. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

W numerze

TEMAT NUMERU

6 Gwałcona Europa
Hubert Kowalski

KRAJ

12 Największy sąd w Polsce na skraju chaosu
Grzegorz Broński

14 Szczerba sprzedaje mieszkanie. Jego cena nagle wzrosła o 150 tysięcy
Piotr Nisztor

16 Diabelska polityka Tuska
Jacek Liziniewicz

PUBLICYSTYKA

20 Gdańska walka z polskością
Maciej Kożuszek

26 Hołownia, czyli kwadratura koła. Trzynastogrudniowiec z ludzką twarzą
Krzysztof Wołodźko

30 Uwaga na braunizm na prawicy!
Dawid Wildstein

32 O pamięć wołają ofiary – ale wszystkie ofiary
Jakub Maciejewski

36 Niemcy chcą być militarnym hegemonem Europy
Piotr Grochmalski

HISTORIA

48 „Nasi chłopcy", czyli duma z munduru Wehrmachtu?
Tomasz Łysiak

ŚRODOWISKO

60 Bez nich nie ma lata
Jacek Liziniewicz

KRAJ

8

„Źle się wyrzekać buntu przeciw łotrom". Czy Sikorski wsadziłby za te słowa Wyszyńskiego?
Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
18 W INTERNETACH
23 Marcin Wolski
23 Tomasz Łysiak
28 Witold Gadowski
29 Jacek Liziniewicz
29 Krzysztof Karnkowski
34 Tadeusz M. Płużański
34 Józef Wieczorek
35 Dawid Wildstein
45 WIEŚCI Z UE
46 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ"
64 PODRÓŻE
68 KULINARIA

69 NAUKA
70 OBURZAJĄCA KRZYŻÓWKA LISIEWICZA
73 Katarzyna Gójska

PUBLICYSTYKA

24

Stolice antypisowskości czy antypolskości? Słowo o „wielkich miastach"
Wojciech Mucha

ŚWIAT

40

Tajwan szykuje się na inwazję
Antoni Rybczyński

HISTORIA

52

„To wyznajemy, czego nas nauczono"
Tomasz Panfil

eprasa.pl 7fc163a04b

InPost | GAZETA POLSKA

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!
prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl 7fc163a04b

Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

„Czy chcesz uprawiać ze mną seks?” – takie pytanie zadał mi niegdyś nad ranem Ryszard Kalisz, dziś członek Państwowej Komisji Wyborczej. Ubrany był w dres w barwach Serbii Slobodana Miloševića. Po głębokim zastanowieniu, merytorycznym rozważeniu za i przeciw, stanowczo odmówiłem. Było to w 2000 roku, w czasie prawyborów w Nysie, a Kalisz był wówczas szefem kampanii Aleksandra Kwaśniewskiego. To był jego ulubiony tekst, który wykrzykiwał do młodych antykomunistów, by ich „zgasić”. No bo co odpowiedzieć na taką propozycję? Wybraliśmy okrzyk: „Raz sierpem, raz młotem, w czerwoną hołotę!”, bo to dobra odpowiedź na każdą wypowiedź komucha. W każdym razie gdyby ktoś powiedział mi wówczas, że bojówkarz Kalisz przedstawiany będzie po latach jako bezstronny członek PKW, nie uwierzyłbym. Ale moją wesołość wzbudził fakt, że gdy Kalisz wychodził z uroczystości wręczenia prezydenckiej nominacji Karolowi Nawrockiemu przez PKW, został powitany przez zwolenników prezydenta tym samym co 25 lat temu okrzykiem.

Według scenariusza takich autorytetów prawniczych jak: Gersdorf, Murański, Szczepkowska, Zoll czy Gortat nie ma nic zdrożnego w pomyśle, by prezydentem został Szymon Hołownia, który zdobył w wyborach 4,8 proc. Komuniści mieli jednak trochę więcej wstydu, gdy w 1947 roku sfałszowali wybory. A dziś? Po co fałszować? Można nie uznać, i tyle.

Biskup Wiesław Mering został oskarżony o germanofobię za przytoczenie słów poety, że „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”. Radykalne słowa? No nie wiem. Znakomity polski dramaturg Adolf Nowaczyński głosił następujące stanowisko: „Kto mi powie, że Germanie to są bracia nas, Sarmatów, temu pierwszy łeb rozwalę pod kościołem reformatów”. Ono nie wydaje mi się budzić kontrowersji, gorzej z publikacją Uniwersytetu Jagiellońskiego, która przytacza „Staroświecką pieśń o pruskiej porażce, która się stała za króla Jagiełła Władysława roku 1510 napisana”. Padają w niej słowa: „Bito Niemce jako cielce i Niemkinie jako świnie, i Niemczęta jako

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak wezwał do masowego łapania za pupę feministek, także bez ich zgody!

„Komunista to człowiek, który wierzy w sprawiedliwość społeczną, równość i takie różne rzeczy”
Prof. Jerzy Bralczyk, „Gazeta Prawna”

eprasa.pl 7fc163a04b

psięta". Według historyków pieśń ta musi mieć starszy rodowód, nie tylko dlatego, że pod Grunwaldem żadnych „Niemcząt" nie było. „Powstały one najprawdopodobniej wcześniej, w czasach walk prowadzonych za panowania Władysława Łokietka. W XVI wieku germanofobia nie była już tak rozpowszechniona, jak to miało miejsce wcześniej. To nie Niemcy stanowili główną siłę zagrażającą Rzeczpospolitej" – dowodzą historycy. W każdym razie takich słów ani nie wygłosił biskup Mering, ani my nie popieramy.

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak wezwał do masowego łapania za pupę feministek, także bez ich zgody! Gdyby jakiś poznaniak nasłuchał się, że kobieta ma coś w tej sprawie do decydowania, najbardziej lewacki z samorządowców z PO rozwiał jego wątpliwości. „Czy wiesz, że dziś jest dzień łapania za pupę?" – takie pytanie zostało wyświetlone przez miejskie przedsiębiorstwo we wszystkich tramwajach. „Nie wiedziałem!" – taki okrzyk mógł wznieść jadący tramwajem dresiarz i natychmiast uszczypnąć w pupę stojącą obok niego lewacką panią profesor. Potem urzędnicy Jaśkowiaka za umieszczenie takiego przekazu przeprosili i gadali, że to była pomyłka, ale ja im tam słabo wierzę. To było przygotowywanie poznanianek na przyjęcie nielegalnych imigrantów, a reklama była po prostu częścią instalowania centrum integracji cudzoziemców.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA, TOMASZ HAMRAT/GAZETA POLSKA

„Niedawno jeden człowiek powiedział do mnie bardzo brutalnie: Wie pan, dlaczego w Polsce jest tyle zdrady i warcholstwa bezczelnego? Ponieważ dawno nikogo nie powieszono za zdradę. To straszne, ale w tych słowach jest prawda" – powiedział prezydent Andrzej Duda. Media uznały, że sprawa jest na tyle poważna, że trzeba dać prezydentowi odpór działem poważnego kalibru, czyli Bralczykiem. „Taka komunikacja po raz kolejny potwierdza, że puszczają niestety hamulce. To się przyczynia jednocześnie do tworzenia jeszcze większego podziału w społeczeństwie" – ogłosił tenże w niemieckim „Fakcie". Problem w tym, choć nikt nie chce przyjąć tego do wiadomości, że Bralczyk jest komunistą, czyli zwolennikiem najbardziej dzielącej ideologii w historii świata. Nawet jeśli mówi o tym… Bralczyk. Relacja na stronie Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie ze spotkania z językoznawcą na owej uczelni: „Profesor Bralczyk przyznał się otwarcie do swojej sympatii do PRL-u i wierności PZPR do samego końca". Sam Bralczyk w „Gazecie Prawnej": „Komunista to człowiek, który wierzy w sprawiedliwość społeczną, równość i takie różne rzeczy. Komuniści byli na całym świecie. W USA komunistami nazywano niezależnych twórców i artystów".

Á propos znawców języka polskiego. Kiedy wyszło na jaw, że prof. Jan Miodek był zarejestrowany jako TW „Jam", powstał dowcip, jak to Kubuś Puchatek sprawdza w IPN, kto na niego donosił. „Prosiaczek. No tak, wiedziałem, świnia. Kłapouchy. No tak, czemu tu się dziwić, osioł". Nagle zagląda do kolejnej notatki: „No nie, tylko nie mówcie mi, że Miodek!".

Joanna Szczepkowska ogłosiła parę dziesięcioleci temu, że w Polsce upadł komunizm, nie dodając, że na cztery łapy. Teraz zaapelowała do Szymona Hołowni, by komunizm przywrócił, a przynajmniej jedną jego składową – brak demokracji. Apel wybrzmiał tak: „Pan płacząc obiecał: »Jak będzie trzeba, to zrobię wszystko«. Panie Marszałku, właśnie TERAZ trzeba. Więc niech Pan zrobi to, co pan obiecał. To WSZYSTKO, to przerwa w zgromadzeniu ZN… Może Pan zrobić wielką rzecz. Wielkie rzeczy mają zawsze wielkich wrogów i na tym właśnie polega odwaga". Wszystko to prawda! Jaruzelski, Kiszczak oraz jego zastępca, ojciec Macieja Gduli, też mieli wielkich wrogów i odwagę, by wysyłać na nich ZOMO.

A jak teraz miałoby być z ZOMO? Może by było, a może nie. Wyjaśnia Hołowni Szczepkowska, że to nie to samo, co gdyby marszałek Witek zablokowała domniemany wybór Trzaskowskiego pięć lat temu: „Gdyby Elżbieta Witek została prezydentem (prezydentką) oczywiście doszłoby do rozlewu krwi, bo wtedy policja zrobi to, co robiła za PiS (…) Dlaczego miałoby dojść do rozlewu krwi w wypadku Pana prezydentury? Bo zwolennicy Nawrockiego wyjdą na ulicę? Ich prawo. Nikt nie musi ich bić. Oczywiście, że po tej stronie są kibole (…) Czy naprawdę położymy Polskę ze strachu przed kibolami?". Co tu dużo mówić, za rządów PiS rozlew krwi był normalnością. Lała się strumieniami! **GP**

Mirosław **Andrzejewski**
{ RODZINA WACIAKÓW }

eprasa.pl 7fc163a04b

GWAŁCONA EUROPA

GANGI GWAŁCICIELI TERRORYZUJĄ ZACHÓD

Z danych policyjnych poszczególnych państw wynika, że rocznie w Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemczech zgłaszanych jest od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu tysięcy gwałtów. Jedni przekonują, że realna liczba może być wyższa, ponieważ nie o wszystkich takich sytuacjach jest informowana policja. Drudzy natomiast zwracają uwagę, że w niektórych państwach liczba może być zawyżona, ze względu na bardzo szeroką definicję gwałtu. Wiadomo jednak bezspornie, że we wspomnianych krajach przemoc seksualna często ma wręcz systemowy charakter i jest poważnym problemem. Polska nadal pozostaje jeszcze krajem, w którym gwałty zbiorowe mają charakter incydentalny. Tymczasem w zachodniej części Europy od lat funkcjonują gangi gwałcicieli, złożone z migrantów pochodzących głównie z państw muzułmańskich. Ich napływ do krajów zachodnioeuropejskich trwa od bardzo dawna.

Czterech świadków

W państwach muzułmańskich, z których przybyli migranci, na kwestię gwałtu patrzy się zupełnie inaczej niż w krajach Europy. Wynika to m.in. z jednej z interpretacji Koranu. Klasycznie gwałt, czyli „cudzołóstwo pod przymusem", był traktowany jako szczególny przypadek współżycia pozamałżeńskiego. Było to związane z wymogiem czterech świadków, którzy są potrzebni do skutecznego oskarżenia kobiety o cudzołóstwo. Podobnie przyjmowano, że do potwierdzenia gwałtu również potrzebnych było czterech męskich świadków będących muzułmanami, którzy naocznie widzieli akt penetracji. Relacje świadków niebędących muzułmanami nie mają znaczenia. Warunek ten był więc praktycznie niemożliwy do spełnienia.

FOT. WOLFGANG RATTAY / REUTERS / FORUM

eprasa.pl 7fc163a04b

Gwałty zbiorowe to jedna z najbardziej brutalnych form przemocy seksualnej. Niestety, skala tego rodzaju przestępczości w Europie Zachodniej jest potężna, a gangi gwałcicieli działają w sposób zorganizowany i długofalowy. Ten zbrodniczy proceder jest ściśle związany ze społecznościami imigranckimi, szczególnie z krajów muzułmańskich. W Polsce póki co tego rodzaju gangi nie funkcjonują, a do gwałtów zbiorowych dochodzi rzadko. Doświadczenia innych państw w kwestii masowej migracji z kręgów obcych nam kulturowo pokazują jednak, że sytuacja może się szybko zmienić.

Hubert
Kowalski
albicla.com/HubertKowalski

Zdarzało się nawet, że brak przedstawienia czterech świadków przez zgwałconą kobietę budził podejrzenie o cudzołóstwo, co wiązało się z groźbą kar cielesnych, a nawet ukamienowania. Do 2006 roku pakistańskie prawo traktowało gwałt i cudzołóstwo jako jedno przestępstwo. Kobieta zgłaszająca gwałt musiała go udowodnić przy pomocy czterech świadków. Współcześnie również w samych środowiskach muzułmańskich zwraca się uwagę, że pierwotnie wymóg czterech świadków miał chronić kobiety przez fałszywym oskarżeniem o rozwiązłość. Jednak zdarza się, że czterech świadków wymaga się w sprawach dotyczących gwałtu na przykład w Arabii Saudyjskiej i Afganistanie. Nawet w państwach, w których formalnie warunek ten nie jest wymagany, przy braku innych dowodów kobieta może być oskarżona o cudzołóstwo. Niektóre tradycyjne społeczności muzułmańskie również w innych krajach nadal uznają ten wymóg za obowiązujący, co przekłada się na postawy muzułmańskich migrantów w państwach europejskich.

Pakistańskie gangi w Anglii i „tournantes" we Francji

Co pewien czas problem gangów gwałcicieli porusza brytyjską opinię publiczną. Głośno było o nich również kilka miesięcy temu. Raport prof. Alexis Jay opublikowany już w 2014 roku ujawnił, że w mieście Rotherham w latach 1997–2013 gangi wykorzystały seksualnie co najmniej 1,4 tys. dzieci. Sprawcami byli głównie mężczyźni pochodzenia pakistańskiego. Zjawisko miało charakter wręcz systemowy. Dziewczynki były porywane, odurzane narkotykami i wielokrotnie gwałcone przez różnych członków grupy. W publikacji „The Times" z marca 2024 roku opartej na ustaleniach Narodowej Agencji Kryminalnej (NCA) podano liczbę 827 gwałtów oraz 324 sprawców. Z policyjnych raportów wynika, że ponad 70 proc. sprawców pochodziło ze środowisk migranckich.

We Francji zjawisko gwałtów zbiorowych jest na tyle znane, że zyskało specjalną nazwę „tournantes". Odnosi się do wywodzących się zazwyczaj z tego samego środowiska mężczyzn, którzy zmieniają się, po kolei gwałcąc ofiarę. Autorka książki „Dans l'enfer des tournantes" algierskiego pochodzenia opisała, jak jako nastolatka była gwałcona przez gangi w Saint-Denis. Gangami kierowały osoby jej znane. Następnie została porzucona przez rodzinę i przyjaciół. Według raportu organizacji Ni Putes Ni Soumises rocznie we Francji może dochodzić od 5 tys. do 7 tys. gwałtów zbiorowych, głównie na przedmieściach Paryża, Lyonu czy Marsylii. Z kolei z badania Federacji Narodowej Solidarność Kobiet (FNSF) z 2020 roku wynika, że aż 22 proc. respondentek przyznało, że doświadczyły przemocy seksualnej zbiorowej przed 18. rokiem życia.

Ponad 100 gwałtów zbiorowych tylko w Berlinie

Problem dotyczy również Niemiec. Co więcej, narasta on od czasu kryzysu migracyjnego z 2015 roku. Niemcami poruszyła m.in. sprawa zgłoszonego w 2018 roku gwałtu grupowego na 18-latce we Fryburgu, gdzie spośród 11 sprawców aż 10 było cudzoziemcami. Wtedy szerzej zaczęto w Niemczech mówić o roli migrantów w przestępczości seksualnej. Według danych Federalnego Urzędu Kryminalnego (BKA) w 2021 roku odnotowano 677 „gruppenvergewaltigungen", czyli gwałtów zbiorowych. Ze sprawozdania rocznego BKA za rok 2022 wynika, że tego rodzaju przestępstw było już 744. Z kolei w zeszłym roku niemiecki „Bild" opisał skalę problemu tylko w Berlinie w 2023 roku. W mieście odnotowano aż 111 gwałtów grupowych, a 56 proc. sprawców nie miało niemieckiego obywatelstwa.

Polska, czyli nadal inny świat

W przeciwieństwie do Europy Zachodniej, dziś w Polsce sprawcy najczęściej działają indywidualnie. Wpływ na ten stan rzeczy niewątpliwie ma fakt, że w naszym kraju nie istnieją jeszcze duże społeczności migrantów muzułmańskich. Z danych Komendy Głównej Policji wynika, że w 2023 roku wszczęto 2363 postępowania przygotowawcze dotyczące gwałtu. Z tych spraw stwierdzono popełnienie 1114 przestępstw i odnotowano 683 podejrzanych. Od 2020 roku liczby te utrzymują się na podobnym poziomie, nie ma natomiast danych o gwałtach zbiorowych. W Polsce pojawiły się tego rodzaju sytuacje z udziałem cudzoziemców, ale takie przestępstwa zdarzają się incydentalnie. Co istotne, polskie instytucje nie odnotowały struktur ani sieci przestępczych działających na wzór zorganizowanych gangów gwałcicieli znanych z Wielkiej Brytanii czy Niemiec, gdzie gwałty grupowe zdarzają się regularnie i liczone są w setkach rocznie. Zjawisko gwałtów zbiorowych w Polsce nadal jest więc marginalne. Jak długo? **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

Piotr
Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO „GP"
albicla.com/PiotrLisiewicz

POLSCY BISKUPI JAKO PRZEDSTAWICIELE OBCEGO PAŃSTWA

„ŹLE SIĘ WYRZEKAĆ BUNTU PRZECIW ŁOTROM". CZY SIKORSKI WSADZIŁBY ZA TE SŁOWA WYSZYŃSKIEGO?

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/ GAZETA POLSKA

Radosław Sikorski był lansowany na premiera, by odzyskał poparcie części konserwatywnych Polaków, językiem dyplomacji załagodził błędy Tuska na arenie międzynarodowej i nie eskalował agresji w stylu Romana Giertycha, która zaszkodziła notowaniom rządu. Skarżąc się do papieża Leona XIV na modlitwy polskich biskupów, Sikorski uderzył w katolików, bełkotem pełnym błędów skompromitował się jako dyplomata, a wszystko to pod dyktando Giertycha, który zaatakował biskupów dzień wcześniej. Jeśli chciał udowodnić koalicjantom, że byłby jeszcze gorszym premierem od Tuska, poszło mu koncertowo.

Gdy czytamy démarche polskiego MSZ skierowane do Stolicy Apostolskiej, na pierwszy rzut oka widać idiotyczne błędy – jak nazwanie Ruchu Obrony Granic Ruchem Obrony Pogranicza – których nie popełniłby nawet praktykant w dowolnej gazecie.

Polscy biskupi jako obcy. Najbardziej kuriozalny dokument MSZ po 1989 roku

Ale w treści noty uderza co innego: pierwszy raz w historii III RP po 1989 roku polscy obywatele – patriotycznie nastawieni biskupi – przedstawieni są przez MSZ, w stylu tygodnika Jerzego Urbana, jako reprezentanci obcego państwa, którzy nie powinni mieszać się w jego wewnętrzne sprawy. „Prosimy o zaprzestanie ingerencji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej Polskiej. Kwestia Ruchu Obrony Pogranicza oraz granicy polsko-niemieckiej jest wewnętrzną sprawą państwa polskiego, która nie powinna być przedmiotem komentarzy przedstawicieli Kościoła katolickiego" – napisało ministerstwo Sikorskiego. Na tak daleko idący atak na hierarchów ani Tusk, ani Trzaskowski nigdy dotąd się nie zdecydowali. A przypomnijmy, że zwolennikami premierostwa Sikorskiego byli Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz, którzy chcieli zmienić lewacki wizerunek rządu.

Biskupi oskarżani są także o to, że „podważają dobre stosunki polsko-niemieckie". O ile „obcy" biskupi mają nie mieszać się w sprawy polskie, o tyle polskie MSZ jak najbardziej miesza się w nocie w sprawy kościelne, posuwając się do… interpretacji Pisma Świętego. „Wczorajsza Ewangelia poświęcona była bowiem przypowieści o miłosiernym Samarytaninie…" – naucza biskupów polskie MSZ, sugerując, że nie są Ewangelii wierni. Ślady niezwykłej bufonady i rozdętego ego Sikorskiego wydają się tu być widoczne gołym okiem.

Czy Sikorski aresztowałby prymasa Wyszyńskiego?

Dokument ministerstwa Sikorskiego powołuje się na postawę Kościoła z czasów prymasa Stefana Wyszyńskiego, a konkretnie „List Biskupów Polskich do Biskupów Niemieckich" z 1965 roku. Tymczasem retoryka noty przypomina bliźniaczo argumentację, która stać miała za wcześniejszym internowaniem Prymasa Tysiąclecia. Ówczesne komunistyczne władze zarzuciły mu bowiem „uporczywe" nadużywanie stanowiska „dla celów godzących w interesy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". W démarche to samo nazwane jest „godzeniem" w „suwerenność rządu Rzeczypospolitej Polskiej". Przypomnijmy, że trzy dni przed uwięzieniem prymasa, skazany został biskup kielecki Czesław Kaczmarek, m.in. za rzekome wysługiwanie się obcym, w tym Amerykanom.

Nie ma wątpliwości, że gdyby Sikorski usłyszał dziś to, co w tamtych czasach mówił prymas Stefan Wyszyński, którego konsekwentnie uznałby za przedstawiciela obcego państwa, też kazałby go aresztować.

Przedstawiciel wrogiego Watykanu Wyszyński uważał bowiem, że krytykowanie rządów jest wspaniałą tradycja Kościoła

eprasa.pl 7fc163a04b

polskiego od wieków: „Kościół w naszej ojczyźnie, za wzorem swych najwyższych pasterzy, od wieków staje w obronie ludzi pokrzywdzonych nadużyciami ze strony władz. Dlatego też Kościół polski staje w obronie narodowej racji stanu. Oznacza to coś więcej aniżeli polityczna racja stanu. Albowiem polityczna racja stanu zmienia swoje wymiary, natomiast naród – trwa, ma swoją wiarę, swoje zasady moralne, swoja kulturę religijno-narodową, obyczaj narodowy i stoi na straży tych wartości, które nie od razu powstają i zniszczyć się od razu nie dadzą".

Obrazoburczo twierdził, że pomiędzy Polską a Kościołem panuje jedność: „Polska jest chrześcijańska, Naród jest katolicki… Polska jest jednością, Polska jest całością, Polska jest jednym sercem, Polska jest jednym ramieniem. Polska jest jak wielka rodzina, wspaniała Bożą mocą".

Obrażał władze, powtarzając, że „Źle się wyrzekać buntu przeciw łotrom". Obserwując jej przedstawicieli, stwierdzał: „Jeśli wśród tej »reprezentacyjnej ekipy« do zadań specjalnych znalazło się tylu leniów i nierobów, to jakże muszą wyglądać inni ludzie? To są przecież poszukiwacze łatwych dróg i wygodnego życia".

Co powiedziałby dziś prymas zaatakowanym biskupom Antoniemu Długoszowi i Wiesławowi Meringowi? Przypomniałby, że „brak męstwa jest dla biskupa początkiem klęski". I skonstatowałby, że „użyto wobec nich zwykłej metody zastraszenia i gróźb".

Sikorski o „sukienkach", Giertych o biskupach-wilkach zabijających owce

W stylu Jerzego Urbana były też słowa wypowiedziane przez Sikorskiego już pod imieniem i nazwiskiem: „Jak ksiądz biskup chce działać w polityce, to niech zrzuci sukienkę i zapisze się do PiS-u. Póki jest biskupem, wymagamy, by szanował konkordat". O owej „sukience", jak nazywa sutannę Sikorski, Wyszyński pisał: „Nie mogę odłożyć pióra, zanim nie dotknę tu jeszcze jednej sprawy, która ma dla wspólnoty kleru większe, niż się wydaje, znaczenie, a dla Ludu Bożego jest społecznym wyznaniem wiary. Mam na myśli sutannę kapłańską. Sutanna nie jest ubiorem w szeregu innych strojów, ale jest wyznaniem wiary przed ludźmi, jest odważnym świadectwem danym Chrystusowi, jest przyznaniem się do Kościoła. Kiedy raz przybrałem ten strój, muszę nie tylko pytać siebie, czy go noszę, ale w rachunku sumienia pytać – jeśli to miałoby się zdarzyć – dlaczego zdjąłem znak wiary i kapłaństwa. Czy z lęku? Ze słabości? Nie! Zdjęcie stroju duchownego to to samo, co usunięcie krzyża przydrożnego, aby już nie przypominał Boga".

Kto zainspirował Sikorskiego do ataku na biskupów? Nie ma wątpliwości, że Roman Giertych, który dzień wcześniej zaatakował biskupów w mediach społecznościowych, stwierdzając, że „mieli być pasterzami owiec, a stali się wilkami zabijającymi plugawymi słowami te owce, które akurat nie chcą politycznie się im podporządkować".

Wypada zauważyć, że démarche MSZ stało na nieporównywalnie gorszym poziomie merytoryczny od wpisu Giertycha, mającego jednak elementarne pojęcie na temat funkcjonowania Kościoła. Tymczasem błędy merytoryczne MSZ tak wypunktował redaktor Paweł Chmielewski z portalu PCh24.pl: „Dodajmy, że Demarche MSZ ws. biskupów to ciężki blamaż merytoryczny. Autor pomylił datę homilii bp. Meringa. Źle przytoczył cytat z bp. Meringa, popełniając błąd zmieniający sens zdania. Źle opisał rolę biskupów wobec KEP, twierdząc, że »reprezentują KEP«, choć takiej roli biskupi w ogóle nie mają. Źle zinterpretował przepisy KPK, w nieuprawniony sposób rozciągając zapis mówiący o aktywnym uczestnictwie w partii na komentowanie rzeczywistości politycznej. Naprawdę, to jest po prostu merytoryczna żenada".

Mądre słowa biskupa Długosza

Polityczny charakter ataku demaskuje fakt, że atakując biskupa Wiesława Meringa za jego kazanie krytykujące proniemiecką postawę rządu, MSZ zaatakowało także biskupa Antoniego Długosza, za… modlitwę na Jasnej Górze. Nie padło w niej ani jedno ostre słowo. „Chcemy modlić się za obrońców naszych granic, tych w mundurach, strażników granicznych, żołnierzy, policjantów, celników, Wojska Obrony Terytorialnej, ale również wolontariuszy z Ruchu Obrony Granic, tych którzy bezinteresownie organizują patrole" – mówił biskup.

Podkreślił też, że Polacy zdali egzamin, kiedy trzeba było otworzyć drzwi dla milionów uciekających Ukraińców, a także w imię miłości bliźniego potrafili zapłacić najwyższą cenę za pomoc Żydom w czasie II wojny światowej. Przywołał obrazy pokazujące tłum muzułmanów otaczających katedrę św. Patryka w Melbourne i manifestujących dominację nad chrześcijanami. „Od kilkudziesięciu lat postępuje islamizacja Europy poprzez masową imigrację. To, co obserwujemy teraz w Polsce, to zaledwie początek. Tak samo zaczynało się na Zachodzie" – wskazał duszpasterz. Odwołał się do słów Wyszyńskiego: „I chociażby obwieszczono na transparentach najrozmaitsze wezwania do miłowania wszystkich ludów i narodów, nie będziemy temu przeciwni, ale będziemy żądali, abyśmy mogli żyć przede wszystkim duchem, dziejami, kulturą i mową naszej polskiej ziemi, wypracowanej przez wielki udział naszych praojców".

Atak na biskupa Długosza odbierać należy jako zemstę za jego obronę księdza Michała Olszewskiego oraz Karoliny i Urszuli, które nazwał przeogromnymi bohaterkami modlitwy. O tym, że po aresztowaniu księdza po raz pierwszy od lat wzrosła w Polsce liczba powołań kapłańskich, mówił w „Gazecie Polskiej" jako o „efekcie księdza Olszewskiego". Cieszący się ogromnym autorytetem biskup mógłby żyć dziś spokojnie jako kojarzący się wszystkim sympatycznie z piosenkami dla dzieci („Chrześcijanin tańczy") emeryt, a jednak sumienie nie pozwala mu tak postępować.

A mnie sumienie podpowiada z kolei, że za słabo broniliśmy w ostatnich latach naszych pasterzy, którzy na to po stokroć zasłużyli. Czas to zdecydowanie zmienić i nie zostawiać ich samych naprzeciwko wrogiej medialnej machiny. Niech to będzie to dobro, które wyprowadzimy za niegodny atak Radosława Sikorskiego. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Ilona Januszewska i Karol Kus.**

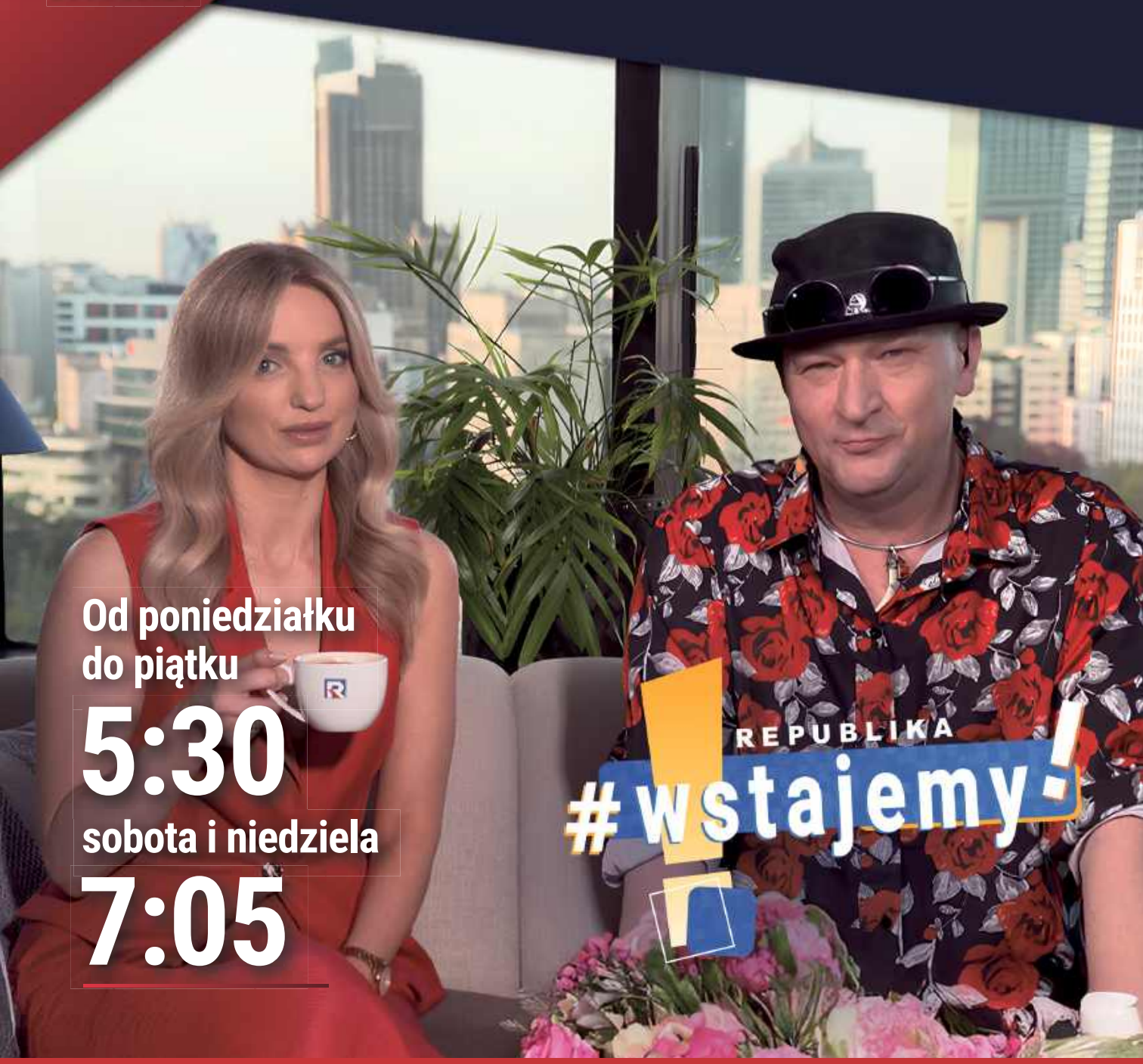

Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 7fc163a04b

NAJWIĘKSZY SĄD W POLSCE NA SKRAJU CHAOSU

Sędzia Beata Najjar nie uzyskała zgody Krajowej Rady Sądownictwa na dalsze orzekanie i powinna – ze względu na wiek – przejść w stan spoczynku. Pomimo to – przy akceptacji ministra Adama Bodnara – zarządza Sądem Okręgowym w Warszawie, a także orzeka w procesach karnych. A to oznacza nadchodzącą katastrofę. – Nie było takiej sytuacji w polskim sądownictwie – alarmuje sędzia Łukasz Piebiak, prezes stowarzyszenia Prawnicy dla Polski.

WYROKI SĘDZI DO UCHYLENIA, DECYZJE PREZES DO PODWAŻENIA

Grzegorz **Broński**
albicla.com/GrzegorzBronski

Sąd Najwyższy wielokrotnie orzekał, i to w tzw. starych składach, w sprawach wyroków wydanych przez sędziów w stanie spoczynku. Kategorycznie stwierdzał, że niezależnie od okoliczności, skutek powstaje z mocy prawa: taka osoba jest nieuprawniona do orzekania – wyjaśnia „Gazecie Polskiej" sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka, przewodnicząca Krajowej Rady Sądownictwa. – Prawo nie przewiduje również, aby sędzia w stanie w spoczynku zarządzał sądem – uzupełnia.

Jaki jest obecnie zawodowy status sędzi Beaty Najjar? – Jest sędzią w stanie spoczynku! Kwestią otwartą pozostaje ewentualna odpowiedzialność dyscyplinarna oraz karna za podejmowane działania – podkreśliła sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka.

Nie chce iść na emeryturę

Sędzia Beata Najjar niedawno obchodziła 65. urodziny – to wiek przejścia w stan spoczynku, jak formalnie jest nazywana sędziowska emerytura. Mogła – i chciała – dalej orzekać, ale musiała w odpowiednim terminie złożyć stosowne oświadczenie do Krajowej Rady Sądownictwa, a ta – wyrazić zgodę. Najjar należy jednak do tej części środowiska, która kwestionuje mandat obecnej KRS. Dlatego pismo wysłała bezpośrednio do ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, choć polskie prawo takiej możliwości nie przewiduje.

– Mamy opinię prawną nadesłaną z ministerstwa, z której wynika, że sędzia Najjar może wykonywać funkcję prezesa i może pozostać sędzią w stanie czynnym – twierdzi sędzia Anna Ptaszek, rzecznik stołecznego sądu. – Sędzia Beata Najjar nadal piastuje urząd Prezesa Sądu Okręgowego w Warszawie.

Innego zdania jest warszawski sędzia Łukasz Piebiak, były wiceminister sprawiedliwości. – Nie było takiej sytuacji w polskim sądownictwie. Pani sędzia wprawdzie awizowała w wypowiedziach publicznych taką decyzję, ale wszyscy mieliśmy nadzieję – jako środowisko sędziowskie, zwłaszcza z Warszawy – że się jednak opamięta – stwierdził prezes stowarzyszenia Prawnicy dla Polski.

Chcąc postawić „kropkę nad „i", przewodnicząca KRS zapowiedziała, że zwróci się do ministra Bodnara oraz sędzi Najjar. – Obowiązkiem ministra sprawiedliwości

FOT. JACEK TURCZYK/PAP

eprasa.pl 7fc163a04b

WYROKI NA NIBY

Dotychczasowa wykładnia Sądu Najwyższego jest jednoznaczna: orzeczenia wydane przez sędziego w stanie spoczynku podlegają uchyleniu. Już sąd apelacyjny powinien uchylać orzeczenia wydane z udziałem s. Najjar, jeśli przyjmie wykładnię SN.

Pomimo „stanu spoczynku" sędzia Najjar nadal wykonuje czynności zarezerwowane dla prezesa Sądu Okręgowego w Warszawie, podejmując rozmaite decyzje: administracyjne, kadrowe, personalne, a także orzeka w sprawach.

jest – zgodnie z przepisami ustawy o ustroju sądów powszechnych – powiadomienie sędziego, że przeszedł w stan spoczynku. Nie wiem, czy pan Bodnar tego dopełnił – tłumaczy sędzia Pawełczyk-Woicka. – Chcąc więc rozwiać wszelkie wątpliwości, zwrócę się do ministra o zrealizowanie obowiązku. A wówczas również Rada oficjalnym pismem poinformuje sędzię, że jest w stanie spoczynku – obiecuje. – Jeżeli wówczas dalej będzie podejmować czynności orzecznicze i administracyjne, wówczas Rada zawiadomi rzecznika dyscyplinarnego, a także prokuraturę – dodaje.

Wątpliwe wyroki

Dyskusja o tym, czy Najjar jest sędzią czynnym, czy „na emeryturze", zapewne jeszcze długo potrwa, ale skutki mogą być znacznie dalej idące niż jedynie spór prawników. Czy wykreowany przez ekipę Bodnara galimatias wpłynie również na przysłowiowego Kowalskiego? Niestety, zdecydowanie tak! Nie można bowiem zapominać, że przecież chodzi o bardzo doświadczoną karnistkę, która przez minione lata orzekała w licznych procesach dotyczących poważnych przestępstw kryminalnych.

„Gazeta Polska" ustaliła, że obecnie Najjar ma w swoim referacie około 20 spraw z kategorii „K" (czyli tych najpoważniejszych), a dochodzą te, w których jest członkiem składu orzekającego z innym referentem. Terminy rozpraw są powyznaczane na wiele miesięcy naprzód, niektóre nawet w listopadzie lub grudniu. To oznacza, że w najbliższym czasie nie zamierza zrezygnować z orzekania. Chociażby we wtorek (15 lipca) odbyła się kolejna rozprawa w procesie kilkunastu oskarżonych o udział w zorganizowanej grupie przestępczej handlującej narkotykami. W jej trakcie przesłuchiwano świadków, poza tym Najjar odrzuciła wnioski adwokatów o zwolnienie ich klientów z aresztu.

Jakie więc konsekwencje obecna sytuacja będzie miała dla stron postępowań, w których jest ona członkiem składu orzekającego? Nie tylko dla oskarżonych, ale również dla ofiar przestępstw. – Dotychczasowa wykładnia Sądu Najwyższego od wielu lat jest jednoznaczna: orzeczenia wydane przez sędziego w stanie spoczynku podlegają uchyleniu. Trudno, żeby teraz przyjęto inną – stwierdza sędzia Pawełczyk-Woicka. – Już sąd apelacyjny powinien uchylać orzeczenia wydane z udziałem sędzi Najjar, jeśli przyjmie wykładnię SN.

Ale nie chodzi jedynie o wyroki. Będzie ona zapewne podejmowała również inne decyzje, na przykład o stosowaniu aresztu tymczasowego czy kontroli operacyjnej. Czy tym samym naraża Skarb Państwa na odpowiedzialność odszkodowawczą? – Istnieje takie ryzyko – uważa przewodnicząca KRS.

Nadchodząca katastrofa

To nie koniec nadchodzących problemów. Najjar nadal bowiem wykonuje czynności zarezerwowane dla prezesa Sądu Okręgowego w Warszawie, podejmując rozmaite decyzje: administracyjne, kadrowe, personalne. Czy to wpłynie na funkcjonowanie największego w Polsce sądu? – Tam i tak nie jest najlepiej, a teraz całkiem się posypie. To skrajnie nieodpowiedzialne – zaznacza sędzia Pawełczyk-Woicka. – Sędziowie, także „starzy", mogą kwestionować wszelkie decyzje prezesa, pojawi się również problem z obejmowaniem funkcji, a sędzia Najjar nie da rady jednoosobowo zarządzać sądem.

Im dłużej ten stan będzie trwał, tym trudniej będzie doprowadzić sytuację do porządku. – Wszystko można wyprowadzić na prostą, tylko odbędzie się to ogromnym nakładem pracy. Naprawdę, nie rozumiem, po co takie problemy są kreowane – dodaje Pawełczyk-Woicka.

Pomimo to Bodnar i Najjar chyba nie zamierzają się wycofać. Dlaczego? – Z poczucia bezkarności. Bo mogą. Innego powodu nie widzę – uważa przewodnicząca KRS. – Bez względu jednak na motywy, skutki będą fatalne dla sądu, sędziów, a przede wszystkim dla stron postępowania.

– Sędzia Najjar jest doświadczonym karnistą i zapewne doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi. W mojej ocenie czyn, który jest dokonywany z pełną świadomością i premedytacją, prędzej czy później będzie musiał podlegać ocenie zarówno pod kątem dyscyplinarnym, jak i prawnokarnym – stwierdza prezes „PdP". **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

RECYDYWA

To nie pierwsze wątpliwości wokół nieruchomości Michała Szczerby. W połowie stycznia br. program śledczy Republiki „Ściśle Jawne" i „Gazeta Polska" ujawniły kontrowersje wokół zakupu przez niego lokalu od Spółdzielni Mieszkaniowej Lazurowa na warszawskim Bemowie.

Z oświadczeń majątkowych europosła Platformy Obywatelskiej wynika, że zaledwie w ciągu pół roku wartość jego mieszkania na warszawskiej Woli wzrosła o 150 tys. zł. Obecnie polityk wystawił lokal na sprzedaż.

Piotr
Nisztor
albicla.com/PNisztor

SZCZERBA SPRZEDAJE MIESZKANIE. JEGO CENA NAGLE WZROSŁA O 150 TYSIĘCY

ZADANIE DLA CBA

eprasa.pl 7fc163a04b

47-letni Michał Szczerba, polityk Koalicji Obywatelskiej, od kilku lat wspólnie ze swoim koalicyjnym kolegą Dariuszem Jońskim są twarzami rozliczeń Prawa i Sprawiedliwości z rzekomych nadużyć. Najpierw jako poseł był szefem sejmowej komisji ds. afery wizowej. Potem w nagrodę trafił na listy do Parlamentu Europejskiego, w połowie ubiegłego roku zdobywając mandat. Problem w tym, że wątpliwości mogą budzić jego własne oświadczenia majątkowe jako europosła. Na początku kadencji wskazał, że posiadane przez niego mieszkanie jest warte 650 tys. zł. Już pół roku później, w kolejnym oświadczeniu, zadeklarował, że wartość tego samego lokalu wynosi 800 tys. zł. To wzrost o ponad 23 proc.! Średnio cena lokalu rosła więc o 830 zł… dziennie. „GP" ustaliła, że Szczerba wystawił to mieszkanie na sprzedaż. Obecnie jego cena – jak wynika z ogłoszenia agencji nieruchomości – to 799 tys. zł. – Zasadne byłoby, aby Centralne Biuro Antykorupcyjne, które w ramach zadań ma wpisaną kontrolę oświadczeń majątkowych, ustaliło, jakie były przyczyny tak nagłego wzrostu wartości mieszkania europosła Szczerby – komentuje dla „GP" Jarosław Krajewski, poseł PiS. – Należy ujednolicić te przepisy, aby nie pozostawało do samodzielnej interpretacji przyjmowanie wartości nieruchomości w oświadczeniach majątkowych – dodaje.

„Początkowo cena była wyższa"

Ulica Szymczaka na warszawskiej Woli. To tam, w 51-metrowym lokalu, w jednym z budynków mieszkał przez lata Michał Szczerba. Z księgi wieczystej wynika, że polityk podpisał umowę o ustanowieniu spółdzielczego prawa do lokalu 29 marca 2005 roku, stając się tym samym członkiem Pracowniczej Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej PAN „Akademik". Z nieoficjalnych informacji „GP" wynika, że kwota transakcji opiewała na nieco ponad 160 tys. zł, a sam lokal Szczerba miał kupić w przetargu. Fakt posiadania tego mieszkania polityk deklarował w oświadczeniach majątkowych. Najstarsze dostępne na stronie Sejmu dotyczy jego majątku w 2018 roku. Wówczas Szczerba wskazał, że wartość lokalu to 510 tys. zł. Na dzień 30 czerwca 2024 roku, czyli w momencie rozpoczęcia mandatu w PE, złożył on oświadczenie, w którym wykazał to samo mieszkanie, a jego wartość oszacował na 650 tys. zł. Pół roku później wartość mieszkania wzrosła o 150 tys. zł! W oświadczeniu napisał, że lokal jest warty 800 tys. zł. Jednocześnie wystawił mieszkanie na sprzedaż za pośrednictwem jednej ze stołecznych agencji nieruchomości. Znaleźliśmy ogłoszenie o tej sprzedaży: „2 pokoje w sercu Woli 51 m² na sprzedaż za 899 tys. zł, 17 624 zł za metr kwadratowy" – brzmi jego treść. Zadzwoniliśmy więc do agencji twierdząc, że jesteśmy zainteresowani zakupem. Okazało się, że obecnie jego cena to 799 tys. zł (niecałe 15,7 tys. zł za m²). – Tak, początkowo cena była wyższa. Było za wysoko, trzeba było dopasować ją do sytuacji – usłyszeliśmy od agenta nieruchomości, który poinformował, że jego firma inkasuje 2,5 proc. prowizji. – Czy cena jest do negocjacji? – pytam. – Trochę do negocjacji. Ale był taki klient, który zaproponował 660 tys. zł, więc nie aż tak – odpowiedział agent i zaczął zachwalać walory mieszkania: – Świeżo pomalowane, tylko cztery mieszkania na piętrze, bardzo dobra lokalizacja.

Polityk nie odpowiedział na pytania

– Szczerba mógłby mieć problem, gdyby składając pierwsze oświadczenie wiedział, że faktycznie wartość mieszkania jest wyższa. Dlatego ten nagły wzrost ceny to przesłanka do wszczęcia kontroli jego oświadczeń majątkowych – mówi „GP" były pracownik CBA, który zajmował się m.in. kontrolą oświadczeń majątkowych. Z portalu sonarhome.pl, na którym można sprawdzić ceny mieszkań w interesującej nas lokalizacji, wynika, że średnia cena za metr kwadratowy w budynku, w którym mieszkania posiada Szczerba, to około 15 tys. zł. Cena lokalu polityka wynosi więc około 765 tys. zł. Czy nagły wzrost wartości mieszkania w oświadczeniu majątkowym Szczerby był związany z planami sprzedaży? „GP" zapytała o sprawę lokalu europosła. Wysłaliśmy pytania na jego oficjalną skrzynkę e-mail. Polityk do momentu zamknięcia tego wydania nie udzielił odpowiedzi.

Umorzone śledztwo i nierozpatrzone zażalenie

To nie pierwsze wątpliwości wokół mieszkania Michała Szczerby. W połowie stycznia br. program śledczy Republiki „Ściśle Jawne" i „Gazeta Polska" ujawniły kontrowersje wokół zakupu przez niego lokalu od Spółdzielni Mieszkaniowej Lazurowa na warszawskim Bemowie. Jeszcze za rządów PiS do prokuratury wpłynęło zawiadomienie o podejrzeniu nieprawidłowości w tej stołecznej spółdzielni. Złożył je S., członek SM Lazurowa. Jeden z wątków dotyczył właśnie Szczerby, który kupił tam mieszkanie ze sporą zniżką. Z treści zawiadomienia wynika, że było to co najmniej 200 tys. zł mniej. Śledztwo w tej sprawie wszczęto już po bezprawnym – zdaniem Sądu Najwyższego – usunięciu Dariusza Barskiego ze stanowiska Prokuratora Krajowego, a co za tym idzie – przejęciu prokuratury przez Adama Bodnara, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Decyzję w tej sprawie 6 lutego 2024 roku podjęła Prokuratura Rejonowa Warszawa-Wola. Postępowanie dotyczyło podejrzenia wyrządzenia znacznej szkody majątkowej spółdzielni Lazurowa. Po upływie czterech i pół miesiąca, 14 czerwca 2024 roku, postępowanie zostało jednak umorzone wobec braku znamion czynu zabronionego. S., czyli zawiadamiający, złożył w tej sprawie zażalenie do Sądu Rejonowego Warszawa-Wola. Ostatecznie sprawa została przeniesiona do Sądu Okręgowego w Warszawie. Mimo że od umorzenia postępowania minął już ponad rok, nie wiadomo, kiedy zostanie rozpatrzone zażalenie na tę decyzję. „W sprawie nie wyznaczono terminu rozpoznania" – napisała w odpowiedzi na pytania „GP" sekcja prasowa Sądu Okręgowego w Warszawie. **GP**

FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

eprasa.pl 7fc163a04b

DIABELSKA POLITYKA TUSKA

Rząd Donalda Tuska, zgodnie z przewidywaniami, płynie w głównym nurcie polityki europejskiej, w dużej mierze korzystając z tego, że nie jest ona przedmiotem zainteresowania wyborców. Gdy jednak do świadomości Polaków przebiją się skutki i konsekwencje działań eurokratów, nagle okazuje się, że to nie frakcja KO i PSL rządzi w UE, lecz wszystko staje się winą PiS-u. Tak było z Zielonym Ładem i tak też jest z umową Mercosur. Czy tak będzie z nowym budżetem?

KOALICJA PRZECIW POLSCE

Jacek **Liziniewicz**
albicla.com/JacekLiziniewicz

Rząd Donalda Tuska po wyborach prezydenckich znacznie zmienił swoje zdanie w kwestii umowy UE–Mercosur. O ile jeszcze dwa miesiące temu politycy KO jeden przez drugiego mówili o zablokowaniu porozumienia, dzisiaj przeszli na pozycję negocjowania szczegółów.

Niekorzystna umowa

W Polsce głośnym echem odbiła się zwłaszcza deklaracja, którą podpisali minister ds. europejskich Francji Benjamin Haddad i jego polski odpowiednik Adam Szłapka. W dokumencie politycy wskazują, że porozumienie jest potrzebne, ale musi zostać uzupełnione o klauzule ochronne dla europejskich rolników. To przygotowanie do rozwiązania suflowanego już w mediach, w ramach którego UE proponowała stworzenie funduszu, który reagowałby, gdyby farmerzy zaczęli ponosić straty. Deklaracja Adama Szłapki sprawiała wrażenie, że polski rząd pogodził się z koniecznością podpisania umowy. Gdy opinia publiczna zaczęła pytać i protestować, minister ds. europejskich postanowił… zrzucić winę na PiS. „W sprawie Mercosur fakty zabójcze dla PiS. Luty 2016 Beata Szydło głosuje za »Należy poczynić postępy w negocjacjach ze (…) i kluczowymi partnerami w Ameryce Łacińskiej, w szczególności z Mercosurem« no cóż, nie wiem jak to PiS wytłumaczy" – napisał Szłapka. To nie pierwszy raz, gdy dokument ten został wyciągnięty. Wcześniej pokazał go na konferencji prasowej Donald Tusk pod koniec czerwca. Do tablicy poczuła się wywołana Beata Szydło, która odpowiedziała na atak. „Panie Szłapka,

FOT. FACEBOOK

eprasa.pl 7fc163a04b

Mercosur to nazwa organizacji państw południowoamerykańskich, z którymi UE ma od dawna różnego typu relacje. Tymczasem teraz rząd Tuska zgadza się – bo okazało się, że się zgadza – na zawarcie z Mercosur umowy, która zniszczy polskie rolnictwo. Umowy, która dla Polski jest całkowicie nieopłacalna, za to bardzo opłaca się Niemcom. Rząd Tuska przed polską opinią publiczną udaje, że jest przeciwny umowie z Mercosur, a tymczasem nie ma żadnych śladów jego oficjalnego sprzeciwu w Brukseli. Minister Szłapka pełnił zresztą kluczową funkcję w sprawach unijnych, więc o tym doskonale wie. Teraz Szłapka produkuje jakieś żałosne idiotyzmy, byle tylko odwrócić uwagę od zgody rządu Tuska na umowę z Mercosur. Takie prymitywne gierki nie zasłonią prawdy o tym, co wyprawiacie!" – napisała Beata Szydło.

Innym winnym, którego próbowano wskazać, był polski komisarz ds. rolnictwa. Zdaniem polityków KO powinien on zrobić więcej. Ten przytacza na swoją obronę proste fakty. – Negocjacje rolne dotyczące Mercosuru zakończyły się w czerwcu 2019 roku, kiedy komisarzem z Polski była pani Elżbieta Bieńkowska. Przez pięć lat mojej kadencji Mercosur nie został podpisany. Został podpisany tydzień po moim odejściu z komisji w grudniu 2024 roku. Za mojej kadencji nic się w tej materii nie działo. Ta umowa była po prostu blokowana – mówi nam Janusz Wojciechowski, były komisarz UE ds. rolnictwa. Tymczasem rząd w Polsce nic nie robi, aby zablokować niekorzystną umowę.

Czyj Zielony Ład

Nie sposób nie zauważyć, że w sprawach europejskich i polityki międzynarodowej rząd Donalda Tuska uwielbia swoje błędy zrzucać na obóz przeciwników. Ta taktyka sprawdziła się w sprawie Zielonego Ładu. Ponieważ społeczeństwo nie orientuje się w polityce europejskiej, wywołano wrażenie, że za ten aspekt polityki odpowiadał Janusz Wojciechowski, a do znudzenia powtarzany jest spot, w którym komisarz opowiada o Zielonym Ładzie. Regularnie postulaty padają również z mównicy sejmowej z ust premiera, ministrów i polityków obozu rządzącego. Problem w tym, że Wojciechowski odpowiadał jedynie za część dotyczącą rolników, która dla wielu farmerów – zwłaszcza tych mniejszych i hodujących zwierzęta na mniejszą skalę – była korzystna. Największe zaś koszty i obawy w Zielonym Ładzie niosą kwestie energetyki, transportu i budownictwa. Tutaj najwięcej do powiedzenia mieli partyjni koledzy Donalda Tuska.

Zresztą sam lider KO jeszcze w 2022 roku chwalił się, że brał udział w tym historycznym dziele. „Wiele lat i miesięcy pracowaliśmy w ostatnim czasie w Polsce i w całej Unii Europejskiej, ja jeszcze byłem wtedy w Brukseli, kiedy ten plan się rodził, nad tym Zielonym Ładem. Wielkim, historycznym zadaniem dla całej Europy, na które to zadanie Europa znalazła pieniądze" – mówił Tusk w 2022 roku. Wtedy zarzucał rządowi Morawieckiego blokowanie Zielonego Ładu. O Zielonym Ładzie mówił również w ONZ. Wtedy też było dużo wielkich słów. „Patrząc w przyszłość, wiemy, że Europa musi iść dalej i szybciej. Nowo wybrana przewodnicząca Komisji Europejskiej przedstawi Europejski Zielony Ład w ciągu pierwszych stu dni swojego urzędowania. Zasugerowała również wzmocnienie unijnego celu redukcji emisji do 2030 r. do 50 proc., a nawet 55 proc. w odpowiedzialny sposób. Na początku przyszłego roku Unia Europejska przedstawi naszym międzynarodowym partnerom ambitną długoterminową strategię. Jestem przekonany, że Europa wygra wyścig o to, by stać się pierwszym na świecie kontynentem neutralnym dla klimatu. Unijny cel, jakim jest neutralność klimatyczna do 2050 r., został już poparty przez zdecydowaną większość państw członkowskich. Osobiście powiedziałbym, że jest tylko kwestią czasu, zanim wszystkie kraje UE podpiszą się pod nim" – stwierdził Tusk w 2019 roku w ONZ. Już w 2025 roku ten sam polityk dziwił się, że Zielony Ład wpłynął na ceny prądu, i… zaczął go krytykować. Oczywiście w tym wypadku winnym miał być również PiS, który nie zablokował polityki.

Co z nową perspektywą?

Widać, że taktyka ta weszła w krew Koalicji Obywatelskiej. W minionym tygodniu Komisja Europejska pokazała projekt budżetu UE na kolejną perspektywę finansową. KO natychmiast odtrąbiła sukces, mimo że budżet uderza w rolników. – Gdy ja byłem w Komisji, budżet rolny wynosił 387 mld euro. Dzisiaj ma wynieść 302 mld euro. Tyle uzyskał polski komisarz z PO i PSL. 302 mld euro przy ogólnym budżecie 2 bln euro. Czyli dzisiaj na politykę rolną będziemy wydawać 15 proc. budżetu. Wcześniej było to około 30 proc. Na Polskę przypadało 5 mld euro rocznie. Mówimy o funduszach dla rolników do 2027 roku. Zobaczymy, ile będzie w tej perspektywie, bo na razie tego nie wiemy. Wiadomo jednak, że z 302 mld euro nie da się wykroić tyle, ile się wykroiło z 387 mld euro. Wspólna Polityka Rolna dostawała 58 mld euro rocznie, teraz będzie to 43 mld euro rocznie. To pokazuje skalę klęski. Każdego roku unijni rolnicy będą mieli mniej o 15 mld euro. To ogromna suma. Nie wiem, ile polscy rolnicy stracą, ale między 1,5 a 2 mld euro to na pewno – mówi nam Janusz Wojciechowski.

Uważa, że taki budżet oznacza katastrofę. Do tego fundusze na modernizację obszarów wiejskich będą połączone z funduszami spójności. To pogorszenie sytuacji rolników. – Jak będzie podejmowana decyzja, czy dać na metro w Warszawie, czy rolnikom na obory, to z pewnością pieniądze pójdą na metro – mówi Wojciechowski. Jego zdaniem rząd nie mówi głośno, że wszystkie pieniądze z budżetu UE staną się warunkowe. Również te, które trafią na rolnictwo. – Nie chcę być złym prorokiem, ale nietrudno nim być, bo niestety fundusze rolne będą poddane w tej chwili warunkom karty praw podstawowych i praworządności. Do tej pory fundusze rolne były jedynymi wolnymi od kamieni milowych i warunków politycznych. Nikt tego nie pamięta, ale ja zapewniłem, że one nie podlegały żadnym warunkom. Pieniądze dla rolników były wypłacane niezależnie od tego, co się działo w Sądzie Najwyższym i sytuacji osób LGBT. Do tej pory wszystko, co dostawał rolnik, zależało od tego, co się dzieje w jego gospodarstwie, a teraz będzie zależało od tego, co się dzieje w sądach lub na marszach równości – mówi Wojciechowski. Na razie te informacje przebijają się powoli do świadomości Polaków. A co, gdy wybuchnie skandal i protesty? Wina będzie tych co zawsze. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

NASI CHŁOPCY, CZYLI KTO CHCE NAS UCZYĆ HISTORII?

Wydawało się, że zainteresowanie postacią Maksymiliana Schnepfa, teścia prorządowej propagandystki telewizyjnej Doroty Wysockiej-Schnepf, miało swoje apogeum podczas sławnej debaty w neo-TVP. To wtedy właśnie Polacy zaczęli interesować się „zasługami" pana Schnepfa w zbrojnym zwalczaniu polskich partyzantów i udziału w obławie augustowskiej, zwanej małym Katyniem. W ostatnich dniach miała jednak miejsce skandaliczna próba wybielenia Maksymiliana Schnepfa przez... Instytut Pileckiego (sic!), który w serii internetowych wpisów próbował w kuriozalny sposób wyliczać niewielki procentowy udział w sowieckich zbrodniach teścia Wysockiej-Schnepf! Niemal równocześnie w Muzeum Gdańska otwarto wystawę „Nasi chłopcy", traktującą o Polakach, mieszkańcach Pomorza Gdańskiego, służących w niemieckim wojsku podczas II wojny światowej. Co prawda trudno się było doszukać wyłuszczenia, że byli oni do hitlerowskiej armii wcielani pod przymusem i karą śmierci, zaś bez trudu dowiedzieliśmy się, że wstąpienie w szeregi Wehrmachtu wiązało się z ekscytacją i okazją do zwiedzenia świata. Wszystko to zebrane do kupy jak na dłoni pokazuje nam, że pod rządami Tuska historia Polski zaczyna być pisana po niemiecku, a nasi sąsiedzi z Zachodu i Wschodu tylko zacierają ręce...

ZŁOTE myśli

#Wybielanie-Schnepfa

1 Star
@PawelSokala
Pileckiego „wrobiono" w Auschwitz. „Nasi chłopcy" walczyli w Wehrmachcie. 6 mln obywateli RP „nie wróciło do domu". Żydów mordowała międzynarodówka „nazistów"... I tylko jeden jedyny bohaterski Maksymilian Schnepf zasłużył na specjalną, natychmiastową interwencję rzecznika Instytutu Pileckiego „na żywo", w trakcie programu telewizyjnego, w obronie jego bezpodstawnie szarganego dobrego imienia. Wszak on, odznaczony weteran Armii Czerwonej, tylko łapał ludzi dla NKWD...

Anna Mandrela
@AnnaMandrela
Maksymilian Schnepf nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności za udział w obławie augustowskiej. Przez całe życie był nagradzany, był m.in. dyrektorem w Żydowskim Instytucie Historycznym, a po śmieci został pochowany na Powązkach. Jego rodzina nadal robi kariery. Jego wnuczka jest związana z Muzeum Polin. Środowiska, które chcą wybielić jego zbrodnie, wciąż są silne w Polsce.

Karol Karolix
@karol_karolix
Tusk zdaje sobie sprawę, że znaczna część jego elektoratu to potomkowie bolszewickich sługusów. I właśnie aby zrobić im przyjemność, zainstalował w neo-TVP w likwidacji funkcjonariuszkę Schnepf. Za publiczne pieniądze oczywiście.

Wiktor Świetlik
@WiktorSwietlik
Likwidatorzy. Popularność Maksymiliana Schnepfa zaczyna przerastać popularność Doroty Wysockiej-Schnepf. Nadgorliwość Instytutu Pileckiego, pana Ruchniewicza i PO sprawiły, że temat, który szerzej interesował głównie prawicowych koneserów, stał się tematem powszechnym.

eprasa.pl 7fc163a04b

NA GRANICY

Internet wciąż żyje tym, co dzieje się na naszej zachodniej granicy. W sieci raz po raz pojawiają się zdjęcia niemieckiej policji sondującej, na co może pozwolić sobie w kwestii podrzucania nam niechcianych „lekarzy" i „inżynierów". Emocje udzielają się nawet zwykłym Niemcom, co pokazuje film z krzyczącą sąsiadką zza miedzy, która każe nam „ich sobie wziąć". Premier Tusk oczywiście umywa ręce, bo jego zdaniem problem na granicy rozwiązało wprowadzenie kontroli. Szkoda że nie podkreśla, iż są one wyrywkowe i *de facto* niewiele zmieniają.

SŁAWOSZ NA ZIEMI, IGA W SIÓDMYM NIEBIE

Dość szybko skończyła się w Polsce „faza na kosmos". Po tym, gdy nasz astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski wylądował bezpiecznie na Ziemi, całe show skradła mu małżonka Aleksandra (posłanka PO), która zdaniem internautów zaczęła u boku swego męża zachowywać się co najmniej niczym wielka księżna. Rząd także nie potrafił w żaden sposób komunikacyjnie wykorzystać lotu Polaka w kosmos, bo przecież czerstwych filmików z Tuskiem nie liczymy. Tymczasem parę dni później Sławosza czapką nakryła Iga Świątek, która wygrywając Wimbledon, zdominowała media. Co ważne, nawet wysoce kontrowersyjne zachwyty nad makaronem z truskawkami nie podzieliły Polaków tak, jak dzieli chociażby spór o ulubiony majonez. W obecnych czasach ktoś, kto łączy, a nie dzieli, jest prawdziwym mistrzem!

eprasa.pl 7fc163a04b

Maciej
Kożuszek
albicla.com/MaciejKozuszek

GDAŃSKA WALKA Z POLSKOŚCIĄ

Łagodni krytycy wystawy „Nasi chłopcy" o „mieszkańcach Pomorza" służących w Wehrmachcie mówią: Nieszczęśliwa nazwa, ale nie ma nic złego w opowiadaniu o tej części historii. Tymczasem ta wystawa i jej tytuł nie wzięły się z przypadku i nie jest to historia oddzielona od polityki. To jasna i konsekwentnie prowadzona polityka historyczna. Jedyny problem polega na tym, że nie jest to polska polityka historyczna.

PUBLICYSTYKA

Wszystko tu jest kłamstwem. Albo orwellowską nowomową. Prześladowania Polaków w przedwojennym Gdańsku nazywa się „trudną historią między narodami". Wolne Miasto, w którym w 1935 roku NSDAP zdobyło 59 proc. głosów (do Volkstagu weszło tylko dwóch przedstawicieli polskiej mniejszości), a następnie przeszło do brutalnego zwalczania opozycji, określa się „wielokulturowym Gdańskiem". Relatywizowanie niemieckich zbrodni i zacieranie granic pomiędzy ofiarą i katem to z kolei „historia bez narodowej hagiografii". Krytyków wystawy „Nasi chłopcy", na której umieszczono swoisty ołtarzyk dla Donalda Tuska (przypominający atak za „dziadka z Wehrmachtu"), oskarża się o to, że „robią politykę z trudnej historii". Mówimy o współczesnym Gdańsku, gdzie pamiątki po polskości zarastają chwastami, w którym godny pogrzeb Danuty „Inki" Siedzikówny odbył się ponad ćwierć wieku po przemianach 1989 roku. Gdy gdańska polityka na chwilę wyjdzie poza obszar lokalny, jak w wypadku ostatniej wystawy, albo po wypowiedzi wiceprezydenta Grzelaka z Westerplatte o „złym słowie Polaka przeciwko innemu narodowi", za każdym razem słyszymy, że nieszczęśliwie się złożyło, niefortunnie wyszło. Ale gdańszczanie wiedzą, że to nie jest dzieło przypadku.

Zbrodnia i idylla

Gdy 6 kwietnia 1931 roku w jednej z gdańskich stoczni cumował statek Kopernik, polski marynarz, Władysław Jerzyk, został zaatakowany przez niemieckich napastników. Na piersi wycięto mu nożem swastykę, zdjęcie okaleczonej piersi Jerzyka można było obejrzeć na wystawie „Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku" – przygotowanej przez Muzeum II Wojny Światowej pod rządami Karola Nawrockiego. „Sprawców nie postawiono przed wymiarem sprawiedliwości. Natomiast Jerzyk został oskarżony o symulowanie. W błyskawicznym procesie już w kilka dni od napadu uznano go za winnego. Otrzymał karę kilkutygodniowego więzienia" – czytamy w opisie ekspozycji. Kilka miesięcy wcześniej, w biały dzień, w placówce Kolei Państwowych został brutalnie zamordowany przez Niemca Waltera Gengerskiego gdański obywatel, Polak Bolesław Styrbicki. Sprawca nie został skazany. Bici byli polscy księża, a polskie biznesy, jak restauracja Jana Majewskiego, regularnie były celem ataków niemieckich bojówek.

Gdańscy Żydzi często uciekali z Wolnego Miasta, chroniąc się na terenie Polski. Machina zbrodni została uruchomiona już w pierwszych dniach II wojny światowej przez gdańskich nazistów. Na początku września rozpoczęła się pod Gdańskiem budowa obozu koncentracyjnego Stutthof. W kilku pierwszych miesiącach wojny pochodzący z Gdańska i okolic

RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

eprasa.pl 7fc163a04b

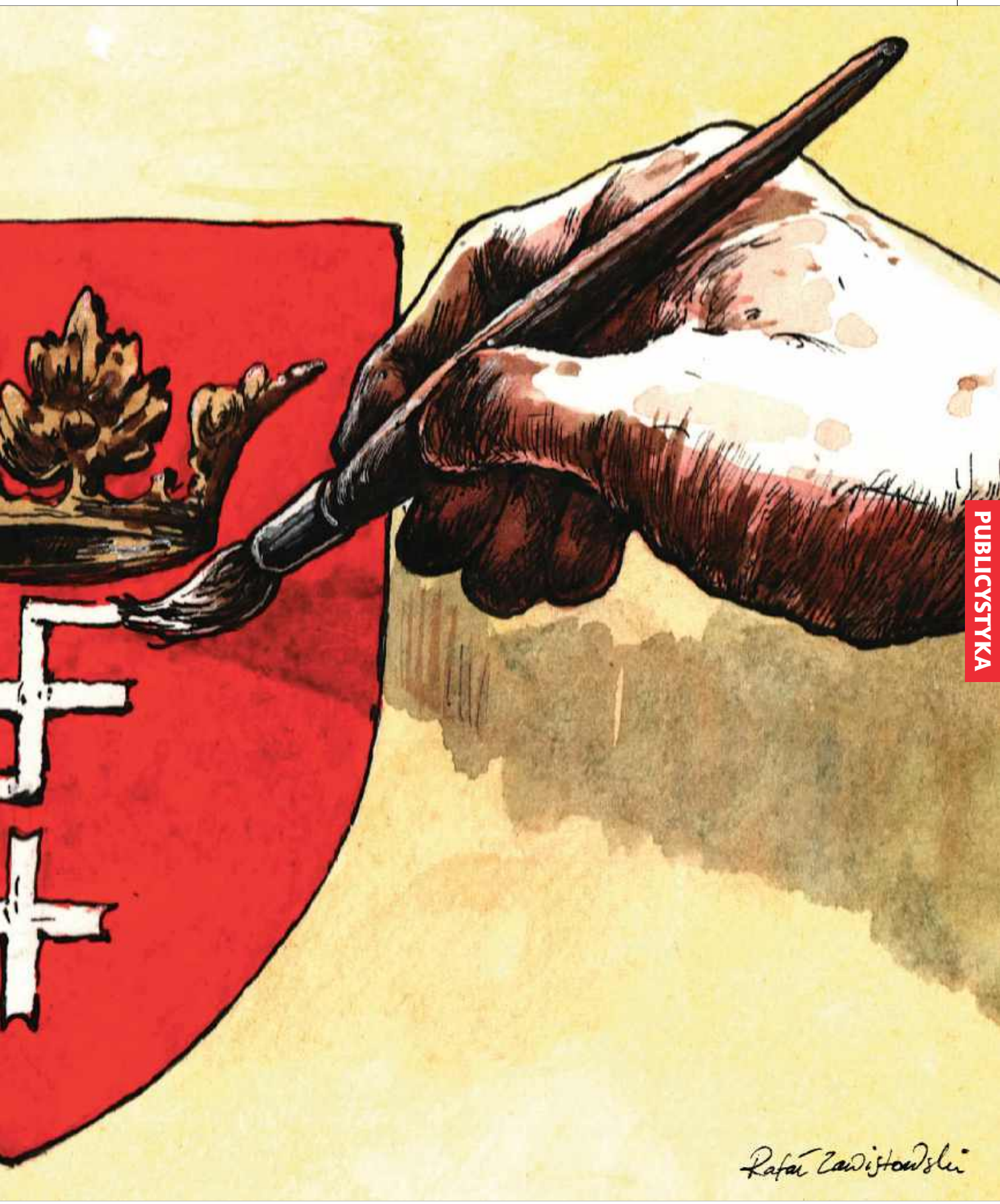

eprasa.pl 7fc163a04b

naziści wymordowali dziesiątki tysięcy Polaków, Żydów i niepełnosprawnych umysłowo. Co warto podkreślić, zbrodni tych dokonano przy współudziale w pełni znazyfikowanych instytucji WMG.

W styczniu 2025 roku władze Gdańska chwaliły się nową odsłoną Muzeum Poczty Polskiej w Gdańsku, ekspozycji, która nie była modernizowana od 1979 roku. „Jest w tym pewna symbolika, że stworzenie nowej wystawy stałej w Muzeum Poczty Polskiej będzie finansowane ze środków europejskich. Te środki pochodzą przecież od podatników z całej Europy, również z Niemiec. Dzięki wkładowi społeczności całej Europy będziemy mogli wkrótce przypominać o naszej historii" – mówił Marcin Skwierawski, wicemarszałek województwa pomorskiego. W opisie wystawy znajdujemy zdania o modernistycznej stylistyce dwudziestolecia wojennego, która pozwoli zwiedzającym „przenieść się do klimatu Wolnego Miasta Gdańska". Będą też stare pocztówki, które będzie można wysłać, a nawet okno, przez które zwiedzający zobaczą „stary Gdańsk", „atrakcje i życie turystyczne starego Gdańska". Jakby ktoś się rozczulił i na chwilę zapomniał, że chodzi o upamiętnienie bohaterskich obrońców Poczty Polskiej, to nie, ten temat też będzie. „Do piwnic prowadzić będzie Sala Konfliktu, ponurymi, ciemnymi kolorami – tak odmiennymi od jasnych przestrzeni idylli przedwojennego Gdańska".

Gdyby ktoś jednak wolał nie schodzić do piwnicy, to władze miasta oferują mnóstwo okazji, by poczuć „przedwojenną idyllę" WMG. Jak choćby odbywający się tu co roku festiwal Grassomania: wystawy, zajęcia w szkołach, odczyty i wykłady. Niektóre edycje trwają ponad tydzień, a na przykład ta z 2018 roku zaczynała się (może trochę niefortunnie – powiedzą gdańscy inteligenci) 2 września. A gdański skarb, Günter Grass, też niefortunnie, służył w Waffen SS pod koniec wojny. Ale już opis obrony Poczty Polskiej w „Blaszanym Bębenku" nie jest przypadkiem. Wymieniony z nazwiska dyrektor placówki dr Jan Michoń przedstawiony jest jako tchórz, który wścieka się i bije swoich podwładnych. Co więcej, Grass pomija kluczową scenę, krótko po kapitulacji poczty. „Chociaż Jan Michoń trzymał w ręku białą koszulę na znak kapitulacji, został zastrzelony. Zginął także naczelnik Józef Wąsik, który wyszedł drugi. Według relacji, został podpalony miotaczem ognia. Dopiero kolejni Polacy opuszczający gmach zostali ujęci" – przypomina historyk Jan Daniluk, na łamach „Dziennika Bałtyckiego".

Nowy człowiek, europejski

Strona liberalna w dyskusji o wystawie „Nasi Chłopcy" lubi obsadzać krytyków w roli historycznych ignorantów, którzy chcieliby rugować bolesne fakty i oczekują, że fakty zastąpi „narodowa hagiografia". Ale fałsz tego argumentu jest wielopoziomowy. Bo historia Wolnego Miasta jako „wielokulturowej idylli" jest zmyślona, wyobrażona jest fantazją, która ma być podbudową dla przyszłości, także będącej zmyśleniem: przyszłości wielokulturowej, otwartej, tolerancyjnej i – przede wszystkim – europejskiej. Hagiografia jest dopuszczalna, ale wtedy gdy dotyczy historii WMG albo zjednoczonej Europy. Niewygodne fakty były sumiennie rugowane z życiorysu Lecha Wałęsy, a przechodzień siadający na ławeczce obok figury Güntera Grassa albo dzieci przygotowujące prace inspirowane twórczością noblisty, nie dowiedzą się o jego służbie w Waffen SS. – Kontekst nie jest odpowiedni – powiedzą twórcy nowej tożsamości, jak prof. Ruchniewicz, obecny szef Instytutu Pileckiego, który stwierdził, że polska prezydencja w Radzie to zły moment, by upominać się o reparacje od Niemiec.

Pod płaszczykiem „europeizacji" czy „uniwersalizacji" historii, w takich instytucjach jak Europejskie Centrum Solidarności czy Muzeum II Wojny Światowej nie tylko pomija się polskich bohaterów, ale też rozmywa się odpowiedzialność Niemiec. Zbrodnie nazistowskie z niemieckich stają się uniwersalną przestrogą, nienawiść do innego narodu jest niebezpieczna także w polskim wydaniu. Młody wówczas wiceprezydent Grzelak, mówiący o „złym słowie Polaka przeciwko innemu narodowi", był nieodrodnym dzieckiem tego myślenia. Wolne Miasto było idyllą, gdzie tożsamość była „gdańska", ludzie żyli w zgodzie, a nagle pojawili się naziści i wszystko popsuli. Muzeum Miasta Gdańska zaczęło stosować pojęcia „Polacy" i „wcieleni siłą" dopiero wtedy, gdy wystawa wzbudziła społeczne emocje. W pierwotnym opisie wystawy mowa była o „mieszkańcach Pomorza Gdańskiego", a ekspozycja miała dać szansę potomkom „zrozumieć decyzje [wyróżnienie MK] swoich dziadków i pradziadków".

Zamiast Solidarności

Historia w Gdańsku nie ma wcale na celu rekonstrukcji faktów. To raczej bardzo wygodna opowiastka pozwalająca realizować władzom swoje projekty, bez oglądania się na mieszkańców, dla których historia kolebki Solidarności – Stoczni Gdańskiej jest dużo bliższa niż opowieści dziadka z Wehrmachtu. To właśnie na terenach postoczniowych odbywa się inżynieria mająca na celu stworzenie nowego człowieka. ECS powstał poza terenem stoczni, pomyślany nie jako muzeum, ale rozsadnik liberalnej wizji świata. Panele z niemieckimi historykami, warsztaty o problematyce migracji etc. to cele, jakie realizuje instytucja. Gdy na terenach postoczniowych deweloperzy budowali nową dzielnicę, władze miasta ochrzciły ją mianem Młode Miasto, dla upamiętnienia krzyżackiej osady Jungstadt, założonej w tym miejscu w XIV wieku. Tutaj także historia jest raczej wyobrażona, bo jeśli Krzyżacy mają być praojcami „otwartego miasta", to warto pamiętać, że Gdańszczanie w XV wieku rozebrali zamek krzyżacki własnymi rękami i do ostatniej cegły. Byli opozycjoniści proponowali miastu, by nową dzielnicę ochrzcić mianem „Solidarność", ale władze miasta, jeszcze za rządów śp. Pawła Adamowicza, odpowiedziały, że nazwa współcześnie kojarzy się nie najlepiej, bo reprezentuje ją związek zawodowy, który został upolityczniony. Przechadzka po nowej dzielnicy nie pozostawia złudzeń: na płotach można zobaczyć hasła deweloperów, które mówią, że jest to miejsce, gdzie zamieszkać ma nowy człowiek. „Rozszerz horyzonty", „Możesz być tu kim chcesz" itd. A gdzieś między uliczkami, za ogrodzeniem, został jeszcze ślad po jakimś stoczniowym generatorze, który jest niczym więcej niż dekoracją, mającą tworzyć klimat „autentycznego miejsca", będącą pamiątką, tylko nie wiadomo po czym. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

FELIETON

{ WRZUTKA }

Marcin
Wolski
albicla.com/MarcinWolski

NASI CHŁOPCY Z WEHRMACHTU

Sporym rozgłosem cieszy się wystawa w Gdańskim Ratuszu „Nasi chłopcy z Wehrmachtu". Przypuszczam, że jej otwarcie odbyło się pod honorowym patronatem najsłynniejszego Wnuczka z Wehrmachtu. Ciekawe, co legło u podstaw przedsięwzięcia? Głupota czy też chęć podlizania się sponsorom? Nikt nie kryje, że losy Polaków siłą wcielanych do armii hitlerowskiej to problem trudny i ciekawy. Z pewnością powinien być tematem badań naukowych i historycznych dysertacji. Muzeum to jednak coś innego. Ekspozycje zawsze odwołują się do emocji, pokazują wzory i przykłady godne upamiętnienia. Relatywizacji zła, symetryzm postaw to wielki krok w stronę zatraty narodowej świadomości. Wyobrażacie sobie może inną wystawę pod tytułem „Szmalcownicy z Generalnej Guberni, bezimienni założyciele polskiej klasy średniej" eksponowaną najlepiej w Muzeum Polin? Toż to byłaby afera od Waszyngtonu po Tel Awiw. Jako od pokoleń mieszkaniec Kongresówki przywykłem traktować Rosję jako zło większe, a Niemcy – mniejsze. Chyba niesłusznie. Niemcy, oczywiście z wyjątkiem Hitlera, nie zamierzali Polaków wytępić, lecz jedynie zgermanizować i przyuczyć do posłuchu. Polska o statusie kolonii, lenna czy parapaństwa była przecież cennym rynkiem zbytu i rezerwuarem siły roboczej. W tym kontekście nie dziwi, że ościenny kraj tak zabiega, aby „landem Polen" rządzili odpowiedzialni namiestnicy. Oczywiście narrację zakłócają takie incydenty jak Grunwald, bitwa nad Bzurą czy Powstanie Warszawskie, dlatego gesty zrównujące bohaterów i oportunistów są nad Łabą dobrze widziane. Tylko czekać na ekspozycje polskiego niewolnictwa chłopów, polskiego antysemityzmu i polskiego zabobonu. Choć eksponatów jest ciągle za mało. Dlatego tak przydatni bywają wolontariusze, jak na przykład artystka Ostaszewska, która w hordzie nielegalnie przełażącej przez granice widzi przede wszystkim chętnych do pracy inżynierów, pielęgniarki, lekarzy i ekonomistów. Nie życzę Pani, aby ktokolwiek z nich Panią leczył albo inwentaryzował ruchomości w mieszkaniu. **GP**

Tylko czekać na ekspozycje dotyczące polskiego niewolnictwa chłopów, polskiego antysemityzmu i polskiego zabobonu.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

Tomasz
Łysiak
albicla.com/TomaszLysiak

INSTYTUTU PILECKIEGO NISZCZENIE

Nie da się spokojnie patrzeć na to, co robi Instytut Pileckiego pod wodzą nowego szefa, prof. Krzysztofa Ruchniewicza. Instytucja, która stała się, za czasów szefowania jej przez Magdalenę Gawin, jednym z ważniejszych w kraju ośrodków prowadzenia polityki historycznej, edukacyjnej czy tożsamościowej, obecnie już nie tylko stoi na krawędzi, lecz także powoduje chaos i oburzenie wielu Polaków. Likwidacja takich projektów jak „Zawołani po imieniu", zespołu zajmującego się medalami Virtus et Fraternitas – nagrodami dla Sprawiedliwych Ukraińców ratujących Polaków w czasie ludobójstwa wołyńskiego, czy wreszcie centrum im. Rafała Lemkina to skandale, z których każdy powinien być wstrząsający nie tylko dla opinii publicznej, lecz także dla elity politycznej i rządzących. A już wpisy na X i FB o obławie augustowskiej przekraczają wszelkie normy i granice. „Porucznik Maksymilian Sznepf dowodził jednostką ludowego WP o wielkości 110–160 żołnierzy, która zatrzymała 22 osoby, z których część nigdy nie wróciła do domu – brzmiał wpis, w którym pani rzecznik wyjaśniała także: – W Obławę zaangażowanych było 45 000 żołnierzy, udział jednostki Schnepfa stanowi jedynie 2 promile tych sił". Zastanawiające – dlaczego Instytut Pileckiego pisze o Maksymilianie Sznepfie? Skąd akurat ten wpis? Dla każdego to rzecz oczywista – przez związek rodzinny z pewną dziennikarką i pewnym ambasadorem. A całość sformułowana w skandaliczny, wybielający sprawców sposób oraz przy wykorzystaniu typowych dla czasów komunistycznych eufemizmów w stylu „nigdy nie wrócili do domu". Tu już nawet żadne dymisje, choćby i szefów Instytutu, nie pomogą – bo nie chodzi o nowe szefostwo, lecz o to, kto je powołał i dlaczego właśnie takie? I jeśli ktoś gada, że ci, którzy utyskują, że w Polsce obecnie jest realizowana proniemiecka polityka historyczna, to prawicowi „wariaci", to radzę temu komuś pokazać i opowiedzieć o tym, co wyczynia Instytut Pileckiego pod nowym, „uśmiechniętym" kierownictwem. Tego się nie da obronić. **GP**

Nie da się spokojnie patrzeć na to, co robi Instytut Pileckiego pod wodzą nowego szefa, prof. Krzysztofa Ruchniewicza.

eprasa.pl 7fc163a04b

Wojciech
Mucha

STOLICE ANTYPISOWSKOŚCI CZY ANTYPOLSKOŚCI? SŁOWO O „WIELKICH MIASTACH”

Skandal wokół przedstawianej w Muzeum Gdańska wystawy poświęconej wcielonym do Wehrmachtu obywatelom II RP z Pomorza Gdańskiego „Nasi chłopcy” po raz kolejny każe stawiać pytania o to, w jaki sposób w samorządach (szczególnie największych miast, ale nie tylko) postrzegana jest nie tylko polityka historyczna, ale szerzej – polska racja stanu.

PUBLICYSTYKA

W Galerii Palowej Ratusza Głównego Miasta w Gdańsku eksponowana jest wystawa „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy”. Już sam jej tytuł sugeruje, że wcieleni do Wehrmachtu i walczący po stronie Hitlera w czasie II wojny światowej to rzekomi „nasi”.

Takie określenie wobec masy wcielonej w szeregi hitlerowskiej machiny śmierci szokuje. Owszem, każdy z nich to syn, brat, mąż i ojciec, każda z tych historii jest inna. Oczywiście poszczególne opowieści wciągniętych do Wehrmachtu mieszkańców Pomorza Gdańskiego zasługują na zbadanie i opisanie. Są zapewne intrygujące, jak choćby potencjalne zestawienie kontrastujących ze sobą postaw, na przykład dezercji, by wstąpić do polskiego podziemia versus „przyjęcia z dobrodziejstwem” niemieckiego munduru i posłuszne wykonywanie rozkazów, zdrada polskiej sprawy. Podobnie interesujące wydają się badania nad skalą represji, jakie groziły Polakom i ich rodzinom za odmowę czy dezercję z Wehrmachtu. Wszystko poznawczo ciekawe. Ale jacy oni w swej zbiorowości „nasi z Wehrmachtu”?

Dziadek Tuska na wystawie

Poza skandalicznymi „naszymi chłopcami” w tytule wystawy można tam m.in. znaleźć wyeksponowane tezy mówiące o tym, że nie brakowało ludzi cieszących się z nowych okoliczności, jakie dawała rekrutacja w szeregi okupanta. Takie przedstawienie akcentów jest nie tylko oburzające, ale też szalenie groźne, ponieważ relatywizuje postawy przyjmowane wobec Niemców i wyolbrzymia skalę zjawiska. Kto wie – może trwale wprowadzając nieprawdziwy obraz „Polaka z Wehrmachtu” do coraz bardziej zakłamanej debaty o II wojnie światowej? W Niemczech na pewno są z tego zadowoleni.

Nie bez znaczenia jest także fakt, że jednym z ważniejszych elementów wystawy jest próba „rozmydlenia” w masie różnorakich przypadków dziadka Donalda Tuska – Józefa, słynnego „dziadka z Wehrmachtu”. Przodkowi premiera i awanturze z 2005 roku poświęcona jest część ekspozycji. Wszystko ułożone tak, by opuszczający odchodził będąc myślami przy rzekomo niesprawiedliwym ataku na Tuska i z jednoczesnym wrażeniem, że „takie były czasy”, a w najgorszym razie, że „to wszystko skomplikowane” (niektórzy uznają to wręcz za pretekst wystawy).

Ta oburzająca sprawa to jednak zaledwie tylko element tego, w jaki sposób na szczeblu lokalnym, tam, gdzie rządzą liberałowie, prowadzona jest polityka, w tym ta historyczna. Nie jest tajemnicą, że zarządzany Gdańsk od wielu lat co najmniej dziwnie podchodzi do swego „niemieckiego dziedzictwa”. Ma to wyraz choćby w odwoływaniu się do okresu „Wolnego Miasta Gdańska” („Freie Stadt Danzig”). Ale sama ta formuła – „Wolne miasto” – przez całe lata służyła do podkreślania rzekomej odrębności i wyższości wybierającego liberałów Gdańska nad (polskim) pisowskim ciemnogrodem. „Gdańsk nie jest antypolski, jak sugerują ostatnio prawicowi publicyści. Gdańsk jest antypisowski. I wyrasta na stolicę polskiej opozycji” – pisała przed laty w oko.press Anna Mierzyńska (była polityk PO, obecnie „analityczka sieci”). Tyle że to nie tylko Gdańsk, bo za „stolicę antypisowskości” uważa się chyba każde z największych miast w Polsce. Oprócz Gdańska – Warszawa, Poznań, Wrocław i wreszcie Kraków. Wszędzie tam prawica od dawna przegrywa wybory samorządowe i nie widać na razie szans na zmianę tego stanu rzeczy (Zjednoczona Prawica robi niewiele, by to zmienić).

Niemcy tu byli i mają być

Gorzej, że władza liberałów wiąże się nie tylko z inną filozofią rządzenia, choćby w kwestiach środowiska czy zarządzania transportem miejskim. Gdyby tylko o to chodziło, można by uznać, że tak zdecydowali wyborcy. Tymczasem miasta zarządzane przez przedstawicieli koalicji 13 grudnia lub ich ideowych odpowiedników coraz częściej przypominają laboratoria nie tylko lewicowej ideologii, ale także miejsca, w których prowadzi się politykę idącą na przekór polskiej racji stanu.

eprasa.pl 7fc163a04b

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI/FORUM

Dla przykładu poza opisywanym Gdańskiem i „naszymi z Wehrmachtu” tylko w ostatnich dniach po raz kolejny na pierwsze strony trafił Wrocław. Wszystko za sprawą skandalu, gdy na ścianach głównej auli na Uniwersytecie Wrocławskim zastąpiono Orła Białego portretem współodpowiadającego za I rozbiór Polski Fryderyka II, króla Prus (co ciekawe, portret podobno nie wisiał tam w oryginale). Jednocześnie, jak czytamy w serwisie niezalezna.pl, na wrocławski Most Grunwaldzki wraca herb Hohenzollernów, a przedstawiciele miasta wprost mówią, że nie zamierzają odwoływać się w swojej polityce jedynie do krótkiego okresu, gdy Wrocław jest (lub był) polski. Cóż to znaczy, można sobie wyobrazić.

Symptomatyczna jest przy tym reakcja mediów III RP. Gdy podniosły się głosy oburzenia na te pomysły, we wrocławskiej „Gazecie Wyborczej” można było przeczytać, że ci, którym się nie podoba to, co wyprawiane jest we Wrocławiu, zapewne „wstydzą się wielonarodowej i wielokulturowej historii tego miasta, bo są ksenofobami i nacjonalistami, bliżej im do Wschodu niż do Zachodu” – proste, prawda? „Tu jest Wrocław. Tak, europejskie miasto, (...) mające ponad tysiąc lat, a nie osiemdziesiąt” – ogłasza z łamów „GW” Beata Maciejewska. Kto wie, może w związku z tym należałoby we Wrocławiu ustanowić polsko-czesko-niemiecko-austriacki zarząd komisaryczny. Trudno nie odnieść wrażenia, że takie rozwiązanie znalazłoby zwolenników nie tylko w redakcji „Wyborczej”, ale także wśród innych „europejczyków”, tak pogardliwie wyrażających się o „polskości” Wrocławia, jakby sami mieli z nią wielki problem.

Trochę inaczej ma się sprawa w Krakowie, gdzie odwoływanie się do czasów „cesarsko-królewskich” i „naszego Cesarza Franciszka Józefa” po swoim szczycie popularności w latach 90. i idącym za tym dziwacznym snobizmem oraz komercjalizacją pamięci o zaborze austriackim, zeszło na margines. I tu jednak nie brak charakterystycznego dla „wielkich miast” poczucia „europejskości” i transgranicznych więzi z „ideami europejskimi”, które często nie oznaczają nic innego ponad małpowanie dziwacznych pomysłów. Podobnie jest zresztą w Poznaniu i Warszawie. Wszędzie nie brak ideologicznych cyrków, w typie organizowanych przez miasto szkoleń z inkluzywności, po ostentacyjne adorowanie ideologii LGBT czy angażowanie miejskiej kasy w historie takie jak Campus Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego. Na ten z zarządzanych przez koalicję 13 grudnia samorządów popłynęły setki tysięcy złotych. Gdańska wystawa jest tylko smutnym odpryskiem takiej agendy.

To nie tylko wizja miasta, to wizja świata

A może rzeczywiście większość mieszkańców tych miast to skrajnie liberalni wyborcy, którzy akceptują taką politykę i są gotowi w zamian za realizowanie tej agendy znosić domknięcie lokalnych układów i wszelkie samorządowe patologie? Może taka wizja rządów im pasuje? Może istotnie widzą siebie bardziej jako część wyobrażonej (i nieistniejącej) ponadnarodowej wspólnoty, gdzie mieszkańcom Wrocławia czy Gdańska jest rzekomo bliżej do Berlina i Paryża niż do Kłocka i Łomży? Byłoby to smutne, ale nie jest, niestety, niemożliwe. I jest bardzo szkodliwe dla Polski.

Gorzej, że piewcy „samorządności” wiedząc o tym, chcą iść dalej, czemu służą pojawiające się co rusz pomysły, jak reforma Senatu, który w wizji autorów miałby być izbą złożoną z przedstawicieli samorządów. W praktyce oznaczałoby to nic innego jak wprowadzenie na stałe blokującego organu złożonego z lewicowo-liberalnych polityków.

Innym pomysłem jest „przekazywanie środków unijnych bezpośrednio do samorządów, z pominięciem centrali w Warszawie i poszczególnych ministerstw”. Taką propozycję wysuwano wielokrotnie, szczególnie zaś w momencie, gdy Komisja Europejska bezprawnie blokowała wypłatę Polsce pieniędzy z KPO. Wszystko to rozpruwałoby Polskę w szwach.

Ale taka sytuacja jest możliwa również dzięki dziesiątkom lat formowania się układów lokalnych, możliwych dzięki wielokrotnym kadencjom poszczególnych włodarzy miast, by wymienić choćby byłego prezydenta Sopotu, Jacka Karnowskiego, rządzącego miastem od 1998 do 2023 roku, czy Jacka Jaśkowiaka, prezydenta Poznania od 2014 roku. Aby walczyć w patologiami w samorządach, w 2018 roku uchwalono ustawę, wprowadzającą dwukadencyjność wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Teraz cofnięcia tego przepisu domaga się PSL. Pozostaje mieć nadzieję, że jeśli ta propozycja przejdzie przez parlament, to nie zyska przychylności prezydenta Karola Nawrockiego, podobnie jak inne osłabiające Polskę „reformy samorządu”. Co jak co, ale realia „małej Sycylii” – jak mówi się przecież o Gdańsku – zna on bardzo dobrze. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

Krzysztof
Wołodźko

HOŁOWNIA, CZYLI KWADRATURA KOŁA.
Trzynastogrudniowiec z ludzką twarzą

Silna, jak jej najsłabsze ogniwo. W momencie kryzysu to ono pęka najszybciej, niszcząc lub uszkadzając spójność całej struktury. Przed tym wyzwaniem staje właśnie koalicja 13 grudnia, sama przyczyniając się do postępującego upadku Polski 2050 i kłopotów Szymona Hołowni.

PUBLICYSTYKA

Szymon Hołownia zrobił w rodzimej polityce błyskawiczną karierę. Miłośnicy zdrobnień powiedzieliby – karierunię. W krótkim czasie wdzianko katocelebryty z TVN zmienił na garnitur politycznego lidera. Przezorni ostrzegali, że to już było, że satelity krążące po orbicie wyznaczonej przez Donalda Tuska prędzej niż później spotyka zły los. Tuż po wyborach salony i saloniki III RP ogłosiły triumfalnie: „Teraz już się udało!". Donald Tusk, niczym premier-słońce liberalno-postkomunistycznego układu, zyskał wreszcie godną siebie planetę. Może trochę łzawą, ale budzącą zachwyt ludzi, którzy niby to chcieli nowej jakości w polskiej polityce, lecz koniecznie pod auspicjami Koalicji Obywatelskiej. Dostali więc marszałka Sejmflixa, lidera Polski 2050, przez kilkanaście miesięcy robiącego do nas miny ni to dzielne, ni to pocieszne również jako współtwórca – nieistniejącej już – Trzeciej Drogi.

Trzynastogrudniowiec z ludzką twarzą

Trzeba przyznać Szymonowi Hołowni, że przez kilkanaście miesięcy próbował grać rolę trzynastogrudniowca z ludzką twarzą. A przy tym reformatora sejmowych złych obyczajów. W Sejmie miało już nie być zamrażarki, do której trafiają ustawy źle widziane w bieżących kalkulacjach partyjnych, politycy mieli już się nie odgradzać od obywateli i dziennikarzy. Liberalne i lewicowe media z zachwytem opowiadały opinii publicznej o niezwykłej popularności marszałka Sejmu, nazwanego Sejmflixem. Podobno nawet w stołecznych kinach organizowano seanse obrad niższej izby polskiego parlamentu – taka to była znakomita rozrywka, która uczyła i bawiła tłumy demokratów i liberałów. Jeżeli ktoś nie był do końca przekonany do Tuska, miał mu coś za złe sprzed lat, nie do końca był pewien, czy największa koalicyjna formacja zapewni te wszystkie wysokie standardy, o których tak trąbiła w kampanii wyborczej, mamiąc naiwnych i puszczając oko do co sprytniejszych – zawsze mógł powiedzieć, że przecież głosował/popiera Szymona Hołownię. I że Trzecia Droga to właśnie ta siła w polskiej polityce, która gwarantuje zachowanie wagi między koalicjantami.

Dziś z tej bajeczki z mchu i paproci, z pewną siebie miną podawanej przez poważne media i jeszcze poważniejszych publicystów, właściwie nic nie zostało. Nie ma Trzeciej Drogi, najpewniej nie ma też – realnie – Polski 2050, jako znaczącej formacji z liczącymi się w terenie strukturami. Wyparowały gdzieś dobre notowania Szymona Hołowni, który w wyborach prezydenckich poniósł spektakularną klęskę, a każdy kolejny sondaż pokazuje, że jego efemeryczna partia dryfuje w polityczną nicość bodaj szybciej niż „zderzaki partyjne" dla Donalda Tuska, tworzone niegdyś przez Janusza Palikota i Ryszarda Petru. Znając polskie realia, można się zakładać, czy Polska 2050 nie stanie się jeszcze jedną z partii-kanap, tworzących Koalicję Obywatelską – o ile ta formacja przetrwa w obecnej formie nadciągający coraz większymi krokami kryzys przywództwa. Szymon Hołownia z okolicznościowego pupila stał się chłopcem do bicia dla elektoratu anty-PiS. Po 13 grudnia usłyszał niejedno ostrzegawcze warknięcie, ale teraz jest już bombardowany nienawiścią. Trzeba przyznać, że to akurat wystawia mu jak najlepsze świadectwo – postawił się swoim koalicjantom i fanatycznej, szurskiej części ich elektoratu w bardzo ważnej sprawie. Mowa oczywiście o kwestiach związanych ze zwołaniem Zgromadzenia Na-

eprasa.pl 7fc163a04b

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/ GAZETA POLSKA

rodowego i zaprzysiężeniem prezydenta elekta Karola Nawrockiego.

Konsumpcja przystawek już nie pomaga

Powtórzę – Hołownia przez wiele miesięcy usiłował grać trzynastogrudniowca z ludzką twarzą. Być może nadal próbuje tej sztuki, ale widać, że nie przynosi to już żadnego pożytku ani jemu, ani rządzącej koalicji. Od dawna słyszeliśmy, że co prawda „przystawki" KO zaczną upadać, ale partia Tuska pożywi się na ich trupie. Argument był taki, że elektorat lewicy, PSL i Polski 2050 postawi na najsilniejszego konia w zaprzęgu i zagwarantuje największej rządowej formacji stabilne, wysokie poparcie. Tylko że nic takiego się nie dzieje. Sondażowy upadek PSL i ugrupowania Hołowni jest faktem, podobnie jak wahania dość mizernego poparcia dla lewicy. Tylko że okolicznościowy elektorat ani myśli zostać przy trzynastogrudniowcach – wyraźny jest nowy skok ku prawicy; zaznaczył się również – wciąż do bacznego obserwowania – wzrost notowań Razem.

Partia, której liderem jest Adrian Zandberg, szybko się zorientowała, że pozostawanie w tym układzie rządzącym, nawet w imię kilku tuczących synekur, unieruchomi ją w strefie zgniotu. Z hukiem, czy może – skoro mówimy o współczesnej lewicy – z huczkiem, pożegnała się z rządzącym towarzystwem. I szuka szczęścia na antyestablishmentowych wodach, w nieco innym otoczeniu ideowo-politycznym próbując powtórzyć strategię dwóch Konfederacji. Zandberg miał lepsze polityczne wyczucie niż Hołownia, ale i mniej do stracenia – domyślił się, że nie ma sensu grać „trzynastogrudniowca z ludzką twarzą", skoro nikt właściwie nie oczekuje już takiej postawy. Emocje wyborców popłynęły w inną stronę, rozczarowanie stylem rządzenia obecnej władzy tylko rośnie, a niepowodzenia Rafała Trzaskowskiego i mocne wejście do gry Romana Giertycha, wspieranego przez TVN i „Gazetę Wyborczą" („obyś żył w ciekawych czasach!"), w sprawie wyborów prezydenckich rozsadziło logikę „trzeciej drogi".

Antyestablishmentowa formacja establishmentu

Hołownia próbował starej sztuczki z kwadraturą koła – antyestablishmentowej formacji na usługach partii władzy. Dawno temu na łamach portalu TVP Info opublikowałem artykuł (rzecz jasna skasowany przez likwidatorów) bodaj: „Mówisz: Hołownia. Myślisz: Tusk", w którym analizowałem, dlaczego Trzecia Droga nie gwarantuje żadnej nowej jakości, a jedynie szansę na powrót Tuska do władzy. Na poły ze zdumieniem, na poły z rozbawieniem obserwuję malejące, lecz gorąco wierzące grono znajomych, ludzi na ogół dobrze sytuowanych i społecznie aktywnych, którzy wciąż wierzą w sukces Szymona Hołowni jako samodzielnego polityka na rodzimej scenie partyjnej. To są nierzadko osoby wychowane na etosie tzw. społeczeństwa obywatelskiego i organizacji samorządowych, mieszczący się między umiarkowanym „wolnorynkizmem" a warunkowym etatyzmem.

Troszkę im współczuję, bo uważam, że choć Hołownia jest postacią politycznie wykreowaną dla potrzeby chwili, to jednak nie tak paskudną jak Janusz Palikot i nie tak szkodliwą jak Ryszard Petru. Trudno mieć jednak złudzenia, że to postać, która samodzielnie żadnych oddolnych i politycznych struktur nie stworzy. A nawet jeśli istniał pomysł, by „ujednolicić" czy też „uwspólnić" elektoraty PSL i Polski 2050, to właśnie widzimy fiasko tego socjopolitycznego projektu. Zaryzykuję publicystyczną hipotezę, że Hołownia miałby dziś znacznie silniejszą pozycję, gdyby po 15 października 2023 roku nie wszedł do rządu albo wyszedł z koalicji w tym samym czasie co Razem. To się jednak nie mogło wydarzyć, bo Polska 2050 nie po to przecież powstała.

Stara mądrość powiada, że grupa wspólnie realizująca określone cele jest tak silna, jak jej najsłabsze ogniwo. Dziś najsłabszym ogniwem rządzącej koalicji jest Szymon Hołownia, który nie spełnił, bo nie mógł spełnić, żadnej pokładanej w nim przez koalicjantów nadziei. Nie utrzymał lojalności wahającego się elektoratu, nie związał niestabilnego centrum ani z własną formacją, ani z Trzecią Drogą, ani z trzynastogrudniową koalicją. Choć to nie do końca jego wina, to przecież na niego koalicjanci przerzucą całą odpowiedzialność za narastający kryzys. Co dzieje się na naszych oczach. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

Witold
Gadowski

Co można zrobić ze zgniłego jabłka

Słowo rekonstrukcja oznacza zmianę istniejącego na lepsze. W wypadku rządu Donalda Tuska właściwsze byłoby słowo ekshumacja. Trudno bowiem nazywać coś, co gnije i wydziela polityczny fetor, zjawiskiem, które rokuje jeszcze jakieś życiowe nadzieje.

Koalicja, której poszczególne części znajdują się co najmniej w stanie wyborczej hibernacji, nie rokuje już żadnej nadziei na interesujące zmiany. Lewica Czarzastego znajduje się w stanie agonalnym, partia Hołowni praktycznie sczezła, zeteselowcy także zaczynają wydzielać trupi odór. Jedynym czynnikiem, który ciągle znajduje się w stanie witalnym, jest Platforma Obywatelska, która jednak – na sposób kanibalistyczny – żywi się truchłem gasnących koalicjantów.

W tej sytuacji Donald Tusk musi rozstrzygnąć dylemat: podać tlen zdychającym czy odciąć własną partię od trupiego jadu i pożeglować samodzielnie. Takie rozwiązanie wymaga jednak odwagi i ryzykanckiego postawienia wszystkiego na jedną kartę. Założenie: koalicjanci nie mają wyjścia i dalej będą zmuszeni żyrować rząd autorski PO – jedyne sensowne – wymaga jednak odwagi i wizjonerskiego spojrzenia w przyszłość. Rząd politycznie zebrany w karby i poprowadzony silną ręką może trwać i rozwijać jeszcze jakąś własną polityczną wizję Polski, pod warunkiem jednak, że taka wizja w ogóle istnieje. Zakładałoby to jednak, że PO jest partią autonomicznie polską, a nie sprawującą jedynie administrowanie Polską w imieniu Niemiec.

Drugim rozwiązaniem jest permanentne budowanie koalicji, w którym następują kolejne ruchy pozorne, a bezwartościowi ministrowie zastępowani są innymi zupełnie bezwartościowymi dublerami. Ruchy zakładające pozorne zmiany w imię nic niewnoszącego spokoju kupią Tuskowi nieco czasu, ale nieuchronnie będą prowadzić do politycznego i moralnego upadku.

Istnieje jeszcze trzecie rozwiązanie. Odwrócenie uwagi od bezradności i bezpłodności koalicji rządowej poprzez wywołanie politycznego kryzysu, który zajmie uwagę większej części publiczności. Wtedy na przykład korowody z zaprzysiężeniem prezydenta Karola Nawrockiego mogą wywołać tak dużą awanturę, że spowodują wstrząs. Oczywiście wiąże się to z kryminalną odpowiedzialnością premiera i coraz bardziej wątpliwego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Poważne istnienie państwa polskiego będzie wymagać wtedy surowych wyroków wobec wszystkich winnych tej awantury. Innej drogi dla budowania niepodległości nie ma. Tusk jednak może zaryzykować, gdyż liczy na wsparcie niemieckiej BND i całej potęgi rządu federalnego. Nikt jednak nie zagwarantuje tego, że bezwartościowy, w pewnym momencie, Tusk nie zostanie przehandlowany przez kanclerza Merza za ustępstwa Stanów Zjednoczonych w innej kwestii. Wtedy pouczający koniec kariery Tuska może być jednym z bardziej budujących suwerenność publicznych spektakli.

> Kiedy nie ma idei, która mogłaby uporządkować działalność egzekutywy i postawić przed nią jasne cele oraz pozwolić na opracowanie stosownej do nich strategii, pozostają jedynie ordynarne sztuczki i błagalne spojrzenia w kierunku Berlina.

Jednym słowem, nie istnieje obecnie żaden niosący ożywczy powiew scenariusz tzw. rekonstrukcji rządu. Kiedy nie ma idei, która mogłaby uporządkować działalność egzekutywy i postawić przed nią jasne cele oraz pozwolić na opracowanie stosownej do nich strategii, pozostają jedynie ordynarne sztuczki i błagalne spojrzenia w kierunku Berlina. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

Jacek **Liziniewicz**

WYZWANIE DLA KOŚCIOŁA

Sprawa noty dyplomatycznej do Watykanu, jaką wystosował polski MSZ, jest i śmieszna, i straszna. Zabawne jest to, że to stanowisko ocieka wręcz amatorszczyzną. Trudno powiedzieć, kto to pisał, ale po lekturze wiadomo, że nie był on najostrzejszą kredką polskiej dyplomacji. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że to jakiś wstawiony sabotażysta. Tak bym myślał, ale sprawę postanowił drążyć Radosław Sikorski, który zaczął używać języka komunistycznych agitatorów walczących z klerem. Inna sprawa, że po 18 miesiącach rządów wojna dyplomatyczna z Watykanem to w zasadzie jedyny „sukces" tego resortu. A miało się przecież tyle w dyplomacji dziać i miał to być wielki skok jakościowy... Rzeczywistość jednak skrzeczy. Przegapiono polską prezydencję. Tusk jechał do Kijowa w doczepianym wagonie. W UE nie znaczymy nic i w zasadzie traktują nas jak kraj przygłupów, któremu co najwyżej można wydać rozkaz do spełnienia. No, może i można by było pracować nad własną pozycją, ale skoro w MSZ zajmują się słuchaniem homilii biskupów, to rzeczywiście mają kupę roboty. Należy założyć jednak, że atak na biskupów miał jakiś polityczny cel. Jaki? Z pewnością chodzi o swego rodzaju efekt mrożący. O zastraszenie i sianie podziałów. Kościół bowiem, wbrew obiegowej opinii, przez ostatnie półtora roku był wielkim nieobecnym w polskiej polityce. I można to zrozumieć. Ale też władza ma świadomość, że jest to śpiący olbrzym, który prędzej czy później się obudzi. Jedyne więc, co pozostaje, to próby podziałów wśród hierarchów. I rzeczywiście to coraz częściej widać, że toczą oni dialog przez media. To niepokojące i świadczące o słabnącej pozycji Kościoła. O braku jedności. Będzie to odklejać wiernych od pasterzy. Czy to koniec? Nie wydaje mi się. Nie takie już spory w historii tej instytucji bywały. I nie tacy jak Sikorski próbowali ją niszczyć. **GP**

> Po 18 miesiącach rządów wojna dyplomatyczna z Watykanem to w zasadzie jedyny „sukces" MSZ-u.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

Krzysztof **Karnkowski**

POD TYM SAMYM SZARYM NIEBEM

Obejrzałem ostatnio film Mary Tamkovich „Pod szarym niebem". To inspirowana faktami, poruszająca opowieść o losach białoruskiej dziennikarki uwięzionej przez reżim i o jej mężu, próbującym uzyskać dla niej wolność. Najpierw w ramach skromnych możliwości dawanych przez system, później już za wszelką cenę, również taktycznej współpracy z władzą wymuszonej pogarszającym się stanem zdrowia Leny. Dramat dziewczyny zaczyna się od nadawanej na żywo transmisji z protestów, jakie przetaczały się przez Mińsk i Białoruś po wyborach prezydenckich w 2020 roku, pierwszych, w których wygrana Łukaszenki została zakwestionowana na taką skalę przez obywateli i społeczność międzynarodową. Lena przez okno widzi pacyfikację tłumu, a za chwilę sama zostaje brutalnie porwana z mieszkania i zaczyna się wszystko, co znamy z doniesień od naszych sąsiadów, choćby na temat Andrzeja Poczobuta. Film został zrealizowany w Polsce, jednak główne role są odgrywane przez Białorusinów, oni też stanowią większość ekipy. To jeszcze echa polityki zagranicznej soft power, którą zarzuciła ekipa Tuska wraz z przetrąceniem organizacyjnego karku Bielsatowi, również odgrywającemu w tej opowieści dużą rolę. Oglądałem więc bardzo dobry, lecz przytłaczający obraz z mieszanymi uczuciami. Nie tylko dlatego, że pokazywał on walkę w sprawie właściwie przegranej, lecz także dlatego, że siedząc w ładnym kinie, w jeszcze ładniejszym ośrodku kultury, zastanawiałem się, czy jesteśmy bardzo daleko od tego, co widzimy na ekranie. Kiedyś, lata temu, pisałem o Białorusi i ówczesnej Ukrainie tekst piosenki z refrenem „Niedaleko stąd, ale przecież nie tu", który na końcu zmieniał się w pytanie: „(…) więc czemu by nie tu?". Historie urzędniczek, torturowanych i szantażowanych, sprawa księdza Olszewskiego, gry ze zdrowiem więźniów politycznych, znane dobrze naszym czytelnikom. To już tutaj przyszło, to już jest. Kto zrobi o tym film? **GP**

> „Pod szarym niebem" to inspirowana faktami, poruszająca opowieść o losach białoruskiej dziennikarki uwięzionej przez reżim.

eprasa.pl 7fc163a04b

Dawid
Wildstein

UWAGA NA BRAUNIZM NA PRAWICY!

Ostatnie brednie Brauna dotyczące „nieistniejących komór gazowych" pokazały wyraźnie, że mamy do czynienia z niebezpiecznym prowokatorem, działającym na korzyść wrogów Polski. Pamiętajmy jednak, że niezależnie od fiksacji tego polityka na punkcie kwestii żydowskich, najważniejszym „odcinkiem propagandowym", na jaki został wysłany, są relacje polsko-ukraińskie. Polska prawica musi więc zrobić wszystko, by ograniczyć infekowanie swojego obozu rozmaitymi „braunizmami", aktywnie walcząc z tym zjawiskiem. Jednocześnie trudno nie zauważyć, że postawa ukraińskich elit w Polsce tylko to utrudnia, więcej – że momentami zachowują się one jak Braun à rebours.

PUBLICYSTYKA

W wypadku Brauna sprawa jest jasna. Gdyby polityk ten nie istniał, uśmiechnięta władza musiałaby go sobie wymyślić. Na szczęście, w przeciwieństwie do słynnych „urodzin Hitlera", zjawisko zwane Braunem ma się dobrze i regularnie dostarcza Tuskowi oraz jego mediom atrakcyjnej dla nich pożywki. Tak w kwestiach żydowskich, jak i ukraińskich. Zasada jest prosta. Wszystko, co zrobi Braun, zapisywane jest na konto opozycji, nieważne, że ma ona do tego polityka stosunek skrajnie negatywny. Ostatnio Wielowieyska z „GW" rozdzierała publicznie szaty, pytając, kiedy w końcu Kaczyński potępi Brauna, zupełnie nie zważając, że zrobił to dzień wcześniej.

Wspólnicy Brauna

Dowcip polega na tym, że uśmiechnięta władza deklaratywnie tak negatywnie nastawiona do Brauna bardzo często realizuje jego agendę polityczną, jeśli chodzi o prorosyjskość i antyukraińskość. Wymieniać tego typu działania obecnej władzy można w nieskończoność. Mamy zablokowanie (lub opóźnianie) kluczowych, rozwojowych inwestycji, które ograniczyłyby możliwość wpływu Moskwy na nasz kraj, takich jak atom czy CPK (które byłoby potencjalnie bardzo istotne dla NATO). Zauważmy zresztą, że CPK było jednym z celów ataków Brauna, który bredził, że to przykrywka pod „żydowski bunkier". Przyklepywanie skrajnie szkodliwych i prorosyjskich dyrektyw europejskich, jak Zielony Ład, pakt migracyjny czy Mercosur. Tak jak brednie o sfałszowanych w Polsce wyborach, będące scenariuszem ewidentnie pisanym na Kremlu. Podobnie twierdzenia o rezygnowaniu z NATO na rzecz jakichś fantasmagorii o przyszłej potędze niemieckiej armii.

Putin musi z zadowoleniem patrzeć też na praktykę umieszczania obrońców jego szpiega Rubcowa oraz ludzi, którzy wspierali putinowski atak hybrydowy na granicę polsko-białoruską, w ważnych instytucjach państwa czy mediach uśmiechniętej władzy. Dodajmy do tego gigantyczne kontrakty MZA z putinowskimi firmami czy niszczenie ośrodków walczących z rosyjską propagandą. Tym ostatnim ekipa Tuska zajmuje się z wyjątkową intensywnością. Praktyczne zlikwidowanie TVP World i Bielsatu. Zniszczenie Instytutu Pileckiego i zablokowanie działań Centrum Lemkina, dokumentującego rosyjskie zbrodnie w Ukrainie. Warto przy okazji wspomnianego Instytutu dodać, że jego obecna działalność, której głównym priorytetem wydaje się być zniszczenie pamięci o polskich bohaterach II wojny światowej, to element szerszych działań władzy Tuska. Ich celem jest przedstawienie Polaków jako współsprawców Holocaustu, co idealnie współgra z polityką historyczną Kremla.

Cała proukraińskość tej władzy jest więc iluzją – w jej utrzymaniu zaś pomaga właśnie Braun. Oburzając się na niego, PO może zerowym kosztem stroić się w szaty największego przyjaciela Kijowa, działając w zgoła odmienny sposób. Wszystko to wydaje się jednak zupełnie nie obchodzić ukraińskich elit w Polsce (mowa o najważniejszych przedstawicielach tej diaspory, ze szczególnym uwzględnieniem dziennikarzy, aktywistów, artystów i polityków).

Zadziwiające podobieństwa

Większość opisanych powyżej sytuacji nie jest nawet komentowana bądź zauważana

eprasa.pl 7fc163a04b

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

przez wspomniane środowiska, może z wyjątkiem sprawy Centrum Lemkina, ale i to w dość wąskim gronie oraz sporadycznie. Można za to odnieść wrażenie, że mamy do czynienia wśród tych ludzi wręcz z formą ścigania się, jeśli chodzi o podlizywanie się obecnej władzy i atakowanie opozycji.

Oczywiście dystans do PiS-u jest o tyle zrozumiały, że partia ta obecnie nie rządzi, wszystko jednak wskazuje, że może się to szybko zmienić. Tym trudniej, poza kwestiami grantowymi, zrozumieć ten festiwal ataków na PiS. Przede wszystkim należałoby oczekiwać od wspomnianych grup większej świadomości konsekwencji określonej polityki historycznej. Kto jak kto, ale akurat Ukraińcy powinni wiedzieć, czemu służy robienie z całego narodu „faszystów i nazistów". Zarówno jeśli chodzi o historię, jak i teraźniejszość. Tymczasem co rusz podchwytują oni brednie prorosyjskiej uśmiechniętej władzy. Opowiadają o faszyzującym się narodzie polskim, o ksenofobii i rasizmie, które podnoszą łeb, oczywiście z winy złej prawicy. Znów – ludzie, którzy na własnej skórze dziś czują, co znaczy i do czego prowadzi absurdalny argument ad faszyzm, mogliby mieć tę uczciwość, żeby trzymać się z dala od takiej narracji. Zwłaszcza że powtarzają oni analogiczną narrację co Braun, opisując Polaków tak, jak on Ukraińców. To zaskakujące podobieństwo obu tych narracji sięga zresztą głębiej, uwidacznia się w samej strukturze patrzenia na rzeczywistość. Dla wspomnianych elit, tak jak i u naszych ukrainożerców, najważniejsze stają się kwestie czysto symboliczne. Dla obu grup sprawa Wołynia okazuje się ważniejsza niż geopolityka, tylko jedni oczekują codziennego przypominania o tym i uzależnienia od tego całości relacji z Ukrainą, ci drudzy zaś za samo wspomnienie o tym temacie rzucają oskarżeniami o prorosyjskość i faszyzm. Na koniec dnia okazuje się więc, że najważniejsze są słowa, nie konkretne czyny. Trudno o bardziej samobójczą – tak dla Ukrainy, jak i Polski – politykę.

Do tanga trzeba dwojga

Co więcej, patrząc na to „przylepienie się" ukraińskich elit w Polsce do środowisk powiązanych z uśmiechniętą władzą, można odnieść wrażenie, że odrzuciły one przekonanie, iż silna, suwerenna, zdolna podejmować samodzielne decyzje Polska leży w ich interesie. Że nie chcą Polski o realnej, mocnej pozycji międzynarodowej, czyli – z konieczności – o silnych, ścisłych relacjach transatlantyckich. Tego typu postawa jest absurdalna i sprzeczna z ukraińską racją stanu. Tylko taka Polska może być dla Ukrainy realnym sojusznikiem, co zresztą w sposób wystarczający pokazały pierwsze miesiące pełnoskalowej ofensywy Rosji. Jeśli zaś chodzi o kontakty Polski z USA, tym lepiej dla Ukrainy, żeby były one bliskie, im bardziej zaognione są jej własne relacje z Trumpem. Polska może być wtedy po prostu jej adwokatem (mrzonki o zastąpieniu USA Berlinem, którego przyszła potęga zatrzyma Moskwę, są zbyt absurdalne, by je nawet komentować). Mamy tu do czynienia z ponurym paradoksem. Przecież to ukraińskie środowiska powtarzają jak mantrę, że tylko silna, niepodległa, decydująca sama o sobie Ukraina będzie zabezpieczeniem przed imperializmem Rosji. Mają oczywiście rację, jednak jednocześnie, jeśli chodzi o Polskę, wręcz oczekują, żebyśmy stali się tylko jednym z wielu trybików w UE, pozbawionym możliwości samostanowienia w brukselskiej, czytaj: niemieckiej, wersji federalizacji.

Zauważmy jednak na koniec, że opisywana tu postawa elit ukraińskich NIE ZWALNIA W ŻADEN SPOSÓB polskiej prawicy nie tylko z walki z szurią Brauna, lecz także z aktywnego szukania drogi do wyjścia z tej sytuacji. Niezależnie od naszego rozczarowania postawą elit ukraińskich, Rosja pozostaje głównym wrogiem, zaś Ukraina – kluczowym elementem blokującym jej ekspansję. Obrażając się na ten kraj, oddajemy pole nie tylko Niemcom, lecz także samej PO. W sposób wystarczający opisał to w swoim niedawnym tekście w „Gazecie Polskiej" Wojciech Mucha. Ktoś może powiedzieć, że do tanga trzeba dwojga. Ale czy faktycznie polska prawica, poza konstatacją, że z niektórymi środowiskami ukraińskimi rozmowa nie ma sensu, stara się znaleźć inne ścieżki komunikacji? Pozyskać inne środowiska? Czy korzysta ze swoich aktywów, takich jak Romaszewska, Dworczyk, Miśkiewicz, Dzięciołowski czy wspomniany już Mucha i wielu innych? Póki nawet nie próbuje, działa tak, jak chcą tego Berlin, Tusk i Braun. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

Jakub
Maciejewski

O PAMIĘĆ WOŁAJĄ OFIARY – ALE WSZYSTKIE OFIARY

Polskie ofiary totalitaryzmów znów wracają i upominają się o pamięć. W ziemi wciąż czekają ciała pomordowanych, ale w zależności od bieżącej polityki Rzeczpospolita o jednych mówi głośno, o innych cicho, a o pozostałych – wcale. Rzeź Wołyńska od kilku lat, a Obława Augustowska od kilku tygodni są znów ważną częścią debaty publicznej. Ale czy to wystarczy?

PUBLICYSTYKA

Wiosną tego roku po raz pierwszy strona polska uzyskała realną zgodę na ekshumację ofiar ludobójstwa Polaków na Wołyniu – w Puźnikach. W lutym 1945 roku doszło tam do rzezi na mieszkańcach, dokonanej przez członków UPA pod dowództwem Petra Chamczuka „Bystrego". Odkopywanie ciał objęte jest ścisłą tajemnicą i pracujący tam zespół stosuje się do całkowitego zakazu kontaktu z mediami. Powodem tej dyskrecji jest coś więcej niż obawa przed negatywną reakcją ukraińskich władz, to także autentyczne wojenne warunki – ofiary UPA natychmiast byłyby wzięte na sztandary przez rosyjskich nazistów Putina, a tego i Ukraina, i Polska chciałyby uniknąć. Wiemy jednak, że w Puźnikach kończą się już prace wokół jamy grobowej nr 1, a do poszukiwań i ekshumacji w następnym miejscu potrzebna jest dodatkowa zgoda. Pismo w tej sprawie ma być rozpatrzone lada dzień. Strona polska jest jednak podzielona co do dalszych intencji Ukraińców.

Tylko Puźniki?

– To wszystko są małe kroki w dobrym kierunku – mówi „Gazecie Polskiej" Michał Dworczyk z Prawa i Sprawiedliwości, który zarówno relacjami Warszawa–Kijów, jak i konkretnie poszukiwaniami ofiar Rzezi Wołyńskiej zajmuje się od wielu lat. Polityk wskazuje na obecne kadry w ukraińskim Ministerstwie Kultury, które są życzliwe polskim poszukiwaniom. – Zarówno Mykoła Toczycki, jak i jego zastępca, Andrij Nadżos, doskonale rozumieją nie tylko naszą potrzebę ekshumacji, ale też po prostu konieczność dochodzenia do prawdy o tamtej zbrodni – kontynuuje Dworczyk. Potwierdzają to liczne rozmowy z historykami ukraińskimi, którzy mają pełną wiedzę na temat 1943 roku i podczas wielopłaszczyznowej współpracy z polskimi kolegami po fachu nabrali przekonania, że Ukrainie nie wolno unikać ekshumacji na Wołyniu. A jednak nad dalszymi poszukiwaniami nadal wiszą czarne chmury. Po pierwsze – premier Denys Szmyhal podał się w połowie lipca do dymisji, a rekonstrukcja rządu może zmienić kurs także w Ministerstwie Kultury, i to akurat w czasie, gdy rozstrzygają się losy dalszych pozwoleń na poszukiwania. Po drugie – swoistego rodzaju nacjonalistyczny deep state naszego wschodniego sąsiada potrafi perfidnie rozgrywać potrzeby strony polskiej. Obecnie na przykład wydano zgodę na kolejne poszukiwania i ekshumacje na Ukrainie – w Zboiskach i Hołosku, które dziś są częścią Lwowa. Jednak tam leżą doczesne szczątki nie ofiar rzezi wołyńskiej, lecz obrony Lwowa w 1939 roku – żołnierze II Rzeczypospolitej. O to Polacy też wnioskowali od lat i teraz strona ukraińska wyraża na to zgodę, bo to bezpieczny dla niej temat, a jednocześnie unikną wątków wołyńskich. Oczywiście Rzeczypospolitej zależy także na obrońcach Lwowa z 1939 roku, ale wiadomo, że Kijów wykazał się tutaj nie tyle gestem dobrej woli, ile perfidnym unikiem przed tematem zabójstw UPA. Puźniki to też zresztą obwód tarnopolski (z dala od epicentrum zbrodni), a wydarzenia z roku 1945 działy się poza główną falą mordów. Wniosek zaś został złożony przez Fundację Wolność i Demokracja, a nie IPN, którego urzędnicy ukraińscy starają się unikać.

Niemcom wolno więcej?

– Żaden przełom, Puźniki to wyjątek, dalej będzie ściana. Znowu – mówi osoba od lat rozmawiająca ze stroną ukraińską o ekshumacjach. Trudno ukrywać frustrację, zwłaszcza że Niemcy swoje poszukiwania na terytorium Ukrainy prowadzą niemalże swobodnie. Tak jak ze strony polskiej zajmuje się tym IPN, Pomorski Uniwersytet Medyczny czy Fundacja Wolność i Demokracja, tak z Berlina działa tu Niemiecki Związek Narodowy Opieki nad Grobami Wojennymi (Volksbund),

eprasa.pl 7fc163a04b

FOT. YOUTUBE

który poszukuje swoich żołnierzy, także nazistowskich, i organizuje im cmentarze, stawia nagrobki oraz konserwuje je – także w Polsce, ale też na Ukrainie, nawet tej wojennej. To znaczy, że jeśli wiosną 2023 roku, a więc w toku intensywnej rosyjskiej inwazji, ukraińscy żołnierze niedaleko Iwanofrankowska odnaleźli ciała z II wojny światowej, niemieckie stowarzyszenie natychmiast otrzymało wszystkie potrzebne zgody, by dokonać poszukiwań i ekshumacji. W ten sposób zidentyfikowano 41 żołnierzy Wehrmachtu. Zarówno niemieccy eksperci, jak i dziennikarze otrzymali błyskawiczny dostęp do wskazanego miejsca, by prowadzić swoje prace i zbierać materiały. Polacy czekają na każdą zgodę pełni wątpliwości, czy ona w ogóle nadejdzie, a jedne Puźniki jako część zbrodni UPA wydają się jedynym jasnym punktem na mapie polskich próśb. Wygląda to więc słabo, skoro Niemcy mogą sobie upamiętniać przodków-nazistów i ludobójców, a Polacy muszą wyczekiwać całymi latami na wbicie łopaty w poszukiwaniu ofiary totalitarnego ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich ekstremistów.

A Rosjanom już odpuściliśmy?

Jednak ofiary ludobójstwa wołyńskiego nie stanowią wszystkich naszych zabitych porozrzucanych bezimiennie po obcej ziemi. O ile bowiem w latach PRL intensywnie sprawdzano ślady niemieckich zbrodni, o tyle rosyjskie akty ludobójstwa do dziś pozostają przed Polakami zakryte. Doniosłym przykładem jest los ofiar Obławy Augustowskiej, gdzie do dziś nieznane jest miejsce pochówku 600 ofiar sowieckiej deportacji. Władze RP, które sprawują rządy od 2023 roku, wręcz opóźniały powstanie i otwarcie Muzeum Obławy Augustowskiej w Suwałkach. W Instytucie Pileckiego, który się takimi zbrodniami zajmuje, zasiadł proniemiecki prof. Krzysztof Ruchniewicz, zaś jego rzecznikiem prasowym został Jan Gebert, „resortowe dziecko", tj. potomek sowieckich komunistów zainstalowanych w Polsce. Wiadomo, że Ruchniewicz spotykał się z Ryszardem Schnepfem, synem jednego ze sprawców Obławy Augustowskiej – jak więc w takim prokomunistycznym klimacie państwo polskie ma odkrywać ślady sowieckich zbrodni na Polakach? Tymczasem Armia Czerwona, NKWD i inne służby komunistycznego imperium stosowały wielopłaszczyznowe zbrodnie na polskiej ludności – jeszcze od kolektywizacji lat 30., przez deportacje, morderstwa i tortury w ciągu całej II wojny światowej, które znaczą wsie i bezimienne miejsca kaźni setek tysięcy Polaków na Kresach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Dlatego, że część tych ziem leży dziś na Białorusi, której rząd jest Polsce nieprzychylny; z powodu tego, że archiwa Moskwy czy Petersburga nadal są zamknięte dla polskich badaczy; wreszcie z racji skomunizowanych elit III RP – nadal los wielu naszych rodaków z przedwojennej Polski jest nieznany.

Dość żonglowania ofiarami

Osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy nie było wystarczającym okresem, by te gigantyczne zaległości nadrobić. Instytut Strat Wojennych im. J. Karskiego przeprowadził pogłębione badania nad niemieckimi zbrodniami w Polsce w czasie II wojny światowej, co zaowocowało raportem i wyliczeniem wymiaru strat, jakie III Rzesza zadała Polsce. Następnym wielkim projektem miały być analogiczne badania wobec strony sowieckiej i rosyjskiej. Ale okupowane przez Sowietów terytoria leżą przeważnie poza obecnymi granicami Polski, więc zadanie to miało być trudniejsze, jednak przez rząd Tuska zostało ono kompletnie zaniechane. Dyrektor Instytutu, dr Konrad Wnęk, został w kuriozalny sposób odwołany, a na jego miejsce nikogo nowego nie powołano – kolejna instytucja, która miała dopominać się o polskie ofiary rosyjskiego komunizmu, jest wygaszana.

W dyskusji nad losem pamięci o polskich bohaterach i ofiarach warto bronić stanowiska o swoistej równości losów. Zabici przez UPA, rozstrzelani przez NKWD, zgwałcone przez Armię Czerwoną czy zagazowani przez Niemców zasługują na godny pochówek, identyfikację, a także osobne miejsce w polskim podręczniku historii. Owszem, politykę trzeba wykorzystywać, by jak najwięcej ciał odnaleźć, ale polityce nie wolno dawać się wykorzystywać, by jedne ofiary przykryć drugimi. Państwo polskie padło ofiarą dwóch totalitaryzmów – niemieckiego i rosyjskiego, nazistowskiego i sowieckiego, komunistycznego, których spadkobiercy są na tyle silnymi graczami, że potrafią zagłuszyć swoje zbrodnie naszym cierpieniem w innych miejscach. Ale my żonglować ofiarami nie chcemy – sprawiedliwość należy się wszystkim. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

KARA ZA KIELCE

Tadeusz **Płużański**

Tragedia kielecka – tak zatytułowaną informację autorstwa Tadeusza Szturm de Sztrema, działacza niepodległościowego Polskiej Partii Socjalistycznej Wolność, Równość, Niepodległość, można znaleźć w aktach powojennego mordu sądowego na rtm. Witoldzie Pileckim. Antysowiecka grupa Pileckiego, dzięki kurierom, przekazała ją do sztabu II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa we Włoszech. W informacji dotyczącej tzw. pogromu kieleckiego 4 lipca 1946 roku czytamy m.in.: „Z całego przebiegu zajść wynika, że inicjatywa wyszła od czynników rządowych, które po faktycznym przegraniu referendum [sfałszowane przez komunistów referendum „3 x TAK”] stworzyły w ten sposób pretekst do represji w stosunku do wszelkiej opozycji, przylepiając do zajść etykietkę «reakcyjną» i antysemicką. […] Stwierdzić trzeba stanowczo, że zajścia kieleckie nie były pogromem antysemickim, lecz był to odruch rewolucyjny tłumu przeciw obecnemu reżimowi terroru i przywilejów klasowych”. Szturm de Sztrem pisze dalej, że „znaczna część Żydów – mieszkańców domu przy ulicy Planty 7 – była tajnymi agentami UB”, a „w następnych dniach usiłowano sprowokować zajścia antysemickie w kilku innych miastach i osiedlach”. Tadeusz Szturm de Sztrem swoją wiedzę przypłacił wieloletnim więzieniem. To w dużej mierze „zasługa” prominentnego ubeka Adama Humera. Ten komunistyczny oprawca torturował w śledztwie również bp. Czesława Kaczmarka. Dlaczego? Powołana przez ordynariusza kieleckiego komisja uznała, że „pogrom” kielecki to naprawdę prowokacja UB, a nawet NKWD. Aresztowanie, tortury i haniebny proces bp. Kaczmarka były właśnie karą za Kielce. Na jego zlecenie powstał bowiem raport, przekazany następnie ambasadorowi USA w Warszawie Arthurowi Bliss Lane’owi. Czytamy w nim m.in.: „Cała polska prasa rządowa poświęciła temu faktowi mniejsze lub większe ustępy, zgodnym chórem stwierdzono, że chodziło tu o przygotowany przez organizacje podziemne, których nici sięgają aż generała Andersa, pogrom Żydów, że był to ruch o charakterze faszystowskim”. **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

STAN SPOCZYNKU CZY STAN NIESZKODLIWOŚCI

Józef **Wieczorek**

Stan spoczynku to status prawny powiązany z uposażeniem, będącym odpowiednikiem świadczenia emerytalnego. W stan spoczynku przenoszeni są sędziowie po przekroczeniu określonego wieku lub wskutek stanu zdrowia. Mogą spoczywać, ale przyzwyczajeni do działania niekiedy nadal są aktywni w przestrzeni publicznej, a jako niezależni działają nieraz politycznie na szkodę sądownictwa i państwa, postulując na przykład łamanie prawa i niezależność poczynań od Konstytucji, nawet jeśli ją współtworzyli. Taki stan „spoczynku” jest wręcz niebezpieczny dla funkcjonowania systemu prawnego. Podobnie w stan spoczynku przenoszeni są żołnierze, także generałowie, którzy w tym stanie bywają wykładowcami, a nawet rektorami uczelni wojskowych, m.in. Akademii Sztuki Wojennej. Generałowie w stanie spoczynku, po szkoleniach w Związku Sowieckim, mogą swoje doświadczenia z minionej epoki przekazywać młodej kadrze wojskowej, co wywołuje niepokój, jeśli chodzi o stan bezpieczeństwa państwa. O możliwość przenoszenia profesorów w stan spoczynku zabiegają środowiska akademickie. I tak na przykład prof. Kaniewska (szefowa KRASP – Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich) uważa, że stan spoczynku dla profesorów umożliwi wymianę pokoleniową na uczelniach, bo „często starsi, zasłużeni profesorowie zostają na uczelni i blokują etaty, które mogłyby przypaść młodym naukowcom”. Faktem jest jednak, że nawet bardzo wiekowi profesorowie, nawet jak nie są już na etatach, mogą wpływać na awanse czy projekty młodszych akademików, czasem ze szkodą dla nauki. Jeszcze 40 lat temu, w czasach „jaruzelskich”, postulowałem, aby tych akademików, którzy szkodzą nauce, przenosić w stan nieszkodliwości. Wówczas jednak uznano, że to ja szkodzę szkodnikom, a to jest dla nich (zwykle „zgniłków” w terminologii naukowej o. J.M. Bocheńskiego) szkodliwe i to mnie – w ramach samoobrony szkodników – wprowadzono na ścieżkę dyscyplinarną dla unieszkodliwienia. Ale statusu prawnego stanu nieszkodliwości, który byłby korzystny dla patologicznej domeny akademickiej (i nie tylko), ograniczył plagi, wówczas nie było i nie ma do dziś. A szkoda. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

ZAWSZE CI SAMI

Dawid **Wildstein**

Wystawa „Nasi chłopcy z Wehrmachtu" wywołała skandal. Trudno się dziwić, zwłaszcza że mamy tu do czynienia nie z jednostkową sytuacją, lecz z elementem szerszego działania, które jest od lat standardem polityki samorządów pod władzą partii Tuska. W sposób wyczerpujący ta patologia jest omawiana w tekstach tego numeru „Gazety Polskiej". Warto jednak zauważyć, kto natychmiast stanął murem za wspomnianą wystawą. To są zawsze te same osoby – banda nadętych snobów, uważających się za alfy i omegi polskości, za postępową elitę naszego kraju, autorytety z łamów „Wyborczej" czy anteny TVN. I jak zwykle powtarzają te same nieprawdy, od lat, niezdolni wymyślić niczego nowego, nawet jeśli chodzi o kłamstwa. Znów słyszymy brednie o tym, że sprzeciw wobec tego typu wystaw to objaw ksenofobii, faszyzmu i niechęci do wielokulturowej historii Polski. Za to w tym samym czasie, kiedy my opowiadamy o polskich kolaborantach, niemieccy dziennikarze wprost piszą o polskim współudziale w Holocauście, zaś Niemcy w Berlinie zapraszają turystów na wystawę o tym, jak ich obywatele... dzielnie służyli w wojskach alianckich, walcząc z nazistami. Cóż, jak widać, inne państwa wiedzą, w jaki sposób należy mówić o własnej historii. W tym kontekście widać jedną z fundamentalnych różnic między Polską a silnymi państwami reszty UE. Tam większość – nieważne, z lewicy czy z prawicy – wie, że pewnych rzeczy się po prostu nie robi. Nie pluje się na własny kraj na zewnątrz, za to eksponuje się jasne karty jego historii, jego bohaterów. Nie robi się z własnego narodu bandy morderców. Nie wkłada się własnej flagi w fekalia, nie udaje się, że polityka historyczna nie istnieje, przy okazji sprowadzając ją do opowieści o tym, jak własne państwo było okropne. Czyli zachowują się dokładnie na odwrót niż nasza liberalna pseudo-elita od Tuska, „GW" i TVN. Cóż, po raz kolejny widać, że ci, którzy uważają się za największych Europejczyków, są tymi, którzy przez swoje zacofanie najbardziej nas od standardów Zachodu oddalają. **GP**

Nie pluje się na własny kraj na zewnątrz, za to eksponuje się jasne karty jego historii, jego bohaterów. Nie robi się z własnego narodu bandy morderców.

REKLAMA

FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

PODSTAWOWYM CELEM FUNDACJI JEST WSPIERANIE I PROMOWANIE KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

BUDUJEMY SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

DANE DO PRZELEWU W POLSCE
74 2490 0005 0000 4500 8274 0046

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY
PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784
SWIFT CODE – ALBPPLPW

TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ
FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ ul. Bracka 15 I piętro 31-005 Kraków

DZIĘKUJEMY
WWW.KLUBYGAZETYPOLSKIEJ.PL

eprasa.pl 7fc163a04b

Piotr
Grochmalski

Niemcy chcą być militarnym hegemonem Europy

Nowe Niemcy kanclerza Friedricha Merza radykalnie zrywają z pacyfizmem. Chcą stać się militarnym mocarstwem, które zdominuje Europę. To bardzo niebezpieczny sygnał dla Polski. Berlin stawia na siłę. Decyzja polityczna zapadła. To otwiera drogę do radykalnej przebudowy europejskiego systemu bezpieczeństwa i wypychania USA ze Starego Kontynentu.

PUBLICYSTYKA

Zatwierdzony w tym roku przez niemiecki rząd plan finansowy zakłada prawie podwojenie wydatków na wojsko do 2029 roku. Z obecnych 86 mld euro do 162 mld. Będzie to o ponad 13 mld euro więcej od nakładów Rosji na zbrojenia w 2024 roku. RFN byłaby wówczas na trzecim miejscu na świecie, po USA i Chinach, pod względem stopnia i intensywności militaryzacji swego państwa, a pierwszym na Starym Kontynencie. Merz 14 maja 2025 roku, podczas swego pierwszego wystąpienia w Bundestagu jako szef rządu, stwierdził, że będzie to prawdziwy „Epochenbruch" (epokowy przełom), zdecydowane zerwanie ze strategiczną powściągliwością, ostrożnością i fiskalnym hamulcem bezpieczeństwa. Ogłosił też, że Niemcy wstępują na ścieżkę, na której swoją potęgą militarną będą gwarantować sobie bezpieczeństwo i pokój. Przekonywał, iż odtąd „Wzmocnienie niemieckich sił zbrojnych jest najwyższym priorytetem…". Dodał, że „rząd federalny będzie odtąd zapewniał Bundeswehrze wszystkie środki niezbędne do stania się najsilniejszą armią konwencjonalną w Europie". To coś zdecydowanie więcej niż ogłoszenie drugiej fazy „Zeitenwende", a więc owego projektu ogłoszonego przez Olafa Scholza trzy lata wcześniej. Tym razem Niemcy deklarują ambicje globalne. Przestają być jedynie „mocarstwem cywilnym". Chcą wejść w erę twardej siły i być jedną z trzech głównych potęg militarnych. Widoczne symptomy tego procesu nastąpiły już za Scholza. Jeszcze w 2023 roku Niemcy wydawały ponad 73 mld euro na zbrojenia i były na siódmym miejscu na świecie, a więc ustępowały nie tylko Rosji, Indiom, Arabii Saudyjskiej, lecz także Wielkiej Brytanii, a niewiele wyprzedzały Ukrainę (65 mld euro) i Francję (64 mld euro). Zaledwie rok później awansowały na czwarte miejsce, ustępując tylko USA, ChRL i putinowskiej Rosji. A to oznacza, iż już ekipa Scholza dokonała mentalnego przełomu w militaryzacji Niemiec, gdy po inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 roku ogłosiła „Zeitenwende" i przeznaczyła dodatkowe 100 mld euro na zbrojenia. W grudniu 2024 roku ustępująca ekipa przyjęła nową strategię bezpieczeństwa narodowego i przemysłu obronnego, aktualizując dokument z 2020 roku pod kątem przyspieszonego rozbudowywania sił zbrojnych i biznesu zbrojeniowego. A potem, w obawie przed rosnąca potęgą AfD i niebezpieczeństwem zablokowania wielkiego projektu mocarstwowego, niemieckie elity, jeszcze przed inauguracją rządu Merza, dokonały w marcu 2025 roku zmiany konstytucji. Odtąd hamulec zadłużenia nie dotyczy wydatków obronnych.

Armia na miarę mocarstwowych ambicji

Według Waldemara Geigera, analityka ze specjalistycznego portalu Hartpunkt, Niemcy chcą w ciągu dekady zakupić tysiąc czołgów podstawowych Leopard 2A8, 400 bojowych wozów piechoty Puma, około 500 czołgów wsparcia, 2,5 tys. kołowych transporterów opancerzonych Boxer, ponad tysiąc transporterów Piranha i 4 tys. CAVS-sów dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Łącznie Niemcy mają posiadać dwie dywizje pancerne i cztery zmechanizowane. W planach jest też zakup 38 nowych eurofighterów (w tym w wersji do walki radioelektronicznej), 60 ciężkich śmigłowców transportowych CH-47 Chinook. Niemcy forsują też europejską ini-

eprasa.pl 7fc163a04b

FOT. ADOBE STOCK

cjatywę ESSI (European Sky Shield), której celem jest stworzenie zintegrowanej, warstwowej tarczy powietrzno-rakietowej dla całego kontynentu. Serce systemu będzie kontrolowane przez Niemcy, ale cały projekt, w tym zakup systemów obrony przeciwrakietowej i powietrznej IRIS-T SLM, Patriot PAC-3 oraz izraelskiego Arrow 3, sfinansują głównie pozostałe państwa, w tym Polska.

Inspektor generalny Bundeswehry gen. Carsten Breuer w Deutsche Welle ogłosił, że niemieckie siły zbrojne dążą do radykalnego zwiększenia liczebności. Łącznie armia ma liczyć nawet 460 tys. żołnierzy – w tym 200 tys. w służbie aktywnej i 260 tys. rezerwy. Plany mają być nawet bardziej ambitne – mowa o budowie armii liczącej co najmniej ćwierć miliona żołnierzy, a nawet 300 tys. w służbie czynnej. Dziś RFN ma pod bronią 182 tys. żołnierzy. Aby zrealizować ten cel, Berlin poważnie rozważa przywrócenie poboru do wojska. Stojący na czele Bundeswehry gen. Breuer jest pupilkiem Borisa Pistoriusa, ministra obrony narodowej RFN, który pełnił też tę funkcję w rządzie Scholza. Fakt, że Merz w swojej ekipie utrzymał go na stanowisku, świadczy o jego silnej pozycji. To on odpowiada za cały projekt militaryzacji Niemiec. Według szacunków sama odbudowa zdegradowanej infrastruktury – w tym zlikwidowanych koszar i poligonów – ma pochłonąć 67 mld euro.

Ale Berlin przywiązuje też ogromną wagę do wzmocnienia swej strategicznej pozycji na Litwie. Merz z wielkim propagandowym zadęciem zainaugurował stałą obecność u naszego wschodniego sąsiada 45. Brygady Pancernej „Litauen". Media niemieckie z euforią podkreślały, że to historyczny projekt – pierwszy raz od zakończenia II wojny światowej jednostka bojowa Bundeswehry jest na stałe rozlokowana poza granicami kraju. Ale potrzebne są ogromne nakłady na rozbudowę infrastruktury tej bazy wojskowej. Formacja, która docelowo ma liczyć 4,8 tys. żołnierzy i 200 pracowników cywilnych, już za dwa lata ma osiągnąć pełną gotowość operacyjną. Metodycznie, krok po kroku, Niemcy wzmacniają swoją pozycję na wschodniej flance Sojuszu. Będzie to miało ogromne konsekwencje geostrategiczne. To wszystko dzieje się z cichym przyzwoleniem ekipy Donalda Tuska. Jeszcze w kwietniu 2024 roku gen. Breuer, po rozmowie z szefem polskiego Sztabu Generalnego, ogłosił, iż „Niemcy przejmują odpowiedzialność za wschodnią flankę NATO". Merz mówi o nadejściu „dekady obronności" i myśli w kategoriach, które przez długi czas w Berlinie uchodziły za polityczne tabu.

eprasa.pl 7fc163a04b

Niemcy domagają się przywództwa nad Europą

Berlin nie ukrywa swoich wielkich ambicji. Dwoje wpływowych niemieckich analityków, Claudia Major i Christian Mölling, tuż po ogłoszeniu przez Merza wielkiego planu militaryzacji, otwarcie ogłosiło, że Niemcy są w końcu gotowi do objęcia kontynentalnego przywództwa. Ale Ulrich Beck już w 2012 roku jasno stwierdził: „Każdy to wie, lecz wypowiedzenie głośno tego stwierdzenia oznacza złamanie tabu: Europa stała się niemiecka". Ogłosił też wypracowanie przez Berlin dla Starego Kontynentu spójnej ideologii – tzw. niemieckiego euronacjonalizmu. Jak też stwierdził: „Nowa niemiecka władza w Europie nie opiera się jak w niegdysiejszych czasach na przemocy, ale na ultima ratio. Nie potrzebuje broni, by innym państwom narzucić swoją wolę. Dlatego też absurdem jest mówienie o »IV Rzeszy«". Beck już w 2012 roku wskazywał, że Berlin stosuje mechanizm wymuszenia na państwach rezygnowania z elementów ich suwerenności poprzez odmowę udostępniania kredytów i pieniędzy. Niemcy wykorzystały ten mechanizm wobec Polski, okradając nas z pieniędzy w ramach KPO.

Ale ten okres kumulacji władzy politycznej i gospodarczej w Europie przez Berlin ma przejść w nową fazę, w której to właśnie realna siła militarna stanie się czynnikiem presji. To rzekome nowe objawienie, jakie spłynęło na elity tego państwa, aby postawić na siłę, ma być skutkiem podwójnego szoku strategicznego. Claudia Major i Christian Mölling na łamach European Policy Centre twierdzą, iż jest on efektem dwóch wydarzeń – inwazji Rosji na Ukrainę i postawy USA wobec Europy. Przekonują: „Pełnowymiarowa inwazja Rosji w 2022 roku i wynikająca z niej erozja wiarygodności europejskiego systemu odstraszania obnażyły brak gotowości militarnej Europy – a zwłaszcza Niemiec. (…) To doświadczenie uwypukliło, jak niebezpiecznie zależna stała się Europa od potencjału militarnego USA i jak powoli największa gospodarka UE zareagowała na poważną wojnę na kontynencie". Cały ten fragment jest radykalnie zakłamany. Bo to przecież Niemcy i Rosja wspólnie realizowały geopolityczną strategię wobec Europy, której celem było zdominowanie gospodarcze i polityczne Starego Kontynentu, w tym państw Europy Środkowej. Donald Trump w trakcie pierwszej swej kadencji ostrzegał, jak groźne dla niemieckiego bezpieczeństwa jest to uzależnienie i finansowanie przez Niemcy rosyjskich zbrojeń. Dla obu analityków reprezentujących establishment RFN drugim gigantycznym wstrząsem ma być postawa USA. Jak stwierdzają Claudia Major i Christian Mölling: „Za drugiej administracji Donalda Trumpa Stany Zjednoczone coraz częściej traktowały Europę nie jako partnera, lecz jako strategiczny problem. Dotyczyło to wszystkich kluczowych obszarów stosunków transatlantyckich, od handlu po obronę. Na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w lutym 2025 roku wiceprezydent J.D. Vance nazwał Europejczyków ideologicznymi przeciwnikami; podczas niesławnego spotkania Trumpa z Zełenskim w Gabinecie Owalnym, Trump naciskał na Ukrainę, aby zakończyła wojnę na rosyjskich warunkach. Cła Trumpa zadały kolejny cios sojuszowi. Wszystko to doprowadziło do tego, że niemieccy decydenci stanęli przed możliwością, że Waszyngton może przestać być sojusznikiem, jakim był kiedyś. Ta świadomość jest szczególnie przytłaczająca dla Niemiec, kraju, którego powojenna tożsamość jest ściśle spleciona z relacjami z USA". Ta histeryczna i zakłamana analiza radykalnie odbiega od konkluzji szczytu NATO z czerwca 2025 roku. Ale ujawnia głębszą prawdę o Niemcach – że uważają, iż jest dobry czas, aby zrealizować geopolityczną wizję Haushofera–Dugina i wypchnąć USA z Europy.

Metodycznie, krok po kroku, Niemcy wzmacniają swoją pozycję na wschodniej flance Sojuszu. Będzie to miało ogromne konsekwencje geostrategiczne.

Nowe Niemcy militarnym mocarstwem

Mölling należy do wąskiej grupy ludzi, którzy od lat roją o wielkiej niemieckiej Europie. Potężna Fundacja Bertelsmanna, za którą stoi kapitał wielkiego koncernu prasowego, postawiła go we wrześniu 2024 roku na czele finansowanego przez siebie programu „Przyszłość Europy". Wcześniej był zastępcą dyrektora Instytutu Badawczego Niemieckiej Rady Stosunków Zagranicznych (DGAP) oraz kierownikiem Centrum Bezpieczeństwa i Obrony. DGAP to wyjątkowo wpływowa instytucja, w której przecinają się interesy wielkich banków, biznesu i polityki zagranicznej.

Claudia Major specjalizuje się natomiast od lat w projektowaniu przebudowy Europejskiej Wspólnej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony pod kątem niemieckich interesów. W latach 2020–2025 kierowała Działem Badań nad Polityką Bezpieczeństwa w Niemieckim Instytucie Spraw Międzynarodowych i Bezpieczeństwa (SWP) w Berlinie. W marcu 2025 roku została mianowana na starszą wiceprezes ds. inicjatyw bezpieczeństwa transatlantyckiego w German Marshall Fund.

Są to osoby radykalnie zafiksowane na potędze militarnej FRN. Jak twierdzą: „W obliczu tego podwójnego szoku Niemcy na nowo analizują całą swoją strategię. Nowy rząd działa w oparciu o założenie, że Europa musi wziąć na siebie znacznie większą odpowiedzialność za własną obronę, a Niemcy, biorąc pod uwagę swoją wielkość i potencjał gospodarczy, nie mogą uniknąć roli lidera. To poczucie znajduje odzwierciedlenie w wezwaniu kanclerza Merza do przekształcenia Niemiec z uśpionego mocarstwa średniego w wiodące mocarstwo średnie". Autorzy mają świadomość historycznego momentu, który daje szansę FRN, aby stać się realnym hegemonem Europy. Jak zauważają: „Tym, co wyróżnia ten moment, jest fakt, że Niemcy dysponują obecnie zarówno wolą polityczną, jak i środkami finansowymi, aby wspierać inicjatywy obronne (a także wsparciem i zachętą ze strony europejskich partnerów). W przeciwieństwie do wielu europejskich partnerów, ograniczonych długiem lub sprzeciwem wewnętrznym,

eprasa.pl 7fc163a04b

elastyczność konstytucyjna Niemiec daje im wyjątkową możliwość inwestowania i skalowania". Mają jednak świadomość strukturalnej słabości Niemiec, która wynika z braku własnego, autonomicznego arsenału nuklearnego, który byłby w stanie zastąpić amerykańskie gwarancje atomowe. Jak zauważają: „Niewątpliwie, zmiana z transatlantyckiego, międzykontynentalnego odstraszania z udziałem USA na regionalne, europejskie odstraszanie fundamentalnie zdestabilizowałaby europejski porządek bezpieczeństwa. Niemcy ze swojej strony nie mają praktycznie żadnych instytucjonalnych możliwości planowania nuklearnego, a debata publiczna pozostaje napięta emocjonalnie i politycznie. Niemniej politycy w Berlinie zaczynają mówić o potrzebie »europejskiego rozwiązania« obaw dotyczących odstraszania, co powtórzył Merz podczas swojej inauguracyjnej wizyty w Paryżu 7 maja. Nie jest jeszcze jasne, jaką formę to przybierze, ale sygnalizuje to radykalną zmianę sposobu myślenia. Sam fakt, że myśliciele strategiczni modelują obecnie, jak mogłoby wyglądać odstraszanie bez udziału USA, jest sam w sobie znakiem, że Europa wkracza w nową erę". Ale z tej narracji jasno wynika, iż Niemcy będą dążyły do zbudowania własnego potencjału nuklearnego.

Europa ma się podporządkować Berlinowi

Claudia Major i Christian Mölling twierdzą, że Niemcy nie mają wyjścia, bo to inni pchają ich do roli europejskiego hegemona. Jak podkreślają: „Przebudzenie Niemiec nie jest ani triumfalistyczne, ani rewolucyjne. Kształtuje je niepokój – o asertywność Rosji, niepewność Ameryki i słabość samej Europy. Ale z tego niepokoju zrodziły się działania. W ciągu kilku tygodni Niemcy odrzuciły własne dogmaty konstytucyjne i przyjęły rolę lidera, którą kiedyś odrzucały. To, czy oznacza to początek trwałej transformacji, zależy nie tylko od Berlina. Francja, Wielka Brytania i inne państwa europejskie muszą dostosować swoje możliwości i ambicje do nowego kierunku Niemiec. Same Niemcy muszą zrobić więcej niż tylko przeznaczyć pieniądze – muszą zreformować własne otoczenie, osiągnąć rezultaty, odbudować wiarygodność i pielęgnować kulturę strategicznego podejścia. Europejski porządek bezpieczeństwa ulega przekształceniu, nie z powodu wielkich planów, lecz z konieczności. W tej kruchej transformacji decyzje Niemiec będą miały większe znaczenie niż przez ostatnie dekady. Silne Niemcy umożliwiają silną Europę i silną europejską obronę. Tymczasem niezdecydowane i słabe Niemcy osłabiają resztę Europy. Kraj nie jest już na strategicznych wakacjach. Zmierza – powoli, ostrożnie – ku odpowiedzialności. Reszta Europy postąpiłaby mądrze, wspierając go i dotrzymując mu kroku".

Takie słowa muszą w Polsce budzić już nie tylko niepokój, lecz także przerażenie. Niemcy swoimi absurdalnymi, radykalnymi działaniami wywołały w UE całą serię kryzysów i katastrof – począwszy od wypchnięcia Wielkiej Brytanii ze struktur Unii, poprzez skandaliczną politykę migracyjną, szaleństwo Zielonego Ładu, po strategiczny sojusz z Putinem i podporządkowanie mu niemieckiej i europejskiej energetyki, co otworzyło mu drogę do wojny. Zbigniew Grabowski pisał w 1967 roku: „Wiemy już dzisiaj, że Niemiec daleki jest od ideału rozwagi, spokoju, umiarkowania, że jest istotą emocjonalną, źle zbalansowaną. (…) Nie zna stanu pośredniego, ucieka się do skrajnych uczuć". Jak zauważał: „Jest rzeczą dzisiaj nie do pojęcia, że Hitler, ten pół-inteligent i niesamowity demagog kawiarnianego chowu, (…) potrafił opętać gromady ludzi i że słuchano z nabożeństwem jego głupstw. (…) Pamiętam jedną taką złotą maksymę, która wywołała (…) na Reichsparteitagu w Norymberdze burzę oklasków: »Jest to bowiem niezaprzeczalna prawda, że rzecz pierwszorzędnej wagi zawsze zajmuje pierwszorzędne miejsce, podczas gdy rzecz drugorzędnej wagi musi się zadowolić drugim miejscem«. To supersztanca, to sformułowanie pół-idioty było oklaskiwane przez długie minuty. W nowoczesnej historii nie widzimy podobnego przykładu licytowania w dół". Owo narastające w Niemczech przekonanie o swoistej wyższości i misji, jaka dziś stoi przed Berlinem, pokazuje, że diagnoza Grabowskiego jest aktualna.

Zbigniew Grabowski pisał w 1967 roku: „Wiemy już dzisiaj, że Niemiec daleki jest od ideału rozwagi, spokoju, umiarkowania, że jest istotą emocjonalną, źle zbalansowaną".

Przypomnijmy, że w momencie, gdy na Polsce spoczywał główny ciężar wsparcia Ukrainy, co kosztowało nas miliardy euro, Niemcy blokowały nam finansowe wsparcie, a tym samym osłabiały naszą gospodarkę i możliwości rozbudowy naszej armii. John Mearsheimer, jeden z największych współczesnych geostrategów, twórca realizmu ofensywnego, w polskiej przedmowie do swojej fundamentalnej pracy „Tragizm polityki mocarstw" stwierdził: „Historia Polski powinna skłaniać jej mieszkańców do studiowania polityki międzynarodowej, by mogli zrozumieć jej brutalność i potrafili odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ich kraj tak często padał ofiarą mocarstw. Nie należałoby też zaniedbywać głębokiej refleksji nad przyszłością Polski. Jak duże zagrożenie stanowią dla niej Niemcy i Rosja? Czy Stany Zjednoczone pozostaną zaangażowane w Sojusz Północnoatlantycki i obronę Europy? I w końcu – w jaki sposób Polska może zwiększyć swoje szanse na przetrwanie w XXI wieku?". Skala bezprecedensowej politycznej i medialnej agresji Niemiec na Polskę w ciągu ostatniej dekady pokazuje, jak znaczne są różnice interesu między Berlinem a Warszawą. Nie mam wątpliwości, w jaki sposób Berlin będzie wykorzystywał swoją militarną siłę w stosunku do innych państw UE – będzie dążył do narzucania swoich idiotycznych koncepcji i rozwiązań, do podporządkowania Niemcom interesów wspólnoty. Takie jest nasze doświadczenie historyczne. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

TAJWAN SZYKUJE SIĘ NA INWAZJĘ

Nie czy, ale kiedy? Inwazja komunistycznego państwa chińskiego na demokratyczne państwo chińskie to kwestia czasu. Dlatego Tajwan szykuje się na wojnę i liczy na USA. Te z kolei oczekują zaangażowania Japonii czy Australii – wszak te będą kolejnym celem czerwonego smoka. Nadciągająca wojna w Azji będzie ściśle związana z wojną w Europie. Oś zła – z Moskwą i Pekinem na czele – kontra wolny świat.

DRUGI FRONT WOJNY

Antoni **Rybczyński**

Komunistyczne władze w Pekinie uznają demokratycznie rządzony Tajwan za nieodłączną część Chińskiej Republiki Ludowej i dążą do przejęcia nad nim kontroli, nie wykluczając przy tym możliwości użycia siły. Większość Tajwańczyków wypowiada się jednak przeciwko przyłączeniu do ChRL. Na Tajwanie rozpoczęły się 9 lipca manewry wojskowe Han Kuang, najdłuższe i największe w dotychczasowej historii wyspiarskiego państwa. Ich celem jest przygotowanie ludności Tajwanu na ewentualny atak, ale mają one również na celu publiczne zaprezentowanie sił obronnych wyspy i wysłanie jasnego sygnału do Pekinu.

Wojna obronna

Od 1984 roku w ramach Han Kuang tysiące żołnierzy biorą udział w zakrojonych na szeroką skalę ćwiczeniach lądowych, morskich i powietrznych. Chociaż pełna nazwa ćwiczeń w języku chińskim odnosi się technicznie do odzyskania chińskiego kontynentu – jednego z celów pierwszego rządu Republiki Chińskiej na Tajwanie (koniec lat 40. XX wieku) – ich rzeczywistym celem jest przećwiczenie zdolności obronnych wyspy. Od ponad czterech dekad coroczne ćwiczenia Han Kuang symulują chińską inwazję i zazwyczaj kończą się po pięciu dniach w ten sam sposób: czołgi i artyleria odpierają desant morski, nad głowami ryczą samoloty bojowe, a Tajwan ogłasza zwycięstwo. Jednak planiści wojskowi uważają, że przedłużające się walki będą zależały od tego, czy siły Tajwanu będą w stanie utrzymać się wystarczająco długo, aby Stany Zjednoczone mogły przyjść z pomocą. Tegoroczne ćwiczenia obejmują więc scenariusz, w którym siłom chińskim udaje się wylądować, zmuszając wojska tajwańskie do powstrzymania ich w złożonym terenie miejskim. Ćwiczenia obejmują obronę infrastruktury krytycznej, takiej jak węzły komunikacyjne, oraz powstrzymanie sił najeźdźczych przed przedostaniem się do centrum stolicy.

Zaplanowano je na dwa razy dłuższy okres (9–18 lipca) i zmobilizowano rekordową liczbę 22 tys. rezerwistów. Po raz pierwszy podczas manewrów – obok tajwańskich pocisków ziemia-powietrze typu Sky Sword – użyte zostały amerykańskie systemy artylerii rakietowej HIMARS.

FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

eprasa.pl 7fc163a04b

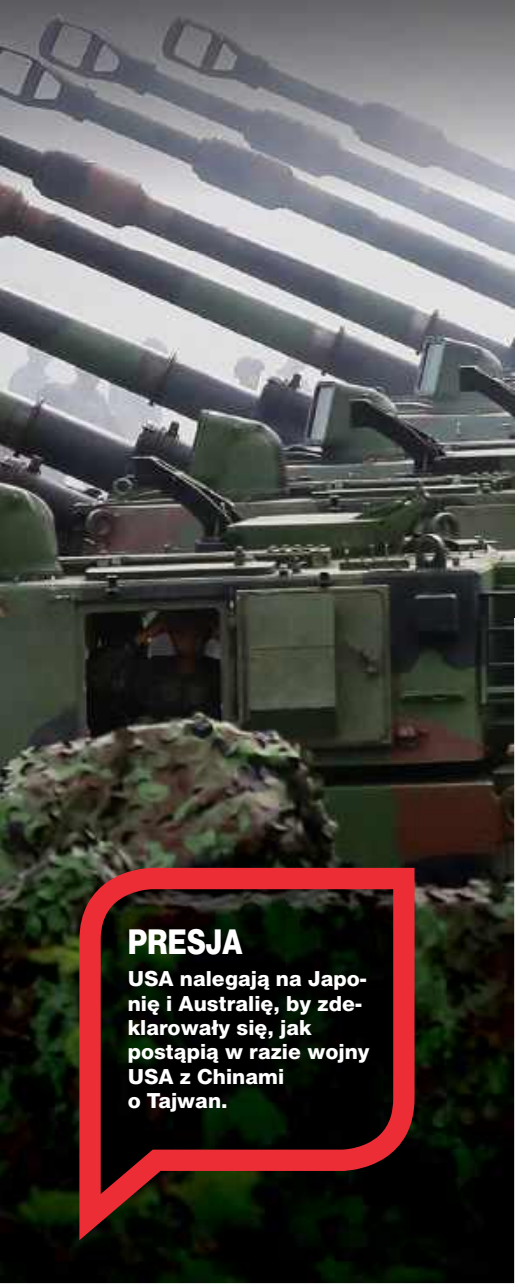

PRESJA

USA nalegają na Japonię i Australię, by zdeklarowały się, jak postąpią w razie wojny USA z Chinami o Tajwan.

Dzień po rozpoczęciu ćwiczeń prezydent Lai Ching-te obserwował osobiście pierwsze publiczne pokazy nowych czołgów M1A2 Abrams, które zastępują czołgi Patton z czasów wojny w Wietnamie, na których armia tajwańska opierała swoje uzbrojenie od dziesięcioleci. Nowym elementem ćwiczeń są również manewry z wykorzystaniem dronów. Tegoroczne ćwiczenia obejmują też ćwiczenia obrony cywilnej, które mają między innymi przypomnieć 23 mln mieszkańców wyspy, że wojna jest możliwa. Drugiego dnia manewrów ćwiczenia przeciwlotnicze zmusiły kilkunastu klientów supermarketu w Tajpej do schronienia się w piwnicy przed wyimaginowanym atakiem rakietowym.

9 lipca na Tajwanie rozpoczęły się manewry wojskowe Han Kuang, najdłuższe i największe w dotychczasowej historii wyspiarskiego państwa.

Chińska demokracja

Po krótkim okresie bycia holenderską kolonią, Tajwan po raz pierwszy znalazł się pod pełną kontrolą chińskiego imperium w XVII wieku. W 1895 roku wyspa stała się japońską kolonią, po tym jak cesarstwo Qing przegrało pierwszą wojnę chińsko-japońską. Chiny odzyskały kontrolę nad Tajwanem w 1945 roku po przegranej przez Japonię II wojnie światowej. Państwo Środka było jednak już wtedy w zamęcie wojny domowej. Wygrał ją ostatecznie komunista Mao Zedong. Pokonany Czang Kaj-szek, resztki jego rządu nacjonalistycznego Kuomintangu (KMT) i ich zwolennicy – około 1,5 mln ludzi – uciekli na Tajwan, zwany wówczas Formozą, w 1949 roku. Nacjonaliści twierdzili, że są jedynym prawowitym rządem całych Chin i ustanowili na Tajwanie te same organy polityczne, które rządziły na kontynencie. Pod autorytarnym przywództwem Czanga rząd zrealizował w latach 50. XX wieku udany program reformy rolnej, który pomógł przekształcić kraj zdominowany przez rolnictwo w państwo gospodarki komercyjnej i przemysłowej.

Chińska Republika Ludowa (ChRL) nigdy nie sprawowała kontroli nad Tajwanem, twierdzi jednak, że wyspa jest integralną częścią Chin, która musi zostać „zjednoczona" z kontynentem. Pekin preferuje dążenie do zjednoczenia za pomocą pokojowych środków, ale zastrzega sobie prawo do użycia siły, aby osiągnąć swoje cele. Tajwan nie ma możliwości skutecznej obrony przed chińskim atakiem bez wsparcia z zewnątrz. Zbyt wielka jest dysproporcja sił. Tajwan stara się więc o wsparcie wojskowe innych państw. Stany Zjednoczone są oczywiście jednym z najważniejszych sojuszników. Ustawa Taiwan Relations Act umożliwia USA dostarczanie wyspiarskiemu państwu niezbędnych zasobów obronnych.

Drugi front

Stany Zjednoczone ostrzegły, że Chiny stanowią „bezpośrednie zagrożenie" dla Tajwanu, odnosząc się do terminu 2027 rok, który prezydent Xi Jinping rzekomo wyznaczył chińskim siłom zbrojnym na osiągnięcie zdolności do inwazji na Tajwan. Data ta nigdy nie została potwierdzona przez Pekin, jednak Stany Zjednoczone twierdzą, że Chiny „wiarygodnie przygotowują się do potencjalnego użycia siły militarnej w celu zmiany równowagi sił" w Azji. Dlatego USA nalegają na Japonię i Australię, by zdeklarowały się, jak postąpią w razie wojny USA z Chinami o Tajwan – donosi „Financial Times". Prośba zaskoczyła Tokio i Canberrę, ponieważ USA nie dają Tajwanowi gwarancji in blanco. USA od dawna prowadzą politykę „strategicznej niejednoznaczności", zgodnie z którą nie deklarują, że w razie konfliktu będą bronić wyspy. Poprzedni prezydent Joe Biden czterokrotnie odszedł od tej linii, zapewniając, że USA będą interweniować. Donald Trump idzie jednak w ślady byłych prezydentów i nie mówi, jak postąpi.

Choć Tokio i Canberra nie spieszą się z deklaracjami, Japonia intensywnie rozbudowuje siły – także w pobliżu Tajwanu – zaś w Australii 14 lipca ruszyły największe w historii kraju ćwiczenia wojskowe: ponad 35 tys. żołnierzy z 19 krajów. Manewry Talisman Sabre organizowane są od 2005 roku co dwa lata przez Australię i Stany Zjednoczone. Tak jak w przypadku ćwiczeń armii tajwańskiej, Australijczycy po raz pierwszy ćwiczyli strzelanie z systemu HIMARS, zakupionego niedawno od USA. W ćwiczeniach bierze udział wiele krajów europejskich. W NATO panuje bowiem przekonanie, że potencjalna inwazja na Tajwan to będzie po prostu drugi front toczącej się już wojny w Europie. Sekretarz generalny Mark Rutte powiedział wprost, że jeśli Xi Jinping postanowi uderzyć na Tajwan, skłoni swego sojusznika Władimira Putina do agresji, mającej odciągnąć część sił NATO i USA: czyli rozpętania kolejnej, obok ukraińskiej, wojny w Europie. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

UMOWA UE Z UKRAINĄ POGRZEBIE POLSKIE ROLNICTWO

Maciej
Pawlak
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA
albicla.com/MaciejPawlak

Zbliżająca się finalizacja umowy UE o wolnym handlu z Ukrainą, podobnie jak analogiczna umowa z krajami Ameryki Płd. (Mercosur), stanowi bezpośrednie zagrożenie dla naszej branży rolniczej. Według naszych rozmówców może mu zapobiec jedynie zmiana rządu.

CZEKA NAS ZALEW PRODUKTÓW NIESPEŁNIAJĄCYCH STANDARDÓW UE

Niestety, niewiele tu zmieni fakt, że wspomniana umowa, nad którą prace zakończono 30 czerwca bieżącego roku, a zatem ostatniego dnia polskiej prezydencji w Radzie UE, ma obejmować zobowiązanie Ukrainy do stopniowego dostosowania standardów produkcji rolnej do standardów UE do 2028 roku.

Ostatnie trzy lata

Za PAP przypomnijmy, że w czerwcu 2022 roku, kilka miesięcy po rozpoczęciu przez Rosję wojny z Ukrainą, UE tymczasowo zniosła cła i limity ilościowe na produkty rolne z tego kraju. Miała to być reakcja na atak zbrojny Rosji. Jednak na początku czerwca bieżącego roku wznowiono dotąd zawieszone cła i limity ilościowe importowanych z Ukrainy produktów rolnych do krajów UE. Taką decyzję podjęto wskutek protestów Polski i innych państw UE graniczących z Ukrainą. Chodziło o nadmierny napływ do tych krajów zwłaszcza tańszego ukraińskiego zboża, mięsa drobiowego i cukru.

Tym samym w UE powrócono do obowiązującej przed rosyjską wojną umowy handlowej z Ukrainą – wprowadzono znów cła i limity ilościowe na niektóre produkty rolne z tego kraju. „KE podała wtedy, że porozumienie to będzie obowiązywało do czasu wynegocjowania nowej umowy z Ukrainą”.

Obietnica bez uzasadnienia i możliwości spełnienia

Jakoś mało przekonująco brzmi wypowiedź Czesława Siekierskiego, polskiego ministra rolnictwa (PSL), który po lipcowym spotkaniu z jego czterema odpowiednikami z Bułgarii, Słowacji, Węgier i Rumunii oświadczył m.in.: – Oczekujemy, że produkty z Polski i innych państw członkowskich będą mogły trafiać na rynek ukraiński na równych zasadach. Musimy też mieć gwarancję, że Ukraina będzie stopniowo dostosowywać swoje standardy w zakresie stosowania pestycydów, dobrostanu zwierząt czy leków weterynaryjnych. Obecne zapowiedzi mówią o roku 2028, ale to za późno – stwierdził minister Siekierski.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 7fc163a04b

KTO NA TYM ZAROBI?

Na Ukrainie działa wiele agroholdingów niemiecko-holenderskich, które dzisiaj w większości są producentami żywności na Ukrainie. Na umowie z UE będą więc zarabiać Niemcy i Holendrzy.

Produkty rolnicze z Ukrainy i Mercosur jeszcze przez trzy lata nie będą musiały spełniać wszystkich wymogów od dawna obowiązujących sektor rolny w krajach unijnych.

Pytanie brzmi: czy w tej sytuacji polski sektor rolny przetrwa do owego 2028 roku, skoro prawdopodobnie unijno-ukraińska umowa wejdzie w życie już wkrótce, podobnie zresztą jak analogiczna – z południowo amerykańskimi krajami Mercosur? A przecież oznacza to w praktyce, że produkty rolnicze z tych krajów jeszcze przez trzy lata nie będą musiały spełniać wszystkich wymogów od dawna obowiązujących sektor rolny w krajach unijnych, a więc m.in. odpowiedniego sposobu nawożenia upraw, stosowania pestycydów, chowu zwierząt rzeźnych itd.

– Nawet jeśli do 2028 roku Ukraina miałaby dostosować swój sposób uprawy roślin i hodowli zwierząt do standardów obowiązujących w UE, to jest na to za mało czasu – mówi „GP" prof. Zbigniew Krysiak, przewodniczący Rady Programowej Instytutu Myśli Schumana. – W dodatku w tej sytuacji do tego czasu polskie rolnictwo upadnie. Zresztą jest mało prawdopodobne, by Ukrainie udało się spełnić ten warunek, bo przecież trwa tam wciąż wojna. I szybko się nie skończy. Tam już nie ma środków, możliwości i zasobów do szybkiego jej zakończenia. A więc wspomniany warunek, by w ciągu trzech lat Ukraina dostosowała metody upraw rolnych do standardów UE, oceniam jako „czarowanie", zasłonę dymną, obietnicę bez uzasadnienia i możliwości ich spełnienia. Po prostu nie ma takich możliwości, by to się udało – dodaje profesor.

Trzeci sektor gospodarki Ukrainy

W ukraińskiej gospodarce rolnictwo odgrywa bardzo ważną rolę. Jest to, jak informuje specjalistyczny portal Topagrar.pl, trzeci co do wielkości sektor gospodarki naszego południowo-wschodniego sąsiada, wytwarzający 10,9 proc. PKB, a zatrudnienie w nim znajduje 2,5 mln osób (w UE rolnictwo to tylko 1,4 proc. PKB i 4,2 proc. zatrudnienia ogółem). Według danych Ministerstwa Rolnictwa położenie, gleby i klimat sprawiają, że Ukraina to kraj z wyjątkowym potencjałem rolniczym. Jak dodaje Topagrar.pl, powierzchnia gruntów ornych Ukrainy wynosi około 28 mln ha, przy czym prawie połowa to czarnoziemy. Dla porównania: w Polsce mamy prawie połowę mniej – 14,5 mln ha gruntów ornych, w większości na glebach klas czwartych i trzecich.

Kraje zachodnie z istotnymi udziałami w agroholdingach

Według różnych szacunków obecnie 93 agroholdingi pracują na 6,25 mln ha (22 proc. gruntów ornych). Nie jest więc zaskakujące, że do jak najszybszego uchwalenia umowy handlowej UE z Ukrainą prą m.in. kraje zachodnioeuropejskie, które posiadają istotne udziały w największych, wielkoobszarowych gospodarstwach rolnych (agroholdingach).

Agencja Informacyjna wyróżnia 10 największych (pod względem powierzchni) ukraińskich agroholdingów, do których należą:

- Kernel, spółka z Luksemburga, której w 90 proc. właścicielem jest oligarcha Andrij Mychajłowycz Werewski, reszta to m.in. banki i fundusze z USA oraz Europy. Posiada od około 360 tys. do 422 tys. ha. Sam Werewski ma nadzorować dodatkowo około 300 tys. ha;
- UkrlandFarming, spółka z Cypru, której właścicielem jest Ołeh Romanowycz Bachmatiuk, ukraiński oligarcha. Powierzchnia spółki ma wynosić od 460 tys. do 670 tys. ha;
- MHP Myroniwski Chliboprodukt (MChP), spółka z Cypru, której właścicielem jest oligarcha Jurij Anatolijowycz Kosiuk; powierzchnia około 340 tys. ha;
- TNA Corporate, spółka z USA, która miała przejąć około 200 tys. ha od Ołeha Bachmatiuka;
- NCH Capitalus, fundusz inwestycyjny z USA, zajmujący się głównie skupem ziemi; powierzchnia około 200 tys. ha;
- PIF, fundusz inwestycyjny z Arabii Saudyjskiej kontrolowany przez tamtejszą rodzinę królewską; przez spółkę zależną posiada około 200 tys. ha;
- Industrial Milk Company, spółka z Luksemburga, której głównym udziałowcem jest oligarcha O. Petrov; powierzchnia około 120 tys. ha;

eprasa.pl 7fc163a04b

- Agroton, spółka z Cypru, należąca do oligarchy I. Zhuravlova; powierzchnia około 94 tys. ha;
- Astrarta, spółka z Holandii (40 proc. udziałów należy do oligarchy Wiktora W. Ivanchuka, 28 proc. do kanadyjskiego funduszu Fairfax, prawie 12 proc. kontrolują polskie OFE oraz TFI, a pozostałe 20 proc. należy do nieujawnionych inwestorów; powierzchnia około 90 tys. ha;
- Nibulon, jedyna spółka zarejestrowana w Ukrainie, należąca do Andriy Vadaturskiego; powierzchnia około 80 tys. ha.

Dominują wielkie agrokoncerny

– My, jako PiS – wbrew UE i wbrew całemu lobby rolniczemu – zatrzymaliśmy 15 kwietnia 2023 roku import z Ukrainy wielu produktów rolnych, m.in. zboża, cukru, owoców i warzyw – przypomina w wypowiedzi dla „GP" poseł Robert Telus (PiS), były minister rolnictwa.

– Wówczas straszono Polskę i mnie osobiście sankcjami unijnymi. I dziś Bruksela robi to samo. Unia Europejska zwalnia produkty z Ukrainy z ceł. A przecież w tym kraju w rolnictwie dominują wielkie agrokoncerny, np. o powierzchni 600 tys. ha. Nic dziwnego, że ich właściciele stanowią wielkie lobby bogatych ludzi – biznesmenów, w większości nie-Ukraińców. Dopiero 10. gospodarstwo rolne w tym kraju, uszeregowane pod względem wielkości, należy do Ukraińców. A wszystkie pozostałe – z pierwszej dziesiątki – są nie-ukraińskie. Wobec tego Unia Europejska popełnia ten sam wielki błąd – jej decyzja jest spowodowana wyłącznie naciskami międzynarodowego lobby rolniczego, a nie rolników ukraińskich – wyjaśnia poseł.

– Niestety, obecny kształt umowy UE z Ukrainą zagraża przede wszystkim naszym rolnikom uprawiającym zboże, owoce miękkie, kukurydzę i miód. Gdy PiS wróci do władzy, na pewno tę umowę jako Polska zablokujemy – zapowiada Robert Telus.

Polska straci rynki zbytu

Jak podkreśla w rozmowie z „GP" europoseł Waldemar Buda, członek komisji rolnictwa i gospodarki żywnościowej w PE, skutki wejścia w życie umowy o handlu krajów UE z Ukrainą są dość oczywiste. – Polska traci rynki zbytu, bo bardzo dużo eksportujemy naszych produktów rolnych do krajów unijnych, np. do Niemiec. A w związku z umową stracimy ten rynek, bo będzie on wypierany przez żywność z Ukrainy, a także z Ameryki Południowej. Ponadto konsekwencje tego stanu rzeczy będą powodowały, że nasze rolnictwo będzie się kurczyło. To znaczy, że rolnicy będą bankrutować, a także rezygnować z uprawy ziemi, bo to się po prostu nie będzie im opłacało. W przypadku handlu z Ukrainą my przestrzegaliśmy, że rozwiązania wprowadzone w końcu maja mają charakter tymczasowy. I że teraz, po wyborach prezydenckich, dojdzie do głębokiej liberalizacji handlu z Ukrainą. I dokładnie tak się stało. Z braku szacunku dla polskiego rządu zrobiono to 30 czerwca bieżącego roku, a więc ostatniego dnia polskiej prezydencji w Radzie UE. Nie sądzę, by było to posunięcie przypadkowe. Oznacza to otwarcie rynku unijnego na produkty ukraińskie. Ale czy naprawdę ukraińskie? Mam co do tego duże wątpliwości. Niemcy doszły do wniosku, że u nich w kraju jest zbyt drogo, by uprawiać ziemię i produkować żywność. Zatem stworzono na Ukrainie wiele holdingów niemiecko-holenderskich, które dzisiaj w większości są producentami żywności na Ukrainie. Na umowie z UE będą więc zarabiać Niemcy i Holendrzy – wyjaśnia Waldemar Buda.

– Nie wierzę, by w jakiś sposób można był odwrócić ten scenariusz – mówi dalej europoseł. – Jedyną szansą byłyby masowe protesty rolników, które doprowadziłyby do wycofania się UE z umowy zarówno z Ukrainą, jak i z krajami Mercosur. Bo tylko na taką masową akcję protestacyjną Bruksela byłaby w stanie zareagować. Tymczasem UE przeprowadza obie umowy z wyjątkową perfidią, bo finalizuje je w szczycie zbiorów upraw. Wobec tego zajęci nimi rolnicy nie są teraz w stanie wyjść na ulice, bo zajmują się własnymi gospodarstwami – dodaje. **GP**

INFLACJA BAZOWA W CZERWCU

Według NBP w czerwcu bieżącego roku, w relacji rok do roku, inflacja: po wyłączeniu cen administrowanych (podlegających kontroli państwa) wyniosła 2,5 proc., wobec 2,5 proc. w maju; po wyłączeniu cen najbardziej zmiennych wyniosła 4,5 proc., wobec 4,6 proc. w maju; po wyłączeniu cen żywności i energii wyniosła 3,4 proc., wobec 3,3 proc. w maju. Najczęściej używany przez analityków jest wskaźnik inflacji po wyłączeniu cen żywności i energii, który pokazuje tendencje cen tych dóbr i usług, na które polityka pieniężna prowadzona przez NBP ma relatywnie duży wpływ.

UDANY URLOP, CZYLI JAKI?

Coraz więcej Polaków stawia na aktywne i pełne wrażeń formy wypoczynku. Jak wynika z badania „Urlopowe zwyczaje Polaków 2025" serwisu Prezentmarzeń, najbardziej udany urlop kojarzy się obecnie z aktywnością fizyczną i sportem, które są ważne dla co trzeciego Polaka. Na drugim miejscu znajduje się zwiedzanie i poznawanie nowych miejsc – 25 proc. odpowiedzi. Odpoczynek i relaks wybiera 20 proc. badanych. Dla 10 proc. urlopowiczów najważniejsze są nowe atrakcje i niespodzianki, które nadają wypoczynkowi wyjątkowy charakter.

FOT. PIXABAY, ADOBE STOCK

www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl 7fc163a04b

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej

Tomasz **Mysłek**

Europa w skrócie

Plany nowych podatków UE od... palaczy 16 lipca komisarze UE planowali przedstawić nową dyrektywę o wyższym opodatkowaniu wszelkich wyrobów tytoniowych i produktów alternatywnych, jak e-papierosy czy tytoń podgrzewany. Na przykład akcyza od papierosów ma wzrosnąć aż o 139 proc. (!) Te nowe i dodatkowe podatki mają wpływać bezpośrednio do kasy UE w Brukseli. Komisarze chcą z nich uzyskiwać około 5 mld euro rocznie na „zasoby własne" – niezależne od składek krajów UE. Wskutek sprzeciwów rządów Szwecji, Bułgarii, Grecji, Rumunii i Włoch ten euro-komunistyczny plan został na jakiś czas zatrzymany.

...oraz od firm Komisarze UE przygotowują nowy podatek, który może mocno uderzyć w niemal wszystkie większe firmy – te z obrotami ponad 50 mln euro rocznie. W tym także w firmy rolno-spożywcze. Według dziennika „The Financial Times", unijna Bruksela „desperacko szuka nowych źródeł finansowania" swej rozrzutnej i marnotrawnej polityki, w tym tej „zielonej", kosztów zbrojeń i rosnących kosztów obsługi długów UE. W Polsce i innych krajach rolniczych na negatywne skutki nowego podatku ma być szczególnie narażona branża mleczarska.

Rząd Słowacji nadal blokuje nowe sankcje UE na Rosję Bratysława nie sprzeciwia się samemu temu pakietowi. Ale blokując go, chce uzyskać ustępstwa władz UE w innej sprawie – w planie całkowitego odejścia wszystkich krajów UE od kupowania rosyjskiego gazu od końca 2027 roku. Słowacja, od lat całkiem uzależniona od taniego gazu z Rosji, w zamian za zgodę na ten plan chce od władz UE znacznych rekompensat finansowych albo długich okresów przejściowych.

Włoski minister: Zielony Ład niszczy przemysł Włoski minister do spraw UE Tommaso Foti powiedział na konferencji w Mandurii (Apulia), że unijny Zielony Ład niszczy przemysł i wskutek tego „zmierzamy w stronę deindustrializacji Europy (...). Na szyję włoskich firm jest zakładany sznur – nie tylko przez władze UE. A przecież Unia Europejska nie powinna być machiną zakazów, ale narzędziem umożliwiającym rozwój przedsiębiorstw na całym kontynencie". Minister zwrócił uwagę na szczególnie niszczący wpływ polityki Zielonego Ładu na sektor motoryzacyjny. Wyraził opinię, że wiele firm z tej branży zniknie.

PODWYŻKI UE

Zgodnie z regulaminem pracowniczym wynagrodzenia wyższych urzędników parlamentu UE wzrosną z pensji zasadniczej 20 536 euro miesięcznie do 23 235 euro brutto – nie licząc świadczeń dodatkowych.

W krajach UE już 76 proc. rodzin nie ma dzieci Z danych opublikowanych przez Eurostat wynika, że w końcu roku 2024 w 27 krajach UE aż 76,4 proc. rodzin nie miało dzieci (licząc z rodzinami imigrantów). A połowa z tych, które miały potomstwo, cieszyło się tylko jednym dzieckiem. Najwięcej rodzin z dziećmi żyło w ubiegłym roku na Słowacji (35,6 proc.), w Irlandii (31,0 proc.) i na Cyprze (28,6 proc.). Najmniej w Finlandii (18,0 proc.), na Litwie (19,6 proc.) i w Niemczech (20,1 proc.). W Polsce – 25,6 proc. Wśród rodzin z dziećmi tylko 37,6 proc. miało dwoje dzieci, a 12,6 proc. troje lub więcej. Rodziców samotnie wychowujących dzieci jest w całej UE 12,7 proc. **GP**

FOT. ADOBE STOCK

Spadek ludności w 8 krajach UE

Z nowych danych Eurostatu wynika, że w roku 2024 Polska miała trzeci największy spadek ludności w krajach UE – liczba jej ludności spadła przez rok aż o 0,34 proc. i wynosiła (według stanu na 1 stycznia br.) tylko 36,497 mln. Największej depopulacji doświadczyła Łotwa, gdzie odnotowano spadek ludności aż o 0,99 proc., a także Węgry (–0,47 proc.). Spadek liczby ludności odnotowano w ośmiu krajach UE. W Irlandii liczba ludności wzrosła o 1,63 proc., a w Luksemburgu o 1,47 proc.

eprasa.pl 7fc163a04b

Wołają o pamięć – 82. rocznica „krwawej niedzieli”

W Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów z OUN i UPA, w całej Polsce odbyły się uroczystości upamiętniające tragiczne wydarzenia sprzed 82 lat. Kluby „Gazety Polskiej” w wielu miastach zgromadziły się, by wspólnie oddać hołd Polakom pomordowanym na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. W modlitwie, wspomnieniu i pamięci – Polska po raz kolejny mówi: „Nie zapomnimy”.

TYCHY | Na cmentarzu Wartogłowiec uroczystości rozpoczęto odśpiewaniem „Mazurka Dąbrowskiego”. Całość wydarzenia poprowadził Janusz Jabłoński, przewodniczący Klubu „Gazety Polskiej” w Tychach. Obok klubowiczów obecni byli przedstawiciele tyskiego Klubu Konfederacji, radny PiS Marek Gołosz, członkowie Stowarzyszenia represjonowanych w stanie wojennym, a także mieszkańcy miasta – świadomi pamięci o ludobójstwie na Wołyniu. Zgromadzeni oddali cześć ofiarom pod pomnikiem poświęconym pomordowanym na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich. W przejmującym przemówieniu dr Andrzej Drogoń przypomniał ogrom tragedii, porównując ją do sytuacji, jak gdyby w jednym miejscu spoczywało 10 tys. ludzi. Z kolei Antoni Wilgusiewicz przywołał postać Gozdyry z poematu Tarasa Szewczenki, podkreślając ślepą nienawiść, jaka doprowadziła do tamtych zbrodni. Modlitwę poprowadził Tadeusz Czaja, a wzruszający wiersz Kazimiery Głogowskiej-Gosz, poświęcony Zygmuntowi Rumlowi – rozszarpanemu przez konie banderowców, zapadł głęboko w pamięć uczestników. Uroczystość zakończyła Teresa Małek, dzieląc się swoimi refleksjami z wizyty na Wołyniu. Mówiła nie tylko o bólu przeszłości, lecz także o trudnym pojednaniu i historii, która nadal dzieli wielu Ukraińców.

WROCŁAW | Pod pomnikiem Pomordowanych na Kresach we Wrocławiu zgromadzili się mieszkańcy, przedstawiciele instytucji oraz delegacje patriotycznych środowisk. W tym symbolicznym miejscu wieńce złożyli m.in. przedstawiciele Klubów „Gazety Polskiej” z Wrocławia i Długołęki. Wspólna modlitwa i refleksja łączyły tych, dla których Wołyń to nie tylko historia, lecz także bolesna część losów rodzinnych.

PABIANICE | Pabianicki Klub „Gazety Polskiej” oddał hołd ofiarom przy pamiątkowej tablicy na miejscowym cmentarzu. Symboliczny gest i chwila zadumy – tak Pabianice uczciły tych, którzy zginęli tylko dlatego, że byli Polakami.

RYPIN | Klub „Gazety Polskiej” w Rypinie wraz z lokalnymi władzami, w tym burmistrzem Pawłem Grzybowskim i przedstawicielami powiatu, upamiętnili ofiary rzezi. Przewodniczący Klubu „Gazety Polskiej” Rypin Kazimierz Mroczyński przypomniał genezę zbrodni, plan „oczyszczenia” przyszłego państwa ukraińskiego z Polaków. Zwrócił również uwagę na opór władz ukraińskich wobec ekshumacji, która wciąż nie może dojść do skutku, mimo upływu 82 lat. Burmistrz jednoznacznie podkreślił: „Tej zbrodni nie możemy zapomnieć. Pamięć musi trwać”.

OLSZTYN | Pod Kolumną Orła Białego mieszkańcy Olsztyna wraz z Klubem „Gazety Polskiej” Olsztyn zapalili znicze i złożyli kwiaty, upamiętniając ofiary zamordowane na Wołyniu.

ELBLĄG | W Elblągu uczestnicy uroczystości wzięli udział we Mszy św., po której członkowie Klubu „Gazety Polskiej” Elbląg wspólnie ze Stowarzyszeniem gen. Bolesława Nieczui Ostrowskiego złożyli kwiaty pod pomnikiem Żołnierzy Armii Krajowej.

NOWY SĄCZ | Ulicami miasta przeszedł X Marsz Wołyński, zorganizowany przez lokalne środowiska patriotyczne. Klub „Gazety Polskiej” im. Jana Olszewskiego z przewodniczącym Tomaszem Baliczkiem był jego aktywnym uczestnikiem. Cytując prezydenta elekta Karola Nawrockiego: „Nie o zemstę oni wołają. Wołają o grób. Wołają o pamięć”, organizatorzy apelowali do ukraińskich władz o zgodę na ekshumację i godny pochówek ofiar. Uczestnicy wyrazili nadzieję, że nowa prezydentura przyniesie przełom w tej sprawie.

KŁODZKO | W Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa z inicjatywy senatora Aleksandra Szweda zostały zorganizowane uroczystości pod pomnikiem upamiętniającym Polaków pomordowanych na Kresach Wschodnich w Kłodzku, podczas których zgromadzeni złożyli kwiaty i zapalili znicze, oddając hołd wszystkim Kresowianom pomordowanym w latach 1939–1947. W uroczystościach uczestniczyli członkowie i sympatycy Klubów „Gazety Polskiej” z Kłodzka, Polanicy Zdroju i Lądka Zdroju.

LĄDEK-ZDRÓJ | W Lądku Zdroju odsłonięto tablicę poświęconą obywatelom polskim zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich OUN-UPA. W uroczystościach uczestniczyli członkowie i sympatycy Klubów „Gazety Polskiej” z Kłodzka, i Lądka-Zdroju.

GORZÓW WIELKOPOLSKI | Przedstawiciele Klubu „GP” z Gorzowa Wielkopolskiego uczcili pamięć w Marszu Pamięci

eprasa.pl 7fc163a04b

Ofiar Ludobójstwa dokonanego na obywatelach II RP przez ukraińskich nacjonalistów.

DOMOSTAWA | W Domostawie przed Pomnikiem Rzezi Wołyńskiej przedstawiciele m.in. Klubu „Gazety Polskiej" z Opola, Krakowa, Perth (Australia) oddali cześć pomordowanym. Wśród nich byli potomkowie ocalałych oraz tych, którzy zginęli z rąk UPA. Zwrócono uwagę, że ofiary nadal leżą w bezimiennych dołach śmierci, a temat ich ekshumacji nie może być pomijany w relacjach polsko-ukraińskich.

KIELCE-CENTRUM | Klub „Gazety Polskiej" Kielce-Centrum po Mszy św. wziął udział w Marszu Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej, który przeszedł przez Kielce na Cmentarz Partyzancki. W rocznicę „krwawej niedzieli" na Wołyniu, na Cmentarzu Partyzanckim odsłonięto obelisk upamiętniający Polaków zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów.

ŻARY | Klub „Gazety Polskiej" Żary uczcił 82. rocznicę rzezi wołyńskiej na cmentarzu komunalnym w Żarach. Uczestnicy przypomnieli, że w lipcu 1943 roku UPA zaatakowała ponad 150 polskich miejscowości.

POZNAŃ | W Poznaniu klub „Gazety Polskiej" zorganizował obchody 82. rocznicy „krwawej niedzieli", oddając hołd ofiarom i modląc się o prawdę, pokój oraz sprawiedliwość.

Wołyń – słowo, które budzi ból, ale też poczucie obowiązku. Obowiązku pamięci, prawdy i szacunku wobec ofiar. We wszystkich miastach, w których odbyły się uroczystości, wybrzmiewało to samo przesłanie: nie ma zgody na przemilczenie, nie ma zgody na zapomnienie. Tych, którzy zginęli, nie możemy wskrzesić, ale możemy zapewnić im godne miejsce w historii i w sercach współczesnych Polaków.

ŁÓDŹ II | Setki osób, w tym kibice obu łódzkich klubów sportowych, przedstawiciele wielu organizacji, w tym klubowicze „Gazety Polskiej" Łódź II, przemaszerowały ulicami Łodzi w proteście przeciwko nielegalnym imigrantom. Marsz zakończył się przed urzędem miasta.

GDAŃSK | Klub „Gazety Polskiej" Gdańsk II uczestniczył w proteście przed Ratuszem Głównym w Gdańsku w odpowiedzi na wystawę pt. „Nasi chłopcy". Uczestnicy wyrazili sprzeciw wobec kłamliwej ekspozycji w Ratuszu Głównym Miasta.

CZĘSTOCHOWA | Klub „Gazety Polskiej" Częstochowa oraz Jeleśnia uczestniczył w wizycie w Parlamencie Europejskim w Brukseli na zaproszenie europosła Patryka Jakiego. Głównym punktem programu była wystawa pt. „Dekalog", poświęcona błogosławionemu księdzu Jerzemu Popiełuszce.

KIELCE-CENTRUM | Po raz drugi Klub „Gazety Polskiej" Kielce-Centrum wziął udział w Pielgrzymce Rodzin Radia Maryja na Jasną Górę. XXXIV edycja wydarzenia zgromadziła liczne grono pielgrzymów z całej Polski, którzy przybyli do Częstochowy, by wspólnie modlić się, dziękować i prosić o potrzebne łaski.

NOWE KLUBY „GP", ZMIANY I REAKTYWACJE

MIERZĄCZKA DUŻA – powstał 537. klub „Gazety Polskiej". Przewodniczącym został Tomasz Kmin, tel. +48 792 045 141, klubgp.mierzaczkaduza@gmail.com

JĘDRZEJÓW – powstał 538. klub „Gazety Polskiej". Przewodniczącym został Tomasz Olszewski, tel. +48 606 150 729, e-mail: klubgp.jedrzejow@gmail.com

OPOCZNO – nowym przewodniczącym został Rafał Skoczylas, tel. +48 661 975 459, klubgp.opoczno@gmail.com (nowy e-mail). Panu Wojciechowi Turek dziękujemy za dotychczasową współpracę.

ZAPROSZENIA **klubowe**

MILANÓWEK – obchody 81. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, 2 sierpnia (sobota), g. 15 – Msza św. w kościele pw. Matki Bożej Bolesnej, ul. Szkolna 7. Po nabożeństwie uroczystość na cmentarzu w Milanówku przy grobach powstańców warszawskich. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

Tomasz
Łysiak
SZEF DZIAŁU HISTORIA
albicla.com/TomaszLysiak

„NASI CHŁOPCY", CZYLI DUMA Z MUNDURU WEHRMACHTU?

Á PROPOS GDAŃSKIEJ WYSTAWY

eprasa.pl 7fc163a04b

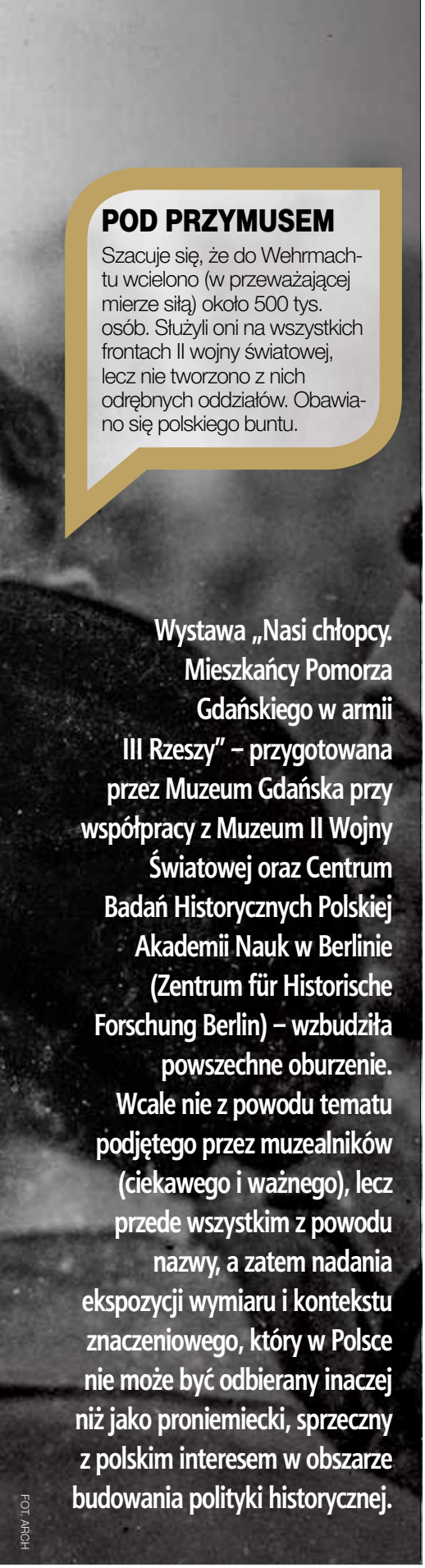

FOT. ARCH

POD PRZYMUSEM

Szacuje się, że do Wehrmachtu wcielono (w przeważającej mierze siłą) około 500 tys. osób. Służyli oni na wszystkich frontach II wojny światowej, lecz nie tworzono z nich odrębnych oddziałów. Obawiano się polskiego buntu.

Wystawa „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy" – przygotowana przez Muzeum Gdańska przy współpracy z Muzeum II Wojny Światowej oraz Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie (Zentrum für Historische Forschung Berlin) – wzbudziła powszechne oburzenie. Wcale nie z powodu tematu podjętego przez muzealników (ciekawego i ważnego), lecz przede wszystkim z powodu nazwy, a zatem nadania ekspozycji wymiaru i kontekstu znaczeniowego, który w Polsce nie może być odbierany inaczej niż jako proniemiecki, sprzeczny z polskim interesem w obszarze budowania polityki historycznej.

Nasi chłopcy" – tak Niemcy mogliby tytułować swoją wystawę o służbie w Wehrmachcie. A i to powinno się spotkać z ostrą reakcją strony polskiej i pytaniami w stylu: „Jesteście dumni z tego, co dokonywał Wehrmacht w czasie wojny?". Tymczasem taką „dumę" ze służby w Wehrmachcie buduje polskie muzeum, fatalnie zatytułowaną wystawą! Służba w Wehrmachcie była w czasie wojny traumatycznym doświadczeniem dla wielu Polaków, Kaszubów, Ślązaków, Mazurów czy Wielkopolan, wcielanych często pod przymusem do niemieckiej armii. Wystawa mówi o „mieszkańcach Pomorza Gdańskiego" – etnicznie mowa tu bowiem właśnie nie tylko o Polakach. Jednak, jak się dowiadujemy z tekstów stanowiących część wystawy, nie tylko trauma, potworne doświadczenia, śmierć, niewola czy rany były skutkiem tej służby, lecz także towarzysząca wcielanym do Wehrmachtu żołnierzom „ekscytacja wywołana nowym doświadczeniem i możliwością zobaczenia nieznanych dotąd stron". A może w innych krajach czekały jeszcze na nich ekscytujące romanse… Gdy do takich szczegółów dodamy „polityczną gablotkę", czyli fragment wystawy poświęcony epizodowi sprzed wielu lat, gdy media wypomniały Donaldowi Tuskowi, iż jego dziadek służył w Wehrmachcie, to już razem ze skandalicznym tytułem tworzy się obraz tego, iż wystawie nadano fatalny wymiar, zbudowano tymi elementami nieadekwatny do problemu przekaz i sens. Tym bardziej szkoda, że z punktu widzenia historycznego sprawa jest niezmiernie ciekawa i stanowi w popularnym obiegu popularyzatorsko-historycznym białą plamę.

Deutsche Volksliste

Służba Polaków w mundurze okupanta to – także dla historyków, a co dopiero dla zwykłych zjadaczy chleba – problem bardzo złożony, trudny do interpretacji, a także obarczony problemami źródłowymi (na przykład dotyczącymi liczb).

Powołanie do służby w Wehrmachcie wiązało się ściśle z kwestiami obywatelstwa niemieckiego oraz Deutsche Volksliste (w skrócie DVL), czyli niemieckiej listy narodowościowej wprowadzonej we wrześniu 1940 roku na terenie Niemiec z rozkazu Heinricha Himmlera. Zgodnie z niemieckim (oraz międzynarodowym) prawem do wojska mogli być powoływani jedynie obywatele III Rzeszy, a ponieważ wpis na Volkslistę wiązał się z kwestiami obywatelstwa, początku problemu dotyczącego służby w mundurze armii niemieckiej szukać należy właśnie w owej liście narodowościowej. Często bowiem Polacy, Ślązacy czy Kaszubi – zmuszani do wypełniania ankiet, na podstawie których tworzono owe listy – nie wiedzieli, że w następnym kroku pójdzie za tym konieczność odbycia służby wojskowej. Ta służba zaś, w chwili, gdy już się obywatelstwo niemieckie posiadało (właśnie w wyniku wpisu na Volkslistę), stawała się obowiązkowa. Przy czym – dla jasności – Polaków z Pomorza Gdańskiego oraz innych rejonów przyłączonych do Rzeszy wcielano przymusowo do Wehrmachtu, jeszcze zanim powstała Volkslista, i to także spowodowało zamieszanie prawne: czy zwalniać tych, którzy na listę nie zostali wpisani? Zwalniać tych, którzy nie dostali odpowiedniej kategorii? Czy może dawać lepszą kategorię tym, którzy odznaczyli się w boju?

Mazurzy, Kaszubi, Ślązacy…

Trzeba przy tym pamiętać, że stosunek do Volkslisty i sposób patrzenia na jej funkcjonowanie był zupełnie inny na terenie Generalnego Gubernatorstwa (gdzie wpis był dobrowolny i państwo podziemne oraz społeczeństwo polskie odbierało go jako zdradę), a zupełnie inny na Górnym Śląsku, Pomorzu Gdańskim, w Wielkopolsce czy w województwie łódzkim. Tam bowiem wpis na Deutsche Volksliste odbywał się w ramach urzędniczego procesu, w którym każdy z mieszkańców musiał wypełnić specjalną, złożoną z wielu pytań ankietę, zaś potem był przyporządkowywany do odpowiedniej kategorii. Całość była częścią procesu germanizacji podbitych terenów i zamieszkującej je ludności. Najprawdopodobniej zresztą za całym projektem stworzenia Niemieckiej Listy Narodowościowej stał sam Adolf Hitler, któremu pomysł miał podsunąć Arthur Greiser, namiestnik Rzeszy w Kraju Warty. Chodziło tu zarówno o regermanizację osób pochodzenia niemieckiego, zamieszkujących przed wybuchem wojny terytorium Polski,

eprasa.pl 7fc163a04b

jak i germanizację tych, którzy z powodów rasowych i kulturowo-etnicznych mogli się takiemu procesowi poddać. Zasadnicze zarządzenie dotyczące stworzenia Deutsche Volksliste (DVL) oraz związanym z tym przyznawaniem obywatelstwa zostało wydane 4 marca 1941 roku. Porządkowało ono kryteria i zasady wpisu na Volkslistę. I tak podzielono ludność na cztery kategorie:

– w grupie DVL 1 znaleźli się zamieszkujący przed wojną tereny II RP Niemcy aktywni politycznie (na rzecz sprawy niemieckiej). Dostawali oni z automatu niemieckie obywatelstwo;

– do grupy DVL 2 wpisywano tę część mniejszości niemieckiej zamieszkującej polskie terytorium, która nie była aktywna politycznie; także ci Niemcy dostawali obywatelstwo III Rzeszy;

– grupa DVL 3 stanowi najważniejszą dla rozważań o służbie w Wehrmachcie grupę. Wpisywano do niej Polaków niemieckiego pochodzenia, czyli osoby spolonizowane, lecz w których żyłach płynęła niemiecka krew. Do tego statusu dołączały osoby, których małżonkowie byli Niemcami, oraz, co ważne, przedstawiciele innych narodowości – Mazurzy, Kaszubi, Ślązacy. Ci mieli wykazać się związkami z kulturą niemiecką, na przykład znajomością języka. W przypadku niektórych z nich przeprowadzano nawet specjalne badania rasowe, by ustalić, czy należy im się trzecia kategoria. W tej kategorii przyznawano obywatelstwo na okres 10 lat;

– kategoria DVL 4 przeznaczona była dla osób, które były pochodzenia niemieckiego, lecz na tyle się spolonizowały czy były aktywne politycznie na rzecz Polski, że można je było uznać za „renegatów sprawy niemieckiej". Jednak także one mogły, lecz jedynie w wyjątkowych przypadkach i po badaniach rasowych, dostać obywatelstwo niemieckie.

Paliły się! Paliły!

Jak wyglądał zapis na listę, a co za tym idzie – przyznanie obywatelstwa i wreszcie powołanie do służby wojskowej? Tu rzecz wyglądała inaczej w zależności od obszaru – na przykład w Kraju Warty podejście było bardzo restrykcyjne, na listę dostać się było trudno i traktowano wpis jako rodzaj nagrody. Gdzie indziej podejście było bardziej liberalne – i tam, jak właśnie na Pomorzu Gdańskim, zapisów na Volkslistę było więcej. Jednak w wielu wypadkach odmowa wypełnienia ankiety czy próba odmowy wpisania na daną kategorię Volkslisty wiązała się z terrorem, zastraszaniem, karami, a nawet wysyłką do obozów koncentracyjnych. W tym sensie proces był wymuszany, a zatem jego konsekwencje także były wynikiem przymusu. Chociaż każdy przypadek i tak należałoby rozpatrywać odrębnie, gdyż motywy wpisywania się na Volkslistę były różne – od przymusu po wręcz przypadki odwrotne: chęć otrzymania jak najwyższej kategorii, gdyż wiązały się z nią profity.

Nie wiemy też dokładnie, ilu przedwojennych obywateli państwa polskiego zostało wcielonych do Wehrmachtu. Wiemy, że na listy DVL na terytoriach Polski anektowanych do III Rzeszy jesienią 1943 roku wpisanych już było ponad 3 mln ludzi. Szacuje się, że do Wehrmachtu wcielono (w przeważającej mierze siłą) około 500 tys. osób. Służyli oni na wszystkich frontach II wojny światowej, lecz nie tworzono z nich odrębnych oddziałów. Obawiano się polskiego buntu, więc Polaków wcielano pojedynczo do czysto niemieckich jednostek. Było też wiele przypadków odmowy służby, próśb o zmianę kategorii na ostatnią, aby uniknąć przywdziania munduru, ale na ogół nie było od tej konieczności wyjścia. Służba w Wehrmachcie stała się dla wielu tych ludzi dramatem, koszmarem, z którego próbowali się często uwolnić. Stąd masowe dezercje na froncie zachodnim i próba dołączania do polskich oddziałów, czy to we Włoszech, czy w Normandii.

Na potrzeby realizacji filmów dokumentalnych przeprowadziłem rozmowy z dwoma żołnierzami 2. Korpusu Polskiego, którzy właśnie z Wehrmachtu trafili do polskiej armii – z Alfonsem Mrzykiem oraz Leonem Piesowockim. Ten drugi, utalentowany malarz (jeden z „artystów Andersa"), trafił do Italii w mundurze niemieckim (urodził się w Wielkopolsce i tam został pod przymusem wcielony do sił zbrojnych III Rzeszy). Szukał ciągle okazji do ucieczki. Wiedział, że za dezercję grozi natychmiastowa kara śmierci, powieszenie na drzewie – czego się obawiał. Ze szczegółami opisywał swoją ucieczkę w trakcie kładzenia linii telefonicznej, następnie trudną drogę przez góry, poddanie się żołnierzom alianckim (Kanadyjczykom), a następnie chwilę, w której wraz z innymi przedwojennymi obywatelami II RP (z Gdańska, Pomorza, Śląska) znalazł się w 2. Korpusie Polskim. Z ogromną emocją opisał chwilę, w której przyszło im zdjąć znienawidzone niemieckie mundury i wrzucić na ogniska. „Paliły się! Paliły się!" – mówił drżącym głosem, a gdy opowiadał o zakładaniu polskiego munduru, w jego oczach pojawiły się łzy. Był niezwykle wzruszony i dumny – doszedł do Polaków, bił się w polskim mundurze. Nie wszystkim się to udało.

Niemiecka narracja

Historia Polaków – Ślązaków, Kaszubów, Mazurów – służących w Wehrmachcie to historia bardzo trudna, złożona i niejednorodna.

Jednak ten ważny historycznie temat nie upoważnia do budowania na podstawie ich losów niemieckiej narracji w stylu „Nasi chłopcy w Wehrmachcie". Ten zwrot w czasie wojny – „nasi chłopcy" („our boys" w armiach alianckich) – był nacechowany silnym pozytywnym ładunkiem, oznaczał dumę z ich służby w wojsku. Czym innym jednak służba po „dobrej stronie mocy", a czym innym po stronie wroga, nawet jeśli wymuszona i nawet jeśli będąca osobistym dramatem. O losach Polaków służących w niemieckim mundurze należy opowiadać, lecz nadając sprawie odpowiedni kontekst i brzmienie. A dumą napawają „nasi chłopcy" tłukący się ze Szwabami w powstaniu, pod Monte Cassino czy w 1. Dywizji gen. Maczka. Tam także byli uciekinierzy z Wehrmachtu – ich postawa napawa dumą. Ale „nasi chłopcy" w mundurze wroga to koszmarne wykoślawienie sensów i kontekstów. Tym bardziej niebezpieczne, iż Niemcy prowadzą obecnie bardzo sprawną politykę wypierania własnych win, rozmywania odpowiedzialności, czynienia Polaków winnymi wybuchu wojny i współsprawcami Holokaustu. Ta wystawa wpisuje się – niestety – w ową strategię. Wstyd, że takie rzeczy dzieją się w wolnej Polsce, za rządów odpowiedzialnego za taką politykę historyczną Donalda Tuska. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

Sklep Gazety Polskiej POLECA

NOWOŚCI

PŁK. KOWALSKI O TAJNYCH OPERACJACH SŁUŻB

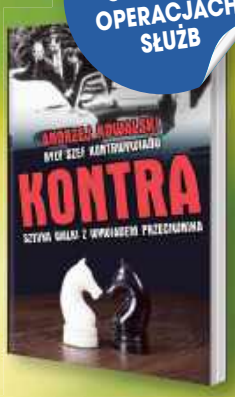

KONTRA. SZTUKA WALKI Z WYWIADEM PRZECIWNIKA

ANDRZEJ KOWALSKI

Fascynująca opowieść zza kulis polskich służb specjalnych, w której były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego odsłania tajniki walki informacyjnej, dezinformacji i obrony przed agenturą. Książka nie tylko ujawnia realia pracy kontrwywiadu, ale również pokazuje, jak wygląda prawdziwa wojna tocząca się poza zasięgiem kamer i mediów.

Format: 145x205 mm | **Liczba stron:** 392 | **Oprawa:** miękka

KREW I POPIÓŁ. POLSCY ŻOŁNIERZE NAPOLEONA

PIOTR KORCZYŃSKI

Pasjonująca opowieść o polskich żołnierzach, którzy z nadzieją na odzyskanie niepodległości walczyli u boku Napoleona Bonaparte. Piotr Korczyński w dynamiczny i przystępny sposób przybliża losy Legii Polsko-Włoskiej, szarż pod Somosierrą i dramatycznych kampanii, gdzie honor i krew mieszały się z rozczarowaniem i popiołem historii.

Format: 158x225 mm | **Liczba stron:** 512 | **Oprawa:** twarda

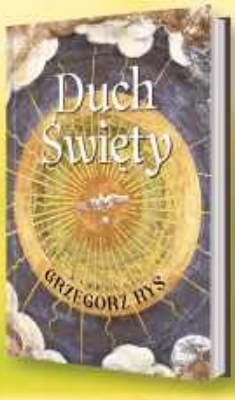

DUCH ŚWIĘTY

KS. KARD. GRZEGORZ RYŚ

Przystępne, pełne mocy i światła wprowadzenie w relację z Trzecią Osobą Trójcy Świętej. Autor prowadzi czytelnika od podstawowych prawd wiary do głębokiego doświadczenia działania Ducha Świętego w codziennym życiu – przez modlitwę, Słowo i sakramenty.

Format: 140x205 mm | **Liczba stron:** 320 | **Oprawa:** twarda

KALENDARZ DZIEJE POLSKI

Podróż przez naszą historię, od jej zarania do wieku XX. Każdy miesiąc przypomina o innym ważnym wydarzeniu, które ukształtowało nasze polskie „dzisiaj".

KALENDARZ ŚW. RITA

Patronka spraw beznadziejnych i niemożliwych to 12 miesięcy z tą wyjątkową, czczoną także w Polsce świętą, której orędownictwa przyzywamy w sprawach tak zagmatwanych i trudnych, że aż niemożliwych.

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl** | **tel. 722 111 655, 887 885 577**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl

sklep.gazetapolska.pl
Sklep Niepodległego Polaka

„To wyznajemy, czego nas nauczono”

1700. ROCZNICA SOBORU NICEJSKIEGO

Tomasz **Panfil**

GAZETA POLSKA

Cesarz Konstantyn Wielki opowiadał Euzebiuszowi z Cezarei dzieje swojego burzliwego i aktywnego życia. „Powiedział, że w godzinach popołudniowych, kiedy słońce zaczynało się już skłaniać ku zachodowi, zobaczył na własne oczy znak triumfalny w postaci krzyża ze światła na niebie, powyżej słońca, i był na nim umieszczony napis mówiący »Pod nim zwyciężaj«. Na ten widok zdumienie ogarnęło jego i całe wojsko, które szło za nim w tej ekspedycji i stało się naocznym świadkiem cudu". Ta wizja oraz późniejszy od niej – i słynniejszy – sen cezara stały się punktem zwrotnym w dziejach cesarstwa, chrześcijaństwa i całego świata.

W straszliwy 14. dzień wiosennego miesiąca nissan – znany nam jako Wielki Piątek – uczniom Jezusa Chrystusa wydawało się, że runął świat. Lecz już trzy dni później, w niedzielę, Chrystus Żywy ukazał się niewiastom i uczniom zmierzającym do Emaus. A potem On przyszedł do zalęknionych apostołów zamkniętych w Wieczerniku „z obawy przed żydami" i pozdrowił ich słowami: „Pokój wam". Czterdzieści dni po Zmartwychwstaniu Chrystus odszedł do domu Ojca, obiecując wystraszonym wciąż uczniom, że przyśle im Ducha Świętego Pocieszyciela. I tak się stało: 50. dnia po Zmartwychwstaniu apostołowie otrzymali od Ducha Świętego dary: Mądrości, Rozumu, Rady, Męstwa, Umiejętności, Pobożności i Bojaźni Bożej. Od tego dnia zaczęli realizować zleconą przez Chrystusa misję – nawracając narody świata i budując Jego Kościół.

„Idźcie i nauczajcie"

Natchnieni odwagą i mądrością, przestali się ukrywać, stali się w pełni apostołami, czyli posłańcami Dobrej Nowiny. Już bez strachu, chociaż świat od pierwszego dnia przypuszczał na Kościół ataki – najpierw słowem, potem siłą fizyczną. Lecz czas chowania się za zamkniętymi drzwiami minął: nauczając liczne narody, apostołowie pamiętali o słowach Chrystusa: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni jesteście, gdy ludzie wam urągają i prześladują was, i gdy mówią kłamliwie wszystko złe na was z mego powodu. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie" (Mt, 5). I kolejno, jeden po drugim, otrzymywali swój wieniec chwały i zwycięstwa. Kościół tymczasem rósł.

Trudno jest oszacować liczbę chrześcijan żyjących w Imperium Rzymskim u progu czwartego stulecia, wtedy gdy Konstantyn ujrzał krzyż i obietnicę zwycięstwa. Szacunki historyków zawierają się w zaciemniającym raczej niż rozjaśniającym obraz przedziale od 1 do 20 proc. Wiedząc bardzo niewiele o wyznaniach ludności wiejskiej, stanowiącej około 90 proc. ludności Imperium, koncentrujemy się na miastach i miasteczkach, w których chrześcijaństwo zdobywało dość licznych wyznawców. Mimo prześladowań, mających początkowo charakter sporadyczny i regionalny, liczba wyznawców Chrystusa stale rosła, aż do połowy III wieku. Dokładnie w roku 250 nowo wybrany cesarz Decjusz, rzymski senator wierzący w dawnych bogów, wydał dekret nakazujący wszystkim mieszkańcom Imperium – mężczyznom, kobietom i dzieciom – złożyć ofiarę Jupiterowi, Marsowi i Minerwie. Karą za odmowę była śmierć. Jednym z pierwszych zamordowanych był papież Fabian, śmierć ponieśli biskupi Antiochii i Jerozolimy, biskupi Kartaginy i Aleksandrii ukrywali się, biskup Smyrny wyrzekł się Chrystusa. Wiarę i nadzieję mieszkańców Smyrny ratował Pioniusz, który rzekł przełożonemu pogańskiej świątyni: „Nie czcimy waszych bogów i nie bijemy pokłonów przed posągiem ze złota (…) Dobrze jest żyć, żeby widzieć światło dnia, lepiej jest jednak ujrzeć prawdziwe światło". Pioniusz spłonął przybity do pala.

Ta fala powszechnych prześladowań chrześcijan trwała kilka miesięcy, do śmierci Decjusza. Następne pojawiały się i zanikały, zależnie od poglądów szybko zmieniających się cesarzy. Z potężną siłą wybuchły ponownie w 295 roku, za panowania cesarzy Dioklecjana i Galeriusza, na skutek kryzysu w armii: chrześcijanie, nie chcąc łamać szóstego przykazania, odmawiali służby w legionach.

Prześladowania za Dioklecjana nie miały precedensu: tak zapadły w pamięć chrześcijan, że istniał nawet sposób liczenia lat od daty jego wstąpienia na tron (284). Rachubę tę nazywano „erą męczenników". A potem Konstantyn, syn Konstancjusza Chlorusa, cezara Zachodu, miał wizję.

Pod tym znakiem

Jaki krzyż nad słońcem zobaczył Konstantyn? Co ujrzał w swoim śnie w noc przed bitwą z cezarem Maksencjuszem? Wiele dowodów wskazuje, że nie był to ukazywany przez późniejszych malarzy krzyż łaciński. Monety Konstantyna Wielkiego i jego następców oraz inskrypcje na kamieniach milowych przy italskich szlakach świadczą raczej, że był to tzw. chryzmon – krzyż złożony z greckich liter Chi i Ro, będący jednocześnie monogramem Chrystusa. Na monetach widzimy go górującego na labarum, najważniejszej rzymskiej chorągwi. Pod takim znakiem Konstantyn, napełniony taką odwagą, jaką napełnił Duch Święty kryjących się przed prześladowcami uczniów Chrystusa, wkraczał do Italii i ścigał Maksencjusza. Krzyż Chi-Ro widnieć miał również na tarczach żołnierzy Konstantyna, którzy 28 października 312 roku rozbili dwukrotnie liczniejsze wojska Maksencjusza i następnego dnia wkroczyli do Rzymu. Do dzisiaj grecki skrót imienia Jezus, czyli IHS, tłumaczony jest z łacińska jako In *Hoc Signo* (vinces) – W tym Znaku (zwyciężysz).

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 7fc163a04b

Konstantyn chciał zjednać sobie w większości pogańskich Rzymian, ale nie chciał czekać z naprawieniem krzywd wyrządzonych chrześcijanom. Nakazał natychmiast wypuścić ich z więzień, zwrócić kościoły skonfiskowane w czasach prześladowań, wypłacić stosowne rekompensaty. Symbolicznym gestem było zburzenie pomników cesarzy prześladowców: Dioklecjana, Maksymiana i Galeriusza.

W lutym 313 roku, w Mediolanie, odbyły się zaślubiny córki Konstantyna z Licyniuszem, cesarzem wschodniej części imperium. Przy tej okazji Konstantyn wymógł na Licyniuszu wspólną deklarację pełnej i bezwarunkowej tolerancji dla chrześcijan w całym imperium.

Różne opinie o wierze cesarza Konstantyna ferowali historycy. Jacob Burchardt, historyk bez wątpienia wybitny, lecz pełen protestanckich uprzedzeń, stwierdził autorytatywnie, że wiara cesarza Konstantyna był wynikiem cynicznego oportunizmu, że cesarz rozważał jedynie polityczne korzyści i materialne zyski. Jak było naprawdę, stwierdził sam Konstantyn, pisząc do biskupów zebranych na synodzie w Arles w roku 314: „Wszechmogący Bóg zasiadający na niebieskiej strażnicy obdarza mnie dobrodziejstwami, których godzien nie jestem. Zaprawdę, o najczcigodniejsi biskupi Chrystusa Zbawiciela, teraz ani opisać, ani zliczyć darów onych nie umiem, którymi w swej niebiańskiej hojności obsypać mnie, Jego sługę, raczył”. Władca całego rzymskiego Zachodu nazywał więc siebie sługą Chrystusa. I tak też się zachowywał: w latach 315–321 wydał edykty, w których zabraniał torturowania i zabijania niewolników, rodzicom zaś znęcania się nad dziećmi, zabraniał piętnowania na twarzy skazańców, brał w obronę dzierżawców. Wreszcie w 321 roku ustanowił niedzielę dniem wolnym od pracy, a także pozwolił na swobodne wyzwalanie niewolników, pod warunkiem, że stanie się to w obecności chrześcijańskiego kapłana.

W 324 roku Licyniusz rzucił wyzwanie Konstantynowi. Znając jego nabożeństwo do Chrystusa, uderzył najpierw w chrześcijan, każąc żołnierzom XII Legionu, by złożyli przysięgę pogańskim bóstwom. Czterdziestu legionistów, którzy odmówili, zamęczono. Konstantyn, jak na obrońcę wiary przystało, ruszył na wschód. Licyniusz został pokonany, Konstantyn mógł teraz zająć się sprawami Kościoła, który pilnie wymagał cesarskiej interwencji.

Nicea

Edykt mediolański zamknął w historii Kościoła prześladowania ze strony państwa, otworzył zaś okres gorących dyskusji, kłótni o doktrynę, momentami wręcz zbrojnych utarczek między zwalczającymi się frakcjami, na przykład w Kartaginie. Konstantyn rozumiejąc, że rozproszenie wspólnot chrześcijańskich na ogromnych przestrzeniach cesarstwa siłą rzeczy prowadzi do różnic i partykularyzmów, postanowił zwołać sobór powszechny i samemu wziąć w nim udział. Do Nicei, miasteczka w Bitynii (dziś Turcja), pisemnie zaproszeni przez cesarza, zjechali biskupi w liczbie 250 lub 318. Najliczniej oczywiście dopisali biskupi Azji, Syrii, Palestyny, Grecji i Tracji, ale dzięki zorganizowanemu przez cesarza transportowi przybyli również biskupi z Brytanii i Iberii.

Najważniejszą sprawą było rozstrzygnięcie doktrynalnego sporu między biskupem Aleksandrem a jednym z jego księży, Ariuszem. Ten drugi twierdził, że Chrystus został stworzony przez Boga Ojca, że „był czas, kiedy Go nie było”. Ten pogląd został uznany za herezję, ojcowie soborowi przyjęli, że Syn jest „współistotny” (homouzjos) Ojcu. Lecz Sobór nie ograniczył się tylko do potępienia poglądów Ariusza i jego zwolenników, lecz uzgodnił powszechne, obowiązujące do dziś (ze zmianami dokonanymi przez sobór konstantynopolitański z roku 381), wyznanie wiary (Credo), zwane też symbolem wiary.

Drugim problemem rozstrzygniętym przez sobór było ustalenie jednej, wspólnej, daty Wielkanocy. Spory o nią toczyły się już od schyłku II wieku, kiedy papież Wiktor usiłował przekonać biskupów wschodnich, by Wielkanoc wypadała zawsze w niedzielę. Sobór postanowił, że ma być to pierwsza niedziela po pierwszej wiosennej pełni księżyca. I ta decyzja, podobnie jak nicejskie Credo, obowiązuje do dziś. Sobór ustalił również procedurę obierania biskupów, nakazał regularne odbywanie synodów prowincjonalnych, przyznano honorowe pierwszeństwo biskupowi Jerozolimy, *de facto* wówczas nieistniejącej, bo zburzonej przez cesarza Tytusa.

Wiemy, że akta soboru nicejskiego zajmowały 40 tomów. Zostały rozesłane do różnych Kościołów, by zapewnić jedność doktryny i praktyk. Zachowały się tylko trzy fragmenty: 20 kanonów, symbol wiary i dekret.

Po stuleciach wróciliśmy do dylematów, które były istotne w pierwszych wiekach Kościoła. Subtelne wywody teologiczne czy filozoficzne przemawiają do nielicznych, ogół społeczeństwa stoi przed stosunkowo prostym wyborem. Czy budować teraźniejszość i przyszłość na fundamentach świeckich i technicznych – czyli doczesnych i przemijających, czy też na fundamentach duchowych – a zatem wiecznych? Czy człowiek uzna samego siebie za boga, czy będzie czcił Boga Prawdziwego? I wreszcie pytanie, które zapewne stawiał sobie cesarz Konstantyn, bez wątpienia jeden z najpotężniejszych ludzi w dziejach świata: czy to cezar udziela władzy Bogu, czy może jednak Bóg daje władzę i moc cezarowi? A odpowiedzi niezmiennie odnajdujemy w Credo, gdy mówimy, że „Wierzymy w jednego Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, zrodzonego z Ojca, jednorodzonego, to jest z istoty Ojca, Boga z Boga, Światłość ze Światłości, Boga prawdziwego z Boga prawdziwego, zrodzonego, a nie uczynionego, współistotnego Ojcu, przez którego wszystko się stało, co jest w niebie i co jest na ziemi, który dla nas, ludzi, i dla naszego zbawienia zstąpił i przyjął ciało, stał się człowiekiem, cierpiał i zmartwychwstał trzeciego dnia, wstąpił do nieba, przyjdzie sądzić żywych i umarłych”. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

GAZETA POLSKA

Krzysztof
Wołodźko

NIEBANALNY HUMOR, UROK I POLOT. ODESZŁA JOANNA KOŁACZKOWSKA

BAWIŁA DO ŁEZ, PRZYWOŁYWAŁA REFLEKSJĘ

Opłakując odejście Joanny Kołaczkowskiej, opłakujemy nie tylko dramatyczny los świetnej artystki, która zmagała się z chorobą nowotworową. Opłakujemy znakomitą aktorkę sceniczną, która fenomenalny talent, niebanalny dar budzenia śmiechu i uśmiechu łączyła z wyczuciem nastrojów widowni, prawdziwym kabaretowym polotem i osobistym urokiem.

Kto pamięta sprzed dekad fenomen polskiego kabaretu studenckiego, ten wie, że Joanna Kołaczkowska była jedną z jego najwybitniejszych reprezentantek. Dla młodszych widzów to artystka rządząca na kabaretowych, wakacyjnych rewiach, krótkich filmikach z urywkami skeczów w mediach społecznościowych. Dla tych, którzy pamiętali przejście z PRL do III RP, to przede wszystkim wykonawczyni świetnych, mniej lub bardziej purnonsensowych numerów z kabaretu Potem. Kołaczkowska zaczynała w zielonogórskim Drugim Garniturze. Zielona Góra, z której wywodzi się niejedna gwiazda mocno już dziś skomercjalizowanego (i niestety czasem mocno stronniczego politycznie) kabaretu, przed wieloma laty była stolicą studenckich kabaretów. Grup scenicznych, którym znacznie bliżej było do tradycji Starszych Panów i poezji śpiewanej niż rubasznego czy wręcz wulgarnego dzisiejszego kabaretu, który zdominował gusta i guściki masowej publiczności i letnich imprez.

Charakterystyczny humor, ironia niestroniąca od subtelnego sarkazmu, ale i ciepłych barw, świetne interpretacje wykonywanych piosenek – Joanna Kołaczkowska zachwycała za każdym razem, gdy pojawiała się na scenie. Była największą damą polskiego kabaretu, choć pewnie sama skrzywiłaby się na takie określenie. Dawała iskrę nie tylko skeczom kabaretu Hrabi, uratowała niejedną nudną jak flaki z olejem scenę „Spadkobierców", pastiszowej, improwizowanej wersji telewizyjnych oper mydlanych. Gdy tylko stawała przed widownią, było wiadomo, że rozbawi nas do łez, wzbudzi uśmiech, przywoła refleksję.

Tęsknię za starym, studenckim kabaretem; tęsknię za czasami, gdy jego gwiazdy operowały grą słowa, subtelniejszą aluzją, absurdalnym żartem, bez bombardowania publiki najtoporniejszymi dowcipasami – dlatego z największym rozrzewnieniem będę wspominał Kołaczkowską z lat 90. Kultowe „Bajki dla potłuczonych", swobodne, humorystyczne adaptacje klasycznych baśni Jana Chrystiana Andersena i braci Grimm w obyczajowe, choć i nieobyczajne opowiastki wplatały satyrę na „czasy przejściowe". Mam jednak świadomość, że starsi i młodsi widzowie uwielbiali jej topowe wystąpienia z późniejszych lat, gdy była już niekwestionowaną gwiazdą polskiego kabaretu. Zapracowała na swoją sławę. Dobrze wykorzystała dany przez los talent. A fakt, że dziś ze łzami w oczach żegnają ją ludzie o nader odmiennych poglądach, najróżniejszym poczuciu humoru, starsi i młodsi, mówi wiele o tym, kogo straciła współczesna polska popkultura.

Choć wyrosła z tradycji amatorskiego kabaretu studenckiego, talent pozwolił jej odnaleźć się na deskach teatru. Grała na scenie Teatru Polonia w Warszawie, występowała w stołecznym Teatrze Dramatycznym. Straszliwa choroba sprawiła, że przed czasem musiała zagrać w największym ludzkim dramacie, przypominając nam wszystkim, że w życiu ludzkim płacz i śmiech nieustannie się przenikają, przeczą sobie i się dopełniają. **GP**

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK

eprasa.pl 7fc163a04b

NIEZWYKŁOŚĆ

Film Scotta pokazuje meandry macierzyńskiej miłości, którą trudno zamknąć w jednym zdaniu czy schemacie. Jest też wyciskaczem łez i jak mało który obraz wprowadza nas w festiwal złożoności relacji ze starzejącym się rodzicem.

NADZIEJA MATKI ROZLEGLEJSZA NIŻ OCEAN

WYCISKACZ ŁEZ O NAJPIĘKNIEJSZEJ MIŁOŚCI NA ŚWIECIE

Akcja filmu rozgrywa się w 1963 roku we Francji. Esther rodzi sześcioro dzieci. Ostatnie przychodzi na świat ze stopą końsko-szpotawą. Dla lekarzy oznacza to, że Roland nigdy nie będzie chodził. Esther (fantastyczna Leila Bekhti) nie przyjmuje tego do wiadomości i rozpoczyna swoją walkę o normalne życie dla Rolanda. Od początku uważa, że jej najmłodsze dziecko jest stworzone do rzeczy wielkich, że pójdzie do szkoły na własnych nogach, kiedyś weźmie ślub i zrobi karierę. Przy całym ogromie ciężaru, który kobieta samotnie nosi na barkach, nie brakuje jej humoru, a jej umiejętność wypierania rzeczywistości przynosi wiele zabawnych sytuacji. Historia ta wydarzyła się naprawdę. Po śmierci Esther Perez spisał ją jej syn – Roland Perez – i na tej podstawie Ken Scott stworzył scenariusz „Cudownego życia".

Manifest rodzicielstwa

Film jest piękny i porażająco mądry. Ukazuje niezwykłą relację matki i syna. Relację uzależniającą obie strony. Esther za życiową misję stawia sobie ratowanie Rolanda, a ten od urodzenia jest niemal wyłącznie przy niej. Zdany na jej wizję świata, życiowe mądrości i niewiarygodne szaleństwa. Wzrasta w świecie jej zasad. Kobieta nie tylko dosłownie nosi go na rękach. Pępowiny matek, które łączą je z dziećmi chorymi, są z zupełnie innej, niezwykle mocnej materii. Pewnie dlatego nawet gdy Roland jest już w stanie żyć samodzielnie jako dorosły mężczyzna, matka przestrzega go jak przedszkolaka.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 7fc163a04b

Sylwia
Krasnodębska
SZEF DZIAŁU KULTURA
albicla.com/SylwiaKrasnodebska

„Pewien Anglik napisał słusznie, że Bóg nie może być wszędzie naraz. Dlatego stworzył matki". Na ekrany kin wszedł właśnie znakomity film „Cudowne życie" w reż. Kena Scotta, ze scenariuszem na podstawie książki Rolanda Pereza. To piękna i mądra opowieść o matczynej miłości i niezwykle trudnym dla dorosłych już dzieci procesie starzenia się i dziwaczenia rodziców.

Potrafi do 27-letniego studenta mówić, by nie rozmawiał z obcymi w metrze. Jest też jego sekretarką, gdy ten zakłada kancelarię prawną.

Każdy psychoterapeuta nazwałby dziś więź między Esther a Rolandem relacją toksyczną. Film Scotta, wbrew łatwo przychodzącym, wyświechtanym stereotypom, wprowadza nas jednak w duży dyskomfort. Nie pokazuje toksycznego związku i maminsynka, lecz meandry macierzyńskiej miłości, którą trudno zamknąć w jednym zdaniu czy schemacie.

Nie da się „Cudownego życia" nie odczytać jako manifestu rodzicielstwa. Niepodlegającej dyskusji wyższości rodziny nad aparatem urzędniczym państwa.

Przy okazji film jest permanentnym wyciskaczem łez i jak mało który, wprowadza nas w festiwal złożoności relacji z rodzicem, który starzeje się i dziwaczeje. Którego łatwo odrzucić i wyśmiać. Nie da się „Cudownego życia" nie odczytać jako manifestu rodzicielstwa. Urzędniczo wypreparowany aparat państwa, które jako bezwzględny arbiter może wkroczyć do domu i odebrać rodzicom dziecko, bo wychowywane jest inaczej, niż wskazywałaby na to norma, to absurd. Opieka społeczne chce zabrać Esther syna. Powód? Dziecko nie chodzi do szkoły i nie jest leczone konwencjonalnie. Matka w kilku najprostszych pytaniach świata, skierowanych do urzędniczki, obnaża głupotę schematów, w które państwo chce włożyć Rolanda. Jej energia i fantazja sprawiają, że przedstawione w filmie nawet najbardziej dramatyczne sceny rodzinne mają w sobie czar i ciepło, które emanują od kobiety.

W hołdzie dla matki

Roland, ten prawdziwy, nie filmowy, spisał swoje perypetie w formie książki. Był w stanie to zrobić dopiero po śmierci Esther. „Przed śmiercią mojej matki Esther nigdy nie opowiadałem o mojej niepełnosprawności. Nikt nawet nie podejrzewał u mnie tej wady wrodzonej. Jedyne, co jest widoczne dzisiaj, to to, że jedna noga jest chudsza, a jedna stopa mniejsza od drugiej. Kiedy moja matka zmarła, chciałem opowiedzieć tę historię w hołdzie dla niej oraz dla wszystkich matek, które walczą o swoje dzieci. Chciałem dać im siłę i nadzieję, nie zapominając o niesamowitym poczuciu humoru, które cechowało moją matkę".

W filmie widzimy, jak Esther modli się o cud dla swojego syna. W tym celu stworzyła ołtarzyk, umieściła na nim wizerunki różnych świętych i dziesiątki świec. Narażając rodzinę na pożar (przed czym ostrzegał ją mąż), nie rezygnowała z religijnych rytuałów. Szła potem do pokoju syna i odkrywała kołdrę z nadzieją, że stopa dziecka jest już zdrowa. Cud się jednak nie wydarzył, ale tylko ten cud w rozumieniu Esther. Widz bowiem, choć przez łzy, to jednak wyraźnie widział inny cud. Cud wielkiej jak ocean matczynej miłości. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

ZACISZE MELOMANA

★★★★★★

OD RAPU DO KABARETU

Quebonafide, PÓŁNOC/POŁUDNIE
Magnetowid

Czego ma dosyć i czego obawia się popularny raper Quebonafide – o tym dość obszernie na najnowszym albumie „Północ Południe", który właśnie trafił na platformy streamingowe, a już wkrótce pojawi się także na nośnikach fizycznych. Artysta najwyraźniej ma dosyć również rapu, gdyż najnowsze wydawnictwo należy do najbardziej rozśpiewanych w jego dotychczasowej dyskografii. W tym muzycznym kolażu popu, jazzu, a nawet piosenki kabaretowej towarzyszą mu znane gwiazdy estrady, m.in. raper Mata, duet Etnobotanika, saksofonista Kuba Więcek, a także kontratenor Jakub Józef Orliński. Najnowszym albumem i spektakularnym koncertem na Stadionie Narodowym raper zapowiada koniec muzycznej kariery.

★★★★★★

WYCZUCIE CHWILI NIE WYSTARCZY

The Swell Season, FORWARD
Masterkey Sounds Plateau Records

Być może wakacyjna cisza to nie tylko dobry moment na efektowny finał kariery (jak w wypadku Quebonafide), ale także szansa na powrót na listy przebojów. Zespół The Swell Season – popularny niegdyś duet irlandzkiego gitarzysty Glena Hansarda i czeskiej pianistki Markéty Irglovej – znany był przede wszystkim z udanej ścieżki muzycznej do filmu „Once", wyróżnionej nie tylko nagrodą Oscara, ale także nominacją do Grammy. Po 16 latach przerwy artyści wznowili współpracę nowym albumem „Forward". Wyczucie chwili to jednak za mało, gdy brakuje dobrych pomysłów. W tym krótkim, monotonnym repertuarze próżno bowiem szukać iskry, która znów rozpaliłaby serca słuchaczy.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { HISTORIA }

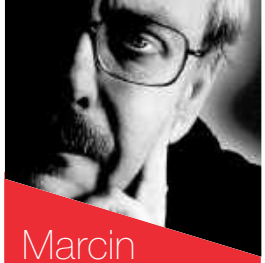

Marcin **Wolski** poleca

★★★★★★

Korona, jabłko, berło...

„Monarchia polska"
Grzegorz Kucharczyk
Biały Kruk, Kraków 2025

„Monarchia Polska" Grzegorza Kucharczyka nie jest wbrew pozorom skróconym kursem historii Polski. Bardziej niż o wydarzeniach mówi o imponderabiliach, które przez tysiąc lat uosabiały państwo polskie – król, korona, monarchia, sztandar... Mało kto zdaje sobie sprawę, że pojęcie narodu jest bardzo późne, XIX-wieczne. Wcześniej oznaczało ono najwyżej „naród szlachecki" – 10 proc. mieszkańców Rzeczypospolitej Obojga Narodów, świadomych swych praw i obowiązków. Wieki całe szło się w bój i umierało za króla, wiarę, swoich bliskich. Gdy zabrakło elementu siły i organizacji, państwo zostało rozdrapane przez sąsiadów. Kucharczyk wskazuje, który z nich jest najbardziej odpowiedzialny. Rosja, mimo wszystko, podchodziła do nas z pewną nieśmiałością, po III zaborze zatrzymała się na granicy etnicznej dawnej Rusi, a w 1945 roku Stalin poniechał myśli o inkorporacji. Natomiast Niemcy od tysiąca lat zdają się nie przyjmować do wiadomości istnienia państwa polskiego. I niczego nie zmienia fakt, że nasza granica zachodnia (mimo że absolutnie nienaturalna) była przez blisko pół tysiąca lat najspokojniejszą z granic, dla Niemiec państwowość polska była czymś nienawistnym. Dowodzą tego zabiegi, by za wszelką cenę zapobiegać koronacjom polskich królów. Niejako symbolicznym gestem, na który czekano chyba od wybryku lekkomyślnego Ottona III, był po zajęciu w roku 1795 Krakowa rabunek polskich regaliów – korony, jabłka, berła – następnie przetopionych na monety. Można jedynie się pocieszać, że w dziejowym zamęcie ocalał Szczerbiec, nasz miecz-symbol. I gdy Polska zmartwychwstała, bardzo się przydał. **GP**

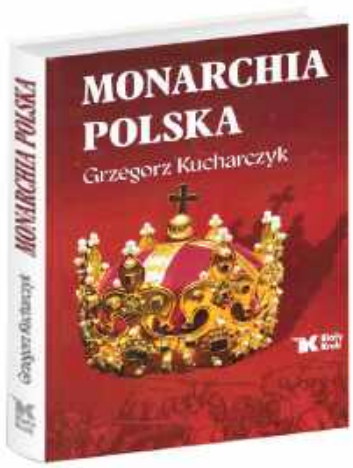

Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | tel. 722 111 655, 887 885 577

MIX Kulturalny

wypatruj

„THE OFFICE"

Fani komediowego serialu „The Office" nerwowo wyczekują kontynuacji produkcji. Jak donosi Deadline, powrót do „Biura" trafi na streaming 4 września. Niestety, serial ukaże się w USA ekskluzywnie na platformie Peacock.

ceń

POLSKICH PISARZY

„Rachunek sumienia" Krzysztofa Masłonia to sylwetki dwudziestowiecznych pisarzy i podróż przez polską literaturę XX wieku. Autor nie zapomina o twórcach niszowych. Książka na sklep.gazetapolska.pl i pod nr 722-111-655.

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Sny o piekle i zniszczeniu

„Sandman", sezon 2

Fantasy / Dramat, reż. Allan Heinberg

USA 2025

Łukasz **Czarnecki**

Na Netflixie dostępny jest już drugi sezon serialowej adaptacji kultowego komiksu „Sandman" Neila Gaimana. Na wyczekiwanej od trzech lat premierze kładą się jednak cieniem oskarżenia o poważne przestępstwa seksualne, jakie ciążą na autorze oryginału.

Neflix udostępnił na tę chwilę pierwszą połowę sezonu, druga pojawi się 24 lipca. Sześć odcinków stanowi adaptację dwóch albumów: „Pora mgieł" i „Ulotne życia".

Ponownie przenosimy się do Śnienia, by spotkać się ze Snem z Nieskończonych (w tej roli Tom Sturridge, umiejętność modulacji głosu aktora nadaje jego postaci nieludzki wymiar). W pierwszym akcie udaje się on do Piekła, by uwolnić od wiecznych mąk (na które sam ją skazał) swoją ukochaną sprzed 10 tys. lat, królową pierwszych ludzi Nadę (Umulisa Gahiga). Spotkanie z Lucyferem (Gwendoline Christie, której nietypowa uroda sprawia, że świetnie sprawdza się w roli bezpłciowego upadłego anioła) kończy się w sposób nieprzewidziany – Szatan porzuca Piekło, zostawiając w rękach nieproszonego gościa klucz do jego bram. Wkrótce do wrót Śnienia zaczynają dobijać się dawno zapomniani bogowie, istoty z mitów i demony pożądające władzy nad Piekłem.

Drugi akt koncentruje się na podróży Snu, który wraz ze stanowiącą ucieleśnienie obłędu siostrą Maligną (chwytająca za serce Esme Creed-Miles) rusza na poszukiwanie ich dawno zaginionego brata Zniszczenia (Barry Sloane). Ślad rodzeństwa znaczy totalny chaos, a Sen czeka spotkanie z niewidzianym od tysiącleci synem – Orfeuszem (Ruairi O'Connor).

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, drugi sezon „Sandmana" okazuje się jeszcze bardziej wciągający od pierwszego. Cóż, w Krainie Snów wszystko jest możliwe…. **GP**

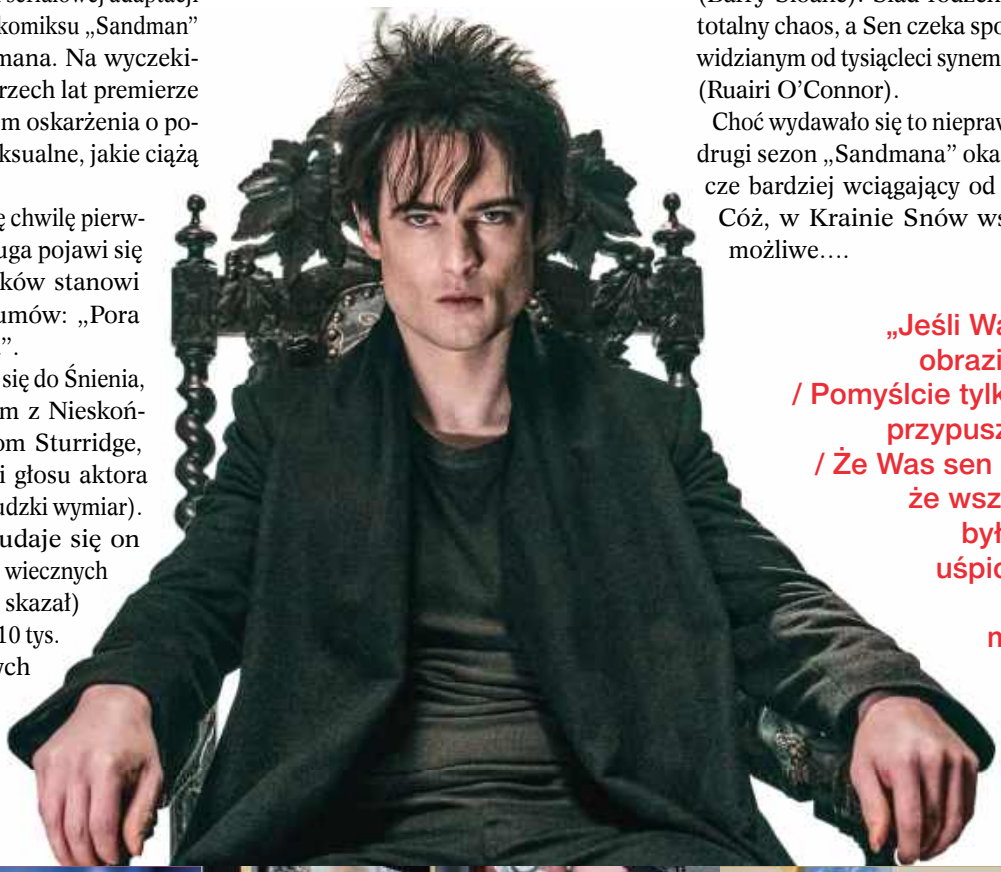

FOT. MAT. PRAS., MNP

„Jeśli Was nasze obraziły cienie / Pomyślcie tylko (łatwe przypuszczenie), / Że Was sen zmorzył, że wszystko co było / Tylko uśpionym we śnie się marzyło".

pogratuluj

CHEŁMOŃSKIEMU

120 tys. gości odwiedziło wystawę „Józef Chełmoński 1849–1914" w Muzeum Narodowym w Poznaniu. To najwyższa frekwencja ostatnich lat w tej instytucji. Dotychczas hitowe ekspozycje cieszyły się zainteresowaniem około 50 tys. osób.

znaj

STREET ART

Największy przegląd sztuki miejskiej w Polsce – Urban Art Area – zobaczyć można w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Do 3 sierpnia można oglądać twórczość m.in. Grupy Twożywo, NeSpoon, Cekas, SEPE i Fruit of the Lump.

wiedz, co robić

GDY BÓG MILCZY

„Odpowiedzią zawsze jest miłość" kardynała Grzegorza Rysia to poradnik o tym, jak odczytać własną drogę w życiu. Kardynał radzi, co robić, gdy Bóg milczy. Książka na sklep.gazetapolska.pl i pod nr tel. 722-111-655.

eprasa.pl 7fc163a04b

Jacek
Liziniewicz
aleola.com/JacekLiziniewicz

OWOC I WARZYWO

Bez nich nie ma lata

CIEKAWOSTKI O POMIDORACH

Współcześnie przyzwyczailiśmy się do powszechnej obecności pomidorów. Tymczasem Europejczycy zaczęli ufać im dosyć późno. Oto kilka ciekawostek o pomidorach.

Z MEZOAMERYKI

Pomidory pochodzą z Ameryki Południowej, a konkretnie z regionu Andów. Uprawiano je tam już w czasach prekolumbijskich. Najprawdopodobniej tamtejsze odmiany bardziej przypominały dzisiejsze pomidorki koktajlowe.

W MIĘDZYWOJNIU

Teoretycznie pomidory dotarły na teren Polski już w XIX wieku, ale jednak nie stały się natychmiast produktem pierwszej potrzeby. Dopiero w międzywojniu zdobyły popularność w kuchni.

eprasa.pl 7fc163a04b

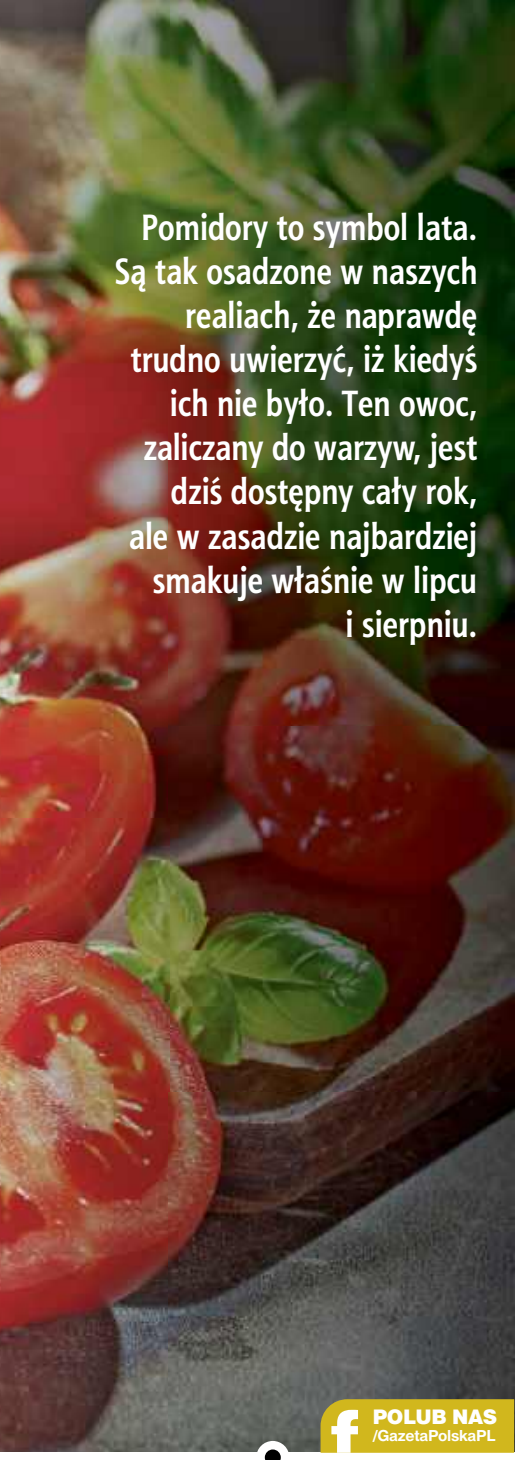

Pomidory to symbol lata. Są tak osadzone w naszych realiach, że naprawdę trudno uwierzyć, iż kiedyś ich nie było. Ten owoc, zaliczany do warzyw, jest dziś dostępny cały rok, ale w zasadzie najbardziej smakuje właśnie w lipcu i sierpniu.

FOT. ADOBESTOCK/FACEBOOK/TWITTER

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

Zanim socjologowie i politolodzy wymyślili termin „globalizacja", niektóre rośliny zdołały zdominować świat. Nie jako marka, ale jako zaspokojenie potrzeb człowieka. Największą ogólnoświatową wymianę mieliśmy po tym, gdy Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę. Trwająca od XVI wieku giełda kolumbijska sprawiła, iż gatunki wymieszały się tak, że dziś trudno przypomnieć sobie, jaki jest ich prawdziwy rodowód. Bo czy ktoś jeszcze pamięta, że trzcina cukrowa nie rosła w Ameryce? Albo że słonecznik w Europie pojawił się dopiero w ramach importu zza oceanu? Gdyby nie wyprawa Kolumba, nie znalibyśmy również ziemniaków i tytoniu.

Pomidory to jeden z symboli Włoch i Neapolu, a legenda głosi, że pierwsze nasiona były darem królestwa Peru dla Królestwa Neapolu w 1770 roku.

Jak je oceniać?

Podobnie jest z pomidorami. To warzywo, które kojarzy się jednoznacznie z kuchnią włoską. Sos pomidorowy jest przecież podstawą przede wszystkim potraw ze słonecznej Italii, w tym pizzy i makaronu. Nikt również nie potrafi tak opowiadać o pomidorach jak kucharze zajmujący się tą kuchnią. Niedawno wpadła mi w ręce książka Dana Richera prowadzącego znaną pizzerię w Nowym Jorku. Chyba dopiero wtedy zrozumiałem, że pomidory można oceniać pod wieloma względami. Oczywiście od zawsze wiedziałem, że pomidory w lipcu mają inny smak niż te importowane w zimie. Te zimowe są praktycznie bez zapachu. Smak jest wodnisty i wymaga soli. Taka wiedza to jednak nic. Arkusz oceny pomidora stworzony przez szefa kuchni pizzerii „Razza" składa się z oceny 40 kryteriów pomidorów. Dotyczy to – co prawda – pomidorów w puszce, ale i tak jest to imponujący dokument. Kilka razy do roku kucharz ten kupuje wszystkie dostępne na rynku produkty i dokonuje ich oceny, ponieważ nawet poszczególne marki potrafią się różnić. „Wszystko wydaje się proste – niestety klimat, pora roku, gleba, odmiana, metody zbioru i proces konserwowania stanowią zmienne, które mają znaczący wpływ na wszystkie cechy pomidora, a tym samym sosu" – pisze Dan Richer. Są więc na świecie ludzie, dla których sprawa pomidorów jest skomplikowana.

10 tys. odmian

Jeżeli zaczniecie w ten sposób patrzeć, to szybko dojdziecie do wniosku, że w zasadzie na rynku mamy wiele gatunków tego produktu. Ile? Szacuje się, że może być ich nawet 10 tys. Różnią

NAJWIĘKSZY

W światowej księdze rekordów Guinnessa znalazł się owoc pomidora, który ważył 5,284 kg. Został wyhodowany przez Del i Julie Faust. Wszystko wydarzyło się w Stillwater w stanie Minnesota w USA.

NIEUFNI WŁOSI

Pomidory dotarły do Włoch w XVI wieku, ale przez niemal 200 lat były uznawane jedynie za rośliny ozdobne. Sugerowano nawet, że owoce te mogą być trujące. Wszystko zmieniło się w XVIII wieku i dziś nie ma Włoch bez pomidorów.

KOSMICZNY EKSPERYMENT

W 1984 roku nasiona pomidorów trafiły w kosmos. Gdy wróciły na ziemię, zostały wysiane i wyrosły z nich normalne rośliny. Pomidory uprawia się na międzynarodowej stacji kosmicznej i przygotowywane są do misji na Marsa.

eprasa.pl 7fc163a04b

się kolorem, kształtem i oczywiście smakiem. Na targu, gdzie robię zakupy, już można znaleźć kilkanaście odmian. Dosyć wcześnie pojawiają się żółte, które cechuje słodki smak. Równolegle z nimi dostępne są malinowe i gargamele. Te drugie są mięsiste, ale za to popękane. Dopiero jako kolejne pojawiają się pomidory z gruntu. Mają grubszą skórkę i każdy z nich jest inny. Nie jest to dziwne, bo przez selektywną hodowlę uzyskuje się różne odmiany, które mają się przydawać do różnych rzeczy. Część ma grubą skórę, by lepiej znosić transport. Część idzie w miąższ, stawiając na smak. Faktycznie jednak żaden pomidor kupiony na targu nie dorównuje tym, które rodzice czy wujek uprawiają w ogródku. Kwestia chemii czy czasu? Trudno mi powiedzieć. Ale to po prostu fakt, który ze zdziwieniem co roku odnotowuję.

San Marzano

Największą chlubą Włoch jeśli chodzi o pomidory jest San Marzano. Znajdziecie je we wszystkich pomidorach w puszce. Mówi się, że to najważniejszy przemysłowy pomidor na świecie w XX wieku. Idealnie bowiem nadaje się do konserwowania. To gatunek, który jest obowiązkowym składnikiem pizzy neapolitańskiej. Ponoć najsmaczniejsze z nich rosną na stokach Wezuwiusza na glebie wulkanicznej. Nie powiem Państwu, czy to prawda. Zimą jednak można kupić tę odmianę w supermarketach. Dobre, ale jednak daleko im do wujkowych. W każdym razie to jeden z symboli Włoch i Neapolu, a legenda głosi, że pierwsze nasiona były darem królestwa Peru dla Królestwa Neapolu w 1770 roku. No właśnie warto wspomnieć o tym, że bynajmniej miłość Włochów do pomidorów nie była od pierwszego wejrzenia. Długo uważano, że są one trujące. Był to pogląd dość po-

DOBRE, BO POLSKIE

Nie jesteśmy istotnym graczem na tym rynku. Ale od 1961 roku produkcja pomidorów w Polsce zwiększyła się 3,5 razy i wynosi 883 tys. ton.

SAN MARZANO

To najpopularniejszy gatunek włoskich pomidorów. Kupicie je w puszce w supermarkecie. Dlatego też naukowcy, którzy wyhodowali kosmicznego pomidora, nawiązali do tej nazwy, dodając literkę „i".

ŚWIATOWA PRODUKCJA

Na świecie produkuje się dziś około 190 mln ton pomidorów. Najwięcej, bo 37 proc. (ponad 70 mln ton), produkują Chiny. Na drugim miejscu znajdują się Indie (około 20 mln), a na trzecim Turcja (ponad 13 mln ton).

OLBRZYMI AREAŁ

Popyt na pomidory jest tak duży, że pod plantacje przeznaczono na świecie około 5 mln ha terenów. Ostatnio jednak plantatorzy zauważają spadek zapotrzebowania na pomidory, co odbija się niższymi cenami.

eprasa.pl 7fc163a04b

wszechny w Europie. Rośliny więc sadzono w celach ozdobnych. Uczciwie jednak trzeba przyznać, że również mówimy o innych gatunkach pomidorów, które dziś można porównać do tych koktajlowych. Minęło więc kilkaset lat, zanim przekonano się do tych warzyw.

Zupa pomidorowa

W Polsce zajęło to więcej czasu. Nawet jeszcze Wojski w „Panu Tadeuszu" nie miał pomidorów w swoim ogródku. Najprawdopodobniej więc w naszym kraju pojawiły się dopiero pod koniec XIX wieku. Niektórzy mówią, że uprawa upowszechniła się w okresie międzywojennym. Chociaż trudno w to uwierzyć, wychodziłoby na to, że zupa pomidorowa ma u nas dopiero 100 lat. To jeszcze nie koniec zaskoczeń. Okazuje się, że Europa i Mezoameryka nie są dzisiaj największymi producentami pomidorów. W zasadzie regiony te zostały daleko w tyle za Chinami (70 mln ton) i Indiami (20 mln ton). W Europie największym producentem jest Turcja (12 mln ton) i Włochy (6 mln ton). Polska nie jest istotnym graczem na rynku pomidorowym (przegrywamy m.in. z naszymi sąsiadami Rosją i Ukrainą), ale z roku na rok hodujemy ich więcej. Od 1961 roku produkcja zwiększyła się 3,5 razy i wynosi 883 tys. ton. Szacuje się, że na całym świecie znajduje się około 4,8 mln ha pól obsadzonych pomidorami. To mniej więcej połowa tego, co zajmują polskie lasy. Jednak w ostatnim czasie producenci narzekają na ceny. Pomidory stają się mniej popularne. Musi to być jednak zjawisko chwilowe. Ludzkość nie może zrezygnować z pomidorów. Jak można przeżyć bez nich lato? **GP**

ZARZĄDZANIE CZASEM

Technika pomodoro to metoda zarządzania czasem. Jej nazwa wzięła się od minutnika, którego używał twórca, a który miał kształt pomidora. Chodzi w niej o pracę w skupieniu przez 25 minut. Potem jest krótka przerwya.

DUŻO WODY

Surowy pomidor składa się w 95 proc. z wody, 4 proc. z węglowodanów i mniej niż 1 proc. z tłuszczu i białka. Średnio 100 gramów pomidora dostarcza 18 kalorii, ale za to świetnie uzupełniają witaminę C.

FOT. ADOBE STOCK, FACEBOOK, TWITTER

PRZYRODNICZY FLASH

NIEDŹWIEDZIE DO PRZENIESIENIA

Wiceminister środowiska Mikołaj Dorożała poinformował, że znalazł rozwiązanie dla problemu trzech niedźwiedzi w gminie Cisna. Przypomnijmy, że GDOŚ zgodził się na ich odstrzał. Sprawa oburzyła aktywistów, więc wiceminister klimatu zapowiedział, że chciałby przenieść zwierzęta do Tatrzańskiego Parku Narodowego. Pomysł wzbudza kontrowersje. Część naukowców twierdzi, że będzie to jedynie przeniesienie problemu w inny rejon kraju.

DRZEWO ROBINA HOODA

Film „Robin Hood: Książe złodziei" jest pamiętany za brawurową rolę Kevina Costnera, ale również Morgana Freemana. Jedną z ważnych scen jest ta, gdy Robin bije żołnierzy szeryfa w obronie młodego chłopca, który skrywa się w konarach drzew. Olbrzymi platan przeszedł do historii kina, ale w 2023 roku został... wycięty. Nie wiadomo, jakie były motywy sprawców. Podczas procesu sądowego tłumaczyli się, że byli pijani. Zostali skazani za niszczenie mienia na cztery lata więzienia.

eprasa.pl 7fc163a04b

Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

Kąpiel w Lourdes

U STÓP PIRENEJÓW

SERCE LOURDES

Bazylika Niepokalanego Poczęcia NMP, znana też jako Bazylika Górna, to najstarszy obiekt Sanktuarium Matki Bożej w Lourdes. Na dziedzińcu wszystkim chorym udzielane jest specjalne błogosławieństwo.

To był czwartek. 11 lutego 1858 roku. Godzina jedenasta. Chłodne przedpołudnie u podnóża francuskich Pirenejów. 14-letnia Bernadetta wraz z dwiema towarzyszkami rusza do pobliskiego lasu nazbierać nieco suchych gałęzi do palenia w piecu. I kości zwierząt, żeby mieć co sprzedawać na targu.

Chodźmy pod grotę – zaproponowała Jeanne Abadie, znana wszystkim jako Baloume. Tylko ona znała to miejsce.

Z ponurej wilgotnej celi, w której mieszkała rodzina Soubirous, do pobliskiej groty Massabielle nie było daleko. Sama Bernadetta nigdy jednak w tym miejscu nie była. Grota była owiana niedobrą sławą. Ponoć spotykała się tam potajemnie żona miejscowego aptekarza z pewnym żołnierzem. Także inni zakochani obierali to miejsce jako cel swoich schadzek. W wiadomym celu. Jedynym, który nie przejmował się słabą renomą tego miejsca, był gminny pastuch, który każdego dnia zapędzał tam pasione świnie.

Massabielska Grota nie była zatem miejscem, do którego chcieliby wypuszczać swoją najstarszą córkę państwo François i Louise Soubirous. Tego dnia jednak stało się inaczej. W pamiętny lutowy czwartek niepiśmienna Bernadetta rusza w poszukiwaniu chrustu i kości zwierząt, aby pomóc rodzinie, której nie wiodło się najlepiej. Nie tak dawno widziano, jak jej młodszy brat, głodny, ukradkiem podjadał wosk z kościelnych świec. Po drodze pewna kobieta myjąca w rzece flaki wskazała dziewczynkom miejsce, gdzie niedawno widziano sterty chrustu. Żeby się tam dostać, trzeba było jednak przejść przez rzekę. Dla młodszych Antoniny i Baloume nie był to żaden problem, dla chorej na astmę i wiecznie przeziębionej Bernadetki już tak. Podczas gdy pierwsze dwie dziewczynki są już po drugiej stronie rzeki, Bernadetta dopiero starannie zdejmuje jedyną pończochę, aby jej nie umoczyć. I właśnie zobaczyła Ją.

Najpierw uwagę 14-latki zwraca kołyszący się krzak dzikiej róży. Jakby ktoś dopiero co nim poruszył. Po chwili zaś z głębi groty nad roślinę wypływa niewielki obłok. Za nim Bernadetka widzi w powietrzu tajemniczą postać. Kobietę. Piękną, zjawiskową. Odzianą w białą szatę z równie białym welonem. Pas przewiązany jest niebieską szarfą. Na drobnych bucikach Bernadetka dostrzega pozłacane żółte róże. Ten kolor jest niemal identyczny jak kolor różańca, który Pani ma zawieszony na ramieniu. Dziewczynka pada na kolana i modli się na różańcu. Tak jak ją nauczyli rodzice. Kobieta, która wygląda na jej równolatkę, towarzyszy jej w tej modlitwie, przesuwając palcami po paciorkach swojego różańca. Nie porusza jednak ustami. Taki będzie początek niezwykłych objawień Matki Bożej w Lourdes. Maryja ukaże się Bernadetce jeszcze siedemnaście razy. Będzie wzywać do pokuty i nawrócenia. Poprosi o wybudowanie w tym miejscu kaplicy i przychodzenie do niej na procesje ze świecami. Zdradzi swoje imię jako „Niepokalane Poczęcie". By wreszcie jako świadectwo dla niedowiarków – uzdrowić wielu chorych i cierpiących, którzy zanurzyli się w cudownie tu wytryśniętym źródełku. Bije tu ono do dziś.

Pierwszą z uzdrowionych będzie 38-letnia Catherine, matka czwórki dzieci. Kobieta ze sparaliżowanym łokciem. Ciężarna, przyjdzie do świeżo wytryśniętego źródła, by zanurzyć w nim rękę. Do uzdrowienia dochodzi natychmiast. Podobnie krótko na efekty cudownego obmycia czekał miejscowy kamieniarz Louis. 20 lat temu wraz z bratem byli świadkami detonacji w kopalni. Brat zginął, Louis stracił wzrok w prawym oku. Odzyskał go właśnie tutaj, pod Massabielską Grotą. W marcu 1858 roku, kiedy nadal trwały tu objawienia.

Dziś udokumentowanych przez lekarzy uzdrowień mamy w Lourdes już ponad 7 tysięcy. A mówimy jedynie o uzdrowieniach zgłoszonych przez wiernych. Faktyczna liczba uzdrowionych może być znacznie wyższa.

Obok groty widać niewielki budynek. Przed nim długie drewniane ławki. Na nich siedzący mężczyźni i kobiety. Przyjechali z różnych stron świata. Niektórzy wydają się podekscytowani tym, co nastąpi za chwilę. Część oczekuje swojej kolejności w ciszy. Czarnoskóry mężczyzna siedzący samotnie na końcu odmawia różaniec. Przed nim czteroosobowa rodzina. Jeszcze nie wiedzą, że będą się musieli rozdzielić.

eprasa.pl 7fc163a04b

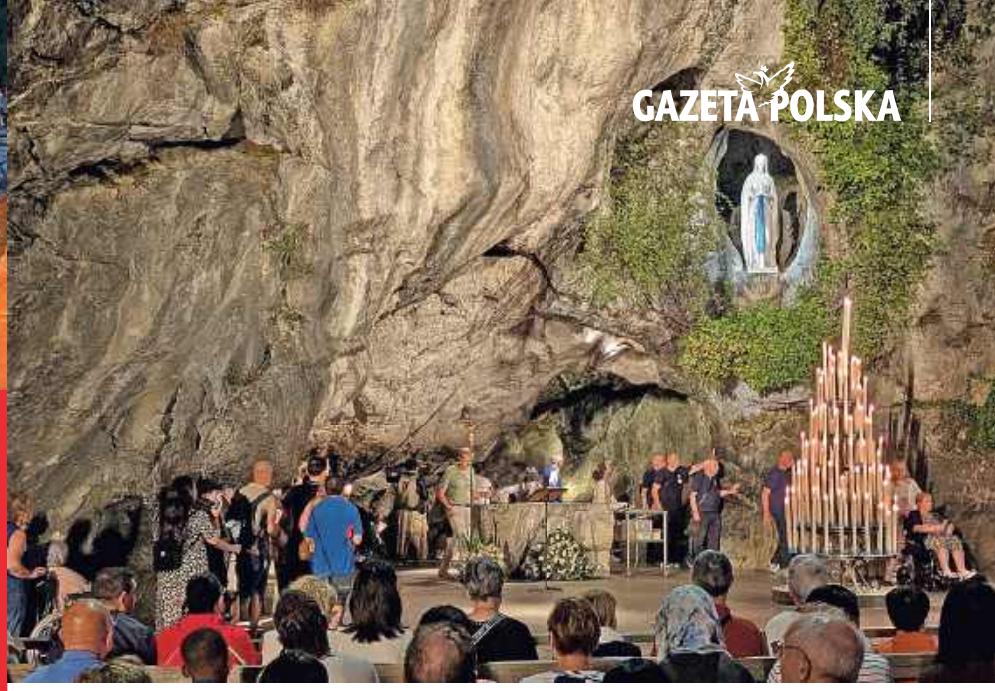

Grota Objawień – to właśnie tu Bernadetta na skale dostrzegła Matkę Bożą, która ukazała się po raz pierwszy.

LOURDES W SKRÓCIE

FIGURA Przepiękną białą figurę Niepokalanej, stojącą dziś w Grocie Objawień, wyrzeźbił artysta Józef Fabisch, z pochodzenia Polak. Rzeźbiarz wykonał ją według wskazówek samej św. Bernadetty. Odsłonięcie figury w Massabielskiej Grocie nastąpiło już 6 lat po objawieniach, 4 kwietnia 1864 roku. W uroczystości brało udział prawie 200 tys. wiernych. Samej Bernadetcie figura nie przypadła do gustu. Dziewczynka twierdziła, że „Maryja była znacznie piękniejsza".

UŚMIECHNIĘTA W odróżnieniu od Maryjnych objawień choćby w La Salette czy Fatimie, Matka Boża często uśmiechała się do Bernadetty. Na próbę spłoszenia Jej wodą święconą wybuchła nawet śmiechem. Podobnie na prośbę złożenia przez Nią podpisu na tabliczce z atramentem.

BERNADETTA Po objawieniach Bernadetta wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Miłości i Nauczania Chrześcijańskiego. Nigdy więcej nie wróciła do Lourdes. Na pytanie, czy by chciała, odpowiedziała, że „tylko jako niewidoczny przez nikogo ptaszek". Tak, aby nie odwracać uwagi ludzi od Maryi. Po śmierci ciało Bernadetty nie uległo rozkładowi.

KANONIZACJA Jej wyniesieniu na ołtarze towarzyszyła rekordowa liczba kościelnych dostojników: 18 kardynałów i 85 arcybiskupów oraz biskupów. Żadna wcześniejsza kanonizacja nie zgromadziła tylu duchownych.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

Mama pójdzie do części damskiej. Tata z dwoma synkami zostanie. Ale i tak ma szczęście. Dzięki tej dwójce gagatków ma zagwarantowane wcześniejsze wejście do kąpieli. Pracujący przy sanktuarium wolontariusze przepuszczają bowiem rodziców z dziećmi bez kolejki. To spore udogodnienie. Normalne oczekiwanie może się przedłużyć nawet do kilku godzin. Chętnych jest sporo. W lipcu tego roku czekałem na swoją kąpiel 2,5 godziny.

Po odczekaniu przybysze będą mogli zanurzyć się w niszy z cudowną wodą. Tą samą, której lokalizację wskazała sama Maryja, a której początek dała mrówcza praca posłusznej Bernadetki. To chyba jedyne takie miejsce na świecie. Pewnie dlatego tak bardzo oblegane.

Do Lourdes przybywa dziś rocznie nawet 9 milionów ludzi. Idą w pierwszej kolejności na główny Plac Różańcowy pod przepiękną Bazylikę Niepokalanego Poczęcia. Odwiedzają także usytuowane niżej Bazylikę Różańcową oraz Bazylikę św. Piusa X, by następnie przejść wzdłuż rzeki Gave, nieraz potężnie wezbranej, do samej groty. Gdy nie ma akurat żadnego nabożeństwa, można wejść do środka. Dotknąć wciąż ociekających wodą skał. Przyjrzeć się dokładnie miejscu w głębi groty, po lewej stronie, gdzie Bernadetta odkrywała cudowne źródełko.

Tutaj, w południowo-zachodnim skrawku Francji, ludzie naprawdę widzą cuda. Każdego dnia. Przeszło 160 lat po słynnych lutowych wydarzeniach nadal przychodzą pod niezwykłą grotę. Już nie po chrust, jak kiedyś święta Bernadetka. Raczej po krzesiwo. Aby rozpalić swą wiarę. Często się to udaje… **GP**

Zwyczaj zapalania świec w grocie narodził się podczas czwartego objawienia, 19 lutego 1858 roku, kiedy Bernadetta za namową ciotki przyniosła ze sobą świecę i trzymała ją zapaloną.

Obok Groty Objawień znajdują się Fontanny, gdzie można napić się cudownej wody.

eprasa.pl 7fc163a04b

Leszek
Galarowicz
albicla.com/Leszek Galarowicz

JAN URBAN – WŁAŚCIWY TRENER NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Przez ostatnie tygodnie każdego ranka medialne nagłówki donosiły, że selekcjoner kadry został wybrany, po czym jeszcze tego samego dnia dowiadywaliśmy się, że wciąż pozostało dwóch kandydatów. Po ponad miesiącu poszukiwań i medialnych zwrotów akcji telenowela pt. „Wybór nowego selekcjonera" została zakończona. Na czwartkowej konferencji przedstawiony został nowy trener i jego sztab. Jan Urban to były wybitny piłkarz, wielokrotny reprezentant kraju, trener z doświadczeniem w pracy w Polsce i za granicą, człowiek, który umie zadbać o dobre relacje z piłkarzami.

NOWY SELEKCJONER POLSKIEJ KADRY

Przeszło miesiąca Cezary Kulesza potrzebował na dopięcie sprawy wyboru nowego selekcjonera polskiej kadry. Od 12 czerwca, kiedy z tej funkcji zrezygnował Michał Probierz, rozpoczął się serial z Cezarym Kuleszą w roli głównej. Najpierw media obiegły mniej lub bardziej realne, a czasami egzotyczne kandydatury potencjalnych szkoleniowców. Napięcie rosło. W pewnym momencie ukształtowała się czołówka złożona wyłącznie z polskich nazwisk. Wreszcie na placu boju pozostali dwaj rywale: Adam Nawałka (lub według innych mediów Jerzy Brzęczek) i Jan Urban. W końcu wybór został dokonany, a selekcjonerem został były trener Górnika Zabrze.

Ulubieniec hiszpańskich kibiców

Postawienie na Jana Urbana wydaje się jedną z najbardziej racjonalnych i przemyślanych decyzji Cezarego Kuleszy dotyczących wyboru selekcjonera kadry. O ile do kandydatur Michała Probierza, Czesława Michniewicza czy zagranicznych trenerów można było mieć różne wątpliwości, o tyle ostatnia decyzja prezesa PZPN-u wydaje się sensowna i w pełni uzasadniona. Cezary Kulesza, podobnie jak nowy selekcjoner, może zatem liczyć na przychylność mediów. Zdecydowana większość jest zadowolona z wyboru byłego trenera Górnika Zabrze. 63-letni szkoleniowiec to gwiazda polskiej piłki lat 80. i 90. Największe sukcesy osiągnął w Górniku Zabrze, z którym trzykrotnie sięgnął po mistrzostwo Polski. Po przygodzie w Zabrzu wyjechał do Hiszpanii, gdzie trafił do Osasuny Pampeluna. Tam stał się ulubieńcem miejscowych kibiców. Potem grał jeszcze w Realu Valladolid i Toledo. Piłkarską karierę zakończył w Górniku. W kadrze narodowej wystąpił 57 razy, ale nie osiągnął z nią sukcesów. Po zakończeniu piłkarskiej kariery Urban wziął się za szkolenie. Zaczął w Pampelunie, gdzie

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 7fc163a04b

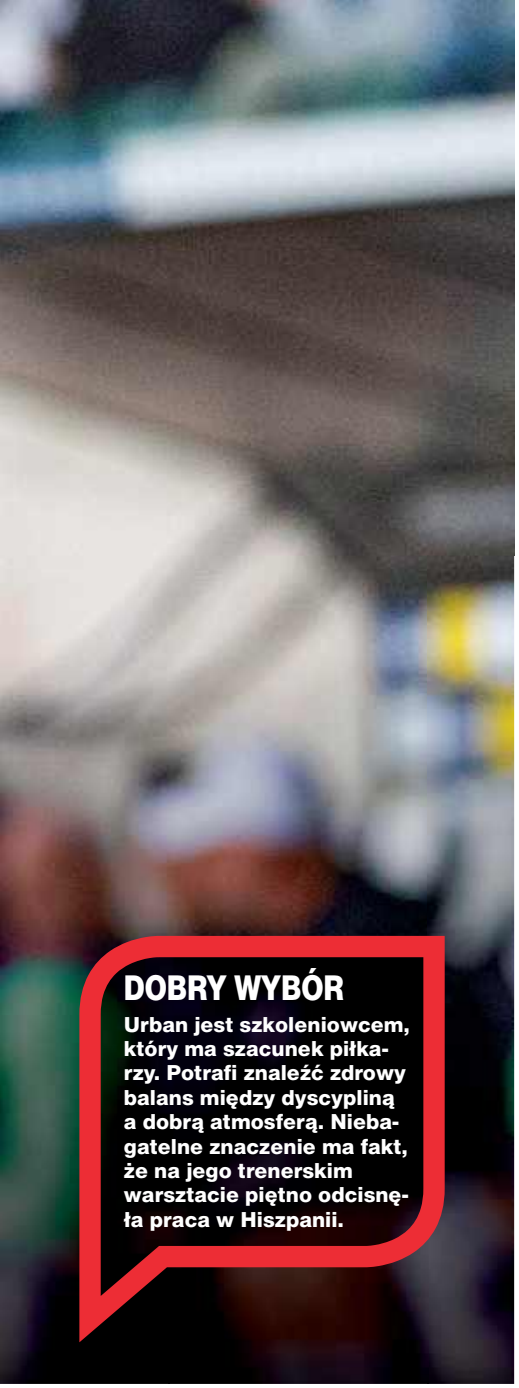

DOBRY WYBÓR

Urban jest szkoleniowcem, który ma szacunek piłkarzy. Potrafi znaleźć zdrowy balans między dyscypliną a dobrą atmosferą. Niebagatelne znaczenie ma fakt, że na jego trenerskim warsztacie piętno odcisnęła praca w Hiszpanii.

prowadził tamtejszych juniorów i rezerwy Osasuny. Największe sukcesy osiągnął w Legii Warszawa, w której pracował dwukrotnie. Z ekipą ze stolicy zdobył mistrzostwo Polski, puchar i superpuchar. Potem ze zmiennym szczęściem prowadził inne ekstraklasowe drużyny. Ostatnią był Górnik Zabrze, którego doprowadził do szóstego miejsca, by niespodziewanie opuścić ekipę.

Trener, który ma szacunek piłkarzy

Dawno nie było selekcjonera Biało-Czerwonych, który miałby tak duży medialny kredyt zaufania, żaden nie wydawał się wyborem tak oczywistym jak 63-latek. Szkoleniowca chwalą byli reprezentanci kraju, trenerzy, piłkarscy eksperci. „To człowiek, który jest mentorem dla zawodników. Potrafi doskonale »łączyć« młodzież z doświadczonymi zawodnikami. Tak działo się w Legii i uważam, że w tym momencie jest to bardzo ważne dla reprezentacji Polski. Ma boiskowe doświadczenie, autorytet, ale przede wszystkim liczy się to, jakim jest człowiekiem. (…) Trener potrafi rozmawiać o piłce, jest bardzo inteligentnym człowiekiem, także jeśli chodzi o taktykę. Doskonale potrafi rozpracować każdego przeciwnika, a to zawsze najbardziej imponuje zespołowi. Jest człowiekiem dialogu, potrafi chyba dotrzeć do każdego. Grał w piłkę na najwyższym poziomie i wie, co czują zawodnicy w danym momencie” – wylicza mocne punkty jego warsztatu trenerskiego podopieczny z warszawskiej Legii Marek Saganowski. O jego klasie w relacjach międzyludzkich i umiejętności „zarządzania szatnią” wypowiadają się też inni zawodnicy, którzy pamiętają go z czasów, gdy był trenerem Legii. Urban jest szkoleniowcem, który ma szacunek piłkarzy. Potrafi znaleźć zdrowy balans między dyscypliną a dobrą atmosferą. Niebagatelne znaczenie ma fakt, że na jego trenerskim warsztacie piętno odcisnęła praca w Hiszpanii.

Nowego szkoleniowca kadry chwalą byli reprezentanci kraju, trenerzy, piłkarscy eksperci.

Największe wyzwania nowego selekcjonera

Nowy selekcjoner kadry narodowej został przedstawiony podczas specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej. Obie strony nie chciały zdradzić długości kontraktu. Asystentem pierwszego selekcjonera został Jacek Magiera. Członkami sztabu będą m.in. Józef Młynarczyk, Marcin Prasoł i Grzegorz Staszewski. Dyrektorem sportowym został Adrian Mierzejewski. Jan Urban obejmuje reprezentację w trudnym momencie, choć można by to samo powiedzieć o kilku jego poprzednikach. Michał Probierz musiał ratować eliminacje popsute przez Santosa, Czesław Michniewicz ratował start Polaków na mundialu. Paulo Sousa od razu został rzucony na głęboką wodę turnieju mistrzowskiego. Jan Urban ma niemało wyzwań. Nie należy się spodziewać kadrowej rewolucji, choć Urban jest otwarty na nowe powołania. Jednym z priorytetów jego misji jest ratowanie eliminacji do mistrzostw świata. Do tego potrzeba zbudowania szkieletu reprezentacji, uporządkowania spraw personalnych, stabilizacji w poszczególnych formacjach i spokoju. Równie ważne jest odbudowanie dobrej atmosfery wokół reprezentacji, choć jak słusznie zauważył selekcjoner, „atmosferę najlepiej robi się pozytywnymi wynikami”. Jan Urban był pytany m.in. o sprawę opaski kapitańskiej. Dyplomatycznie stwierdził, że przed podjęciem decyzji musi porozmawiać z zawodnikami. A takie dyskusje to jeden z priorytetów na początku pracy z kadrą. „To najtrudniejsze wyzwanie w moim życiu. To, jak spisuje się reprezentacja, wzbudza emocje w całym kraju” – te słowa Jana Urbana najlepiej pokazują, że ma on świadomość, jak trudnego zadania się podjął. Bardzo prawdopodobne, że w tej misji pomoże mu Robert Lewandowski, który powróci do kadry. Pierwszy test nastąpi już na początku września w wyjazdowym pojedynku z Holandią, choć trudno liczyć na cud w meczu z tak wymagającym rywalem. Selekcjonera ocenia się nie po tym, jak zaczyna, ale po owocach, jednak dziś wybór dokonany przez prezesa PZPN-u daje nadzieję na to, że reprezentacja powróci na właściwe tory, zakończą się ciągłe eksperymenty, drużyna wreszcie będzie miała swój styl, poprawi się atmosfera i pojawią się wyniki na miarę realnych oczekiwań futbolowego środowiska. **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

Iwona
Balcerak
TEKST I ZDJĘCIA

Kulinarna duma Polski w kosmosie

Pierogi to kulinarna ikona Polski – symbol tradycji, gościnności i rodzinnych spotkań. Choć przywędrowały z daleka, dziś są sercem polskiej kuchni. A skoro dotarły nawet w kosmos, to chyba nie ma wątpliwości, że smakują nieziemsko!

PIEROGI Z BORÓWKAMI I MASCARPONE

Ciasto:

2 szklanki mąki
3/4 szklanki gorącej wody

Farsz:

400 g borówek amerykańskich
120 g serka mascarpone
2 łyżeczki cukru

Do podania:

słodka śmietanka
otarta skórka z limonki
listki mięty

Przesiej mąkę do miski. Zalej gorącą wodą i poczekaj, aż lekko przestygnie. Wyrób ciasto ręcznie na elastyczną, nieklejącą się masę. Jeśli będzie zbyt twarde – dodaj odrobinę wody, jeśli zbyt miękkie – dosyp trochę mąki. Zawiń gotowe ciasto w folię spożywczą i odłóż na 30 minut.

Opłucz borówki i dokładnie osącz. W miseczce wymieszaj delikatnie mascarpone z borówkami i cukrem.

Cienko rozwałkuj ciasto (najwygodniej użyć maszynki do makaronu). Wykrawaj kółka szklanką, na każde nakładaj małą porcję farszu i dokładnie zlep brzegi. Układaj pierogi na posypanej mąką powierzchni i przykryj ściereczką. Zagotuj osoloną wodę w dużym garnku (można dodać łyżkę oleju). Wkładaj pierogi porcjami do wrzątku. Gotuj kilka minut od momentu wypłynięcia. Wyjmuj łyżką cedzakową. Polej pierogi słodką śmietanką, posyp świeżymi borówkami, skórką z limonki i listkami mięty.

CZAS	**60 minut**
KOSZT	**25 zł**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**łatwe**
PORCJI	**4–6 (ok. 50 sztuk)**

CZY WIESZ, ŻE...

Najprawdopodobniej pierogi przywędrowały do Europy z Chin za sprawą kupców i podróżników przemierzających Jedwabny Szlak. Tam znane były jako jiaozi – pierożki z cienkiego ciasta wypełnione różnorodnym farszem.

Do Polski pierogi miały trafić już w XIII wieku dzięki Jackowi Odrowążowi – świętemu i dominikaninowi, który miał przywieźć przepis z podróży po Rusi. W średniowieczu przygotowywano je głównie na specjalne okazje – wesela, święta, pogrzeby czy dożynki. W zależności od okazji nadawano im różne nazwy, na przykład knysze, kurniki czy soczniki.

Podczas prywatnej misji kosmicznej Axiom Mission 4 (Ignis) polski astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski zabrał na Międzynarodową Stację Kosmiczną tradycyjne, liofilizowane pierogi z kapustą i grzybami, a także inne polskie potrawy, jak zupa pomidorowa i deser jabłkowy.

8 października w Polsce obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Pieroga, a w wielu miastach organizowane są festiwale pierogów – najsłynniejszy to Festiwal Pierogów w Krakowie.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl 7fc163a04b

HISTORYCZNA MISJA IGNIS ZAKOŃCZONA SUKCESEM

Jan **Przemyłski**
albicla.com/JanPrzemylski

POLSKI ASTRONAUTA PO BLISKO 20 DNIACH W KOSMOSIE WRÓCIŁ NA ZIEMIĘ

Misja Ignis dra Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej została wykonana w 100 procentach, a ponadto nasz rodak pomagał także w eksperymentach przygotowanych przez inne kraje. Po bezpiecznym powrocie na Ziemię polski astronauta musi przejść kompleksowe badania lekarskie i proces adaptacji do warunków ziemskich.

Przygotowania polskiej misji na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) trwały kilka lat i zostały zainicjowane przez rząd Zjednoczonej Prawicy, który najpierw podniósł naszą składkę do Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) o 295 mln euro na lata 2023–2025, a następnie we wrześniu 2023 roku podpisał porozumienie z ESA i firmą Axiom Space ws. zorganizowania lotu w kosmos naszego astronauty.

Zwieńczenie starań i długiego szkolenia nastąpiło 25 czerwca 2025 roku o godzinie 8:31 czasu polskiego, kiedy to z przylądka Canaveral wystartowała potężna rakieta Falcon 9 z kapsułą Crew Dragon na szczycie, w której znajdował się dr Sławosz Uznański-Wiśniewski wraz z trójką innych członków załogi. W kosmosie spędzili oni łącznie 20 dni, z czego 18 na samej Stacji. W tym czasie nasz rodak przeprowadził 12 z 13 eksperymentów zaproponowanych przez polskie ośrodki naukowe. Eksperyment 13. – analiza jego mikrobiomu jelitowego – również został zrealizowany, ale odbywał się głównie na Ziemi i nie wymagał dodatkowego czasu pracy astronauty w przestrzeni kosmicznej. Natomiast inne testy dotyczyły m.in. neurofizjologii i interfejsów mózg–komputer, biotechnologii, inżynierii materiałowej (nanomateriały i polimery), a także sztucznej inteligencji i systemów autonomicznych.

Z danych udostępnionych przez Polską Agencję Kosmiczną wynika, że misja Ignis została zrealizowana w 100 proc., natomiast zadania dodatkowe w 27,5 proc. Co więcej, dr Uznański-Wiśniewski poświęcił około 5,5 godzin na realizację eksperymentów węgierskich (jeden z członków załogi był Węgrem) oraz 4,5 godzin na zadania Axiom Communications związane z marketingiem i PR-em misji. Łącznie w ciągu pobytu na orbicie na wszystkie zaplanowane działania nasz astronauta poświęcił 105 godzin.

W najbliższych miesiącach polski astronauta będzie uczestniczył w wydarzeniach publicznych i prezentował wyniki misji Ignis.

Odłączenie kapsuły z Polakiem na pokładzie od ISS nastąpiło 14 lipca o 13:15. Lot powrotny trwał około 22 godzin 16 minut, po tym czasie Crew Dragon wodował na Oceanie Spokojnym, u wybrzeży Kalifornii. Dr Uznański-Wiśniewski najpierw trafił do centrum dowodzenia w teksańskim Houston, a następnie przetransportowano go do Kolonii w Niemczech, gdzie znajduje się siedziba Europejskiego Centrum Astronautów ESA. To tutaj spędzi najbliższy czas, przechodząc kompleksowe badania lekarskie oraz proces adaptacji do ziemskich warunków. **GP**

FOT. FACEBOOK

eprasa.pl 7fc163a04b

GAZETA POLSKA

Oburzająca krzyżówka Piotra Lisiewicza

Jak nazywa się aktor, który stwierdził, że na Andrzeja Dudę głosowali szpetni ludzie, tymczasem sam wygląda co raz bardziej szpetnie? Jaki pseudonim ma Marcin Gortat, który powiedział, że ludzie ze wsi nie będą mu wybierać prezydenta? Jak zdaniem dziennikarki TVP ma na imię nowy trener reprezentacji Polski? – to niektóre pytania w dzisiejszej krzyżówce. Nagrodą główną jest dziś lektura na czasie – książka Władysława Smoleńskiego „Konfederacja targowicka. Wojna polsko-rosyjska 1792 w obronie Konstytucji 3 maja".

Hasło krzyżówki sprzed tygodnia to KONIEC TUSKA, nagrody przyznam za tydzień. Dziś nagród nie przyznaję, bo dwa tygodnie temu krzyżówki nie było.

Przypominam, że w naszej krzyżówce nagród nie losujemy. Rozwiązanie to hasło krzyżówki (tworzą je litery z kratek oznaczonych cyferkami w prawym dolnym rogu). Oprócz hasła podać trzeba OBOWIĄZKOWO propozycję haseł (wyrazów) do kolejnej krzyżówki wraz z opisem oraz Państwa adres. Ci z Państwa, którzy podadzą prawidłowe hasło krzyżówki i najciekawsze pomysły do krzyżówek kolejnych, mogą wygrać dwie nagrody główne i cztery niespodzianki. Nagrody można więc wygrywać wielokrotnie, decydują nadesłane pomysły. Koniecznie podawajcie nam Państwo swój adres, na który mamy wysłać upominki. Przypominam też, że rozwiązania krzyżówki dotrzeć muszą do nas do wtorku na email krzyzowka@gazetapolska.tv.

Piotr **Lisiewicz**
albicla.com/PiotrLisiewicz

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Regulamin konkursu dostępny na stronie www.gazetapolska.pl

eprasa.pl 7fc163a04b

PODAJ HASŁO

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12

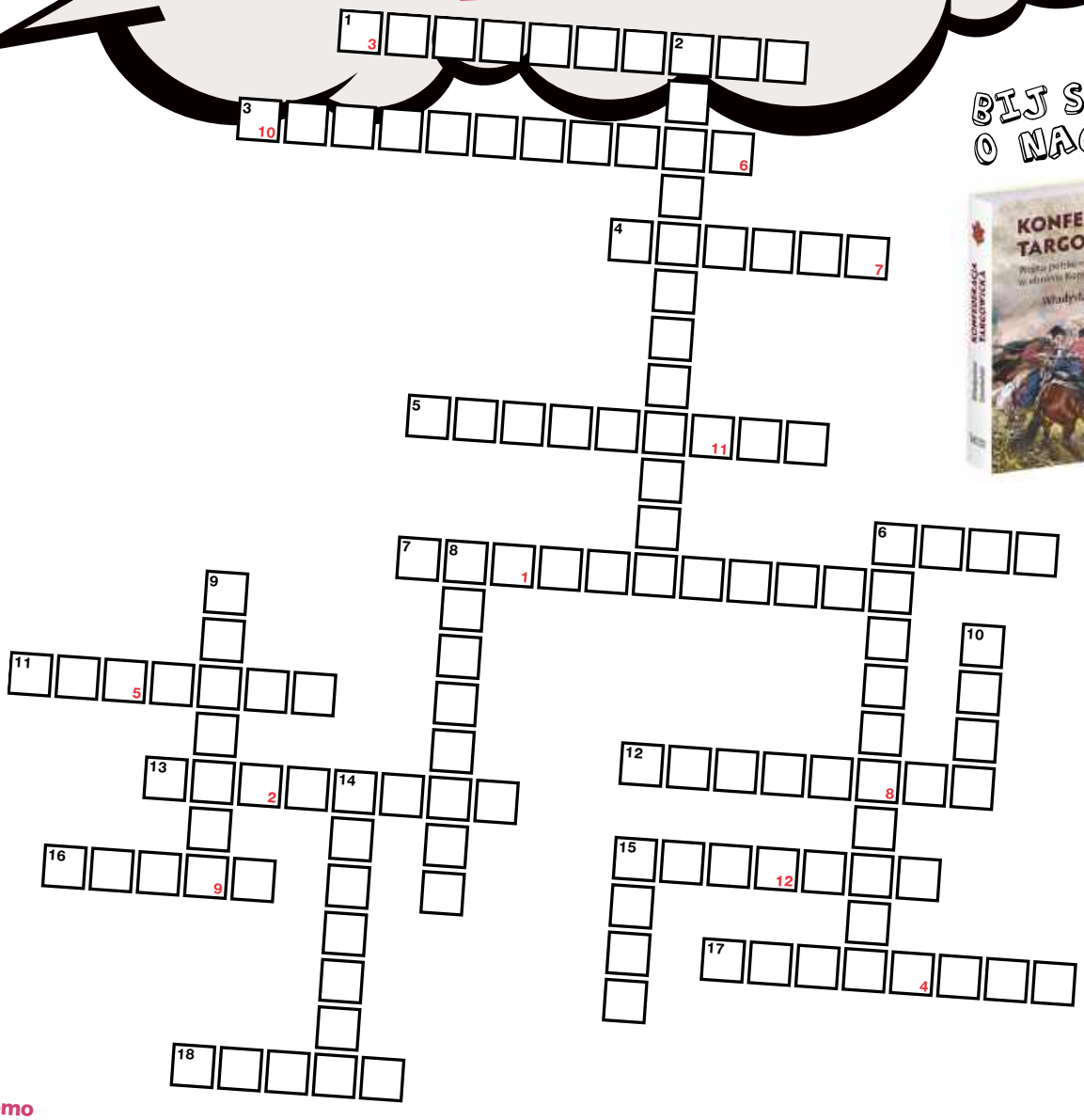

BIJ SIĘ O NAGRODY

Poziomo

1. Aktor, który stwierdził, że na Andrzeja Dudę głosowali szpetni ludzie, tymczasem sam wygląda coraz bardziej szpetnie
3. Tak na wystawie w Gdańsku zostali określeni żołnierze Wehrmachtu
4. Biskup, który przypomniał, że jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem
5. Lider Ruchu Obrony Granic, którego chciał wsadzić Bodnar
6. Pseudonim Marcina Gortata, który stwierdził, że ludzie ze wsi nie będą mu wybierać prezydenta, to polski…
7. Za jej wynoszenie z terenu polskiego kościoła miał pójść siedzieć Robert Bąkiewicz
11. Zdaniem Giertycha ci skrajnie prorosyjscy youtuberzy mogli sfałszować wybory
12. Imię króla Prus, którego portret zastąpił na Uniwersytecie Wrocławskim Orła Białego
13. Była Pierwsza Prezes Sądu Najwyższego, namawiająca Hołownię, by został prezydentem, co trzeba mu „podać na tacy”
15. Profesor, ojciec rapera, dla którego Karol Nawrocki to tymczasowy prezydent
16. Nowy trener reprezentacji Polski w piłce nożnej
17. Autorytet z FAME MMA, na który powołał się w kampanii Tusk, by pognębić Karola Nawrockiego. Teraz poparł ponowne liczenie głosów
18. Zdaniem dziennikarki TVP tak ma na imię nowy trener reprezentacji Polski

Pionowo

2. Niegdyś ogłaszała, że skończył się komunizm, teraz zażądała przywrócenia czegoś do niego podobnego, namawiając Hołownię, by nie uznawał wyniku wyborów
6. Imię Pierwszej Prezes Sądu Najwyższego, którą zaatakowali bodnarowcy
8. Słynne więzienie, w którym chciałby trzymać nielegalnych imigrantów Donald Trump
9. Zdaniem Trzaskowskiego, płonie
10. Kundel po kaszubsku
14. Biskup będący ogromnym autorytetem w polskim Kościele, który bronił księdza Michała Olszewskiego, a teraz modlił się za obrońców polskich granic
15. Niemiecki polityk, który ogłosił, że „liczył na inny wynik wyborów prezydenckich w Polsce”

epra[illegible].pl 7f[illegible]

Listy

Zamiast reparacji

Nie żebym był złym prorokiem, ale może się okazać, że zamiast wypłacić reparacje, rząd niemiecki wystąpi o odszkodowanie od Polski za niewystarczające wsparcie w czasie II wś, utrudnianie działań w walce z komunizmem i zbyt mały udział w Holocauście...

Przemysław K.

Tusk i czerwona płachta

TV Republika działa na Tuska jak czerwona płachta na byka. Jakby nie mówiła prawdy o tym, co wyprawia Tusk i reszta, to oni by się tak nie zachowywali, ponieważ z reguły niszczy się tych, którzy nam zagrażają, a Republika zagraża premierowi.

Jolanta K.

Obrona będzie karana!

Dowiaduję się, że żołnierz broniący granicy ma prokuratora na karku! Pomyślcie sobie, co będzie, jak zrobi to zwykły obywatel. Co nas – zwyczajnych ludzi – czeka w przypadku próby obrony siebie lub swoich bliskich?

Dariusz L.

Prawda nie zniknie wraz z linkiem!

Instytut Pileckiego miał bronić prawdy, a nie pisać nową wersję życiorysów według zapotrzebowania politycznego. „Oczyszczenie" Sznepfa – MGIMO, kariera w PRL, awanse za lojalność wobec systemu – to nie pomyłka, to akt świadomy. Instytut pod kierownictwem Ruchniewicza przekroczył granicę między historią a propagandą. To, że wpis zniknął ze strony, nie zmienia faktu, że ktoś go napisał, zatwierdził i opublikował. Ta pamięć pozostanie – również w archiwach sieci. Prawda nie znika razem z linkiem. A Ruchniewicz powinien podać się do dymisji.

Damian B.

Elity kolaborantów

Mamy jakieś zidiociałe elity, które rozpoczęły świadomą kolaborację z Niemcami. Jeżeli po zmianie władzy państwo nie weźmie się za tych kolaborantów, to za chwilę znowu zacznie się proces rozbioru Polski.

Zbigniew L.

JAK PILNUJĄ NAM GRANIC!

A my właśnie sterczymy w korku na granicy w Świecku. Za to do Polski wszyscy przejeżdżają gładko, bez kontroli, żadnego zatoru nie ma – i tak nam granic pilnują!

Irena B.

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) Marcin Wolski, historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), Ryszard Kapuściński (kluby), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o., Wyszków

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 505 942 224; e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl,

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

WESPRZYJ DZIENNIKARZY
mediów Strefy Wolnego Słowa
Zachęcamy wszystkich do wpłaty na FUNDACJĘ NIEZALEŻNE MEDIA
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA
www.fundacjaniezaleznemedia.pl

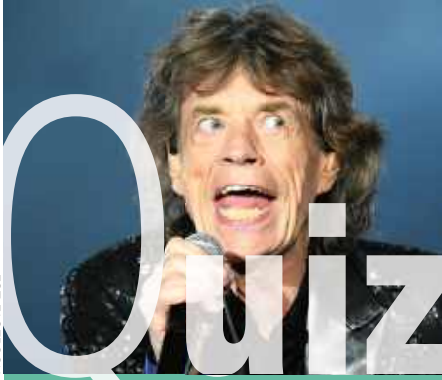

FOT. FACEBOOK

GAZETA POLSKA

1. 26 lipca kończy 82 lata. Od 60 lat jest liderem i wokalistą grupy Rolling Stones. To...

2. Kto założył zespół Rolling Stones?

3. Czym zapłacono grupie za jej pierwszy koncert w Polsce w 1967 roku?

4. Jaki nietypowy element znajdował się na oryginalnej okładce albumu „Sticky Fingers"?

5. Jaki tytuł nosi pierwsza piosenka zespołu, która została przebojem nr 1 na amerykańskiej liście Billboard Hot 100?

6. W teledysku Rolling Stones do piosenki „Anybody Seen My Baby" zagrała jedna z popularnych aktorek USA. Miała wtedy 22 lata. Kto to był?

ODPOWIEDZI:
1. „MICK JAGGER, 2. BRIAN JONES, 3. ZAPŁATĄ BYŁY DWIE SKRZYNKI WÓDKI, 4. ZAMEK BŁYSKAWICZNY, 5. „(I CAN'T GET NO) SATISFACTION", 6. ANGELINA JOLIE

PRENUMERATA
Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej":
rok – 365 zł, pół roku – 199 zł;
kwartał – 105 zł; miesiąc – 36 zł.
Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 00w2, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: 722 111 655
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl 7fc163a04b

GAZETA POLSKA

OKONIEM

Katarzyna
Gójska
albicla.com/KatarzynaGojska

TO NIE „NASI CHŁOPCY”

Polityka historyczna jest potężnym narzędziem budowania pozycji państwa, a ponieważ w tej sferze trwa nieustanna – niekiedy zaciekła – rywalizacja, można zatem śmiało powiedzieć, iż to między innymi od niej zależy bezpieczeństwo czy dobrobyt. Każdego roku miliardy dolarów przeznaczane są przez największych światowych graczy na budowanie opowieści o własnej przeszłości w taki sposób, by budziła pozytywne skojarzenia u innych, wzmacniała dumę narodową czy, w końcu, neutralizowała straty wynikające z tych fragmentów przeszłości, o których współcześni chcieliby zapomnieć. Niemcy od dziesięcioleci mozolnie odbudowują się po bestialstwie II wojny światowej. Najpierw poprzez wyciszanie dyskusji, specjalny język, w którym „Niemców” zastąpili „naziści”, a potem stopniowo poprzez wikłanie innych narodów w odpowiedzialność za zbrodnie. Wystawa w Gdańsku to nic innego jak element polityki historycznej Berlina. W każdym elemencie realizuje ona jej cele – od umoczenia odpowiedzialnością Polaków aż po podkreślanie odrębności „Pomorzan” od naszego państwa. Wszystko to służy dwóm celom. Pierwszy to pokazanie, iż zbrodnie w czasie II wojny światowej były zjawiskiem ponadnarodowym w Europie. Hitler był co prawda przywódcą państwa niemieckiego, ale tak naprawdę wszędzie wówczas panował duch nazizmu – inne narodowości niemal równie chętnie mu ulegały jak sami Niemcy. Dlatego oglądający wystawę mogą się dowiedzieć, że „nasi chłopcy” niby musieli iść do Wehrmachtu, ale jednak dostrzegali w tym obowiązku również element przygody, wręcz szansy na nowe życie.

W całej sprawie tej nieszczęsnej wystawy najważniejsza jest odpowiedź na pytanie: dlaczego przedstawiciele naszego państwa, opłacani z naszych podatków, realizują przedsięwzięcia wpisujące się w interes obcego kraju?

Drugi cel buduje z kolei świadomość odrębności Pomorza od Polski. Kreuje je jako byt niemal zewnętrzny, z jakąś własną tożsamością, historią i kulturą. I tak się składa, iż ta „zewnętrzność” jest bliska państwu niemieckiemu. Dla jasności – nie ma żadnej wyjątkowości Pomorza. Każda część Polski ma w jakimś stopniu swoją historię, tak jak każdy z nas ją posiada. W całej sprawie tej nieszczęsnej wystawy najważniejsza jest jednak odpowiedź na pytanie: dlaczego przedstawiciele naszego państwa, opłacani z naszych podatków, realizują przedsięwzięcia wpisujące się w interes obcego kraju? **GP**

eprasa.pl 7fc163a04b

REPUBLIKA

Najlepsi goście, gorące dyskusje, ostre i ciekawe spory. Ruszamy z nowym formatem programu! Wszystko przy udziale publiczności i w nowym studiu Republiki. Zachęcam do wyrażania opinii, zamieszczania komentarzy i zadawania pytań **#KlubRepubliki** – zaprasza **Adrian Klerenbach.**

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 7fc163a04b